

PROF. JOHN MEARSHEIMER DLA „DO RZECZY”:

Gdyby Amerykanie opuścili Europę,
Polska powinna pozyskać broń atomową

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**
CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 6/359 3-9 LUTEGO 2020

Wszystkie wpadki kandydatki
Małgorzaty Kidawy-Błońskiej

**MACIEJ RADZIWIŁŁ
WYJAŚNIA,
JAK TO JEST BYĆ
RADZIWIŁŁEM**



Czy trzeba się bać
chińskiej epidemii?

Wojciech Cejrowski w rozmowie z „Do Rzeczy”:

DOBRY KAGANIEC DLA SĘDZIÓW

Kaganiec i kajdany powinny mieć nałożone wszystkie władze:
ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza także

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 1772299 1850000
0 6 >
Nakład: 71 tys. egzemplarzy



PGL wraz z PLL LOT witają linię lotniczą Condor

Condor to największa wakacyjna linia lotnicza w Niemczech. Jej główną bazą jest port lotniczy we Frankfurcie. Nieprzerwanie od 1956 roku Condor przewozi turystów do najpiękniejszych miejsc na świecie. W 2019 roku 9,4 mln pasażerów podróżowało na pokładach Condora z ośmiu niemieckich lotnisk do około 90 miejsc w Europie, Afryce i Ameryce. Condor dysponuje flotą niemal 60 samolotów utrzymywanych przez spółkę zależną Condor Technik zgodnie z najwyższymi standardami bezpieczeństwa w bazach we Frankfurcie nad Menem i Düsseldorfie.

Polska Grupa Lotnicza jest wiodącym podmiotem lotniczym w Europie Środkowo-Wschodniej. PGL jest właścicielem Polskich Linii Lotniczych LOT – jednego z najstarszych i najszybciej rosnących przewoźników w Europie, z dwoma dynamicznie rozwijającymi się hubami w Warszawie i Budapeszcie. LOT ma w swojej ofercie ponad 120 połączeń, w tym 18 połączeń dalekodystansowych z Ameryką Północną i Azją. W 2019 roku LOT przewiózł ponad 10 mln pasażerów, ponad dwa razy więcej niż 4 lata wcześniej. LOT dysponuje flotą 80 samolotów, w skład której wchodzi 15 Boeingów 787 Dreamliner.

24 stycznia 2020 r. zawarta została umowa inwestycyjna przejęcia linii lotniczej Condor przez PGL. Przejęcie jest uzależnione m.in. od uzyskania zgód właściwych organów antymonopolowych.

Cieszymy się, że LOT i Condor, działające wspólnie w ramach Grupy PGL, będą jedną z największych grup lotniczych w Europie.

Zapraszamy na pokłady naszych samolotów!



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szczerość rzecznika SN

Od dłuższego czasu powtarzam, że obecny spór o sądownictwo to w istocie konflikt o znaczenie polskiej suwerenności. O to, kto ma ostateczny i decydujący głos w kwestii polskiego prawa: sami Polacy i powołane przez nich władze czy też bliżej nieokreślone unijne instytucje.

Wbrew pozorom nie chodzi wyłącznie ani o ustrój sądów, ani o reformę wymiaru sprawiedliwości. Nie o sposób powołania KRS i o sprawność wydawania wyroków. Nie. Kluczowe jest inne pytanie: o niepodległość. O to, czy Polska jest państwem, w którym obywatele mogą sami zdecydować o swoim prawie czy też muszą ugiąć się pod presją Unii.

Co ciekawe, wyjątkowo szczerze mówił o tym rzecznik Sądu Najwyższego Michał Laskowski. Komentując orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego wstrzymującego wykonanie uchwały SN odnośnie do sędziów powołanych na wniosek nowej KRS, powiedział wyraźnie: „To postanowienie ma na celu uniemożliwienie wykonania

uchwały SN, a tym samym uniemożliwienie wykonania wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE. Jeśli tak, to jest sprzeczne z prawem europejskim”. Sędzia Laskowski dodał jeszcze, że „nie może być tak, że jakkolwiek organ krajowy czy sąd blokuje wykonanie wyroku unijnego Trybunału”. Tym samym Polskę nie wiążą orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, ale Trybunału Sprawiedliwości UE.

Naprawdę, sędziemu Laskowskiemu powinno się być wdzięcznym za szczerość. Wreszcie ktoś jasno powiedział w czym rzecz: zdaniem pana sędziego, a także zdaniem większości polskich sędziów, Polska utraciła niepodległość, nie jest suwerennym państwem, w ostatecznym rachunku musi bowiem posłusznie wykonywać wyroki unijnego trybunału. Wynika z tego, że polski Sąd Najwyższy jest tylko umownie najwyższym, podobnie jak i Trybunał ma tylko fasadowy charakter. Mają one mniej więcej tyle do powiedzenia co w systemie amerykańskim najwyższe sądy stanowe: tam też ostateczne

rozstrzygnięcie wiążące należy nie do stanów, nie do ich władz, parlamentów i sądów, lecz do Sądu Najwyższego. Czyżbyśmy zatem, nie wiedząc o tym, znaleźli się w Stanach Zjednoczonych Europy? Czyżby Polska stała się, jak chce tego większość sędziów, stanem w europejskiej federacji? Wygląda na to, że przynajmniej tak rozumują sędziowie, a przynajmniej ich większość.

Wypływają z tego oczywiste wnioski. Najważniejszy jest taki, że również inne niż reforma sądów kwestie ostatecznie będą rozstrzygane przez TSUE. Wystarczy, że do któregoś z polskich sądów zwróci się na przykład para panów z żądaniem uznania ich związku za małżeństwo. Wyobraźmy sobie, że w ostatecznym rezultacie wniosek ten dotrze i zostanie zaakceptowany przez TSUE. Będzie to automatycznie oznaczało, idąc tokiem rozumowania większości sędziów, że orzeczenie TSUE będzie musiało być wprowadzone w życie.

Może jednak sędziowie się mylą? Może Polska wciąż zachowuje suwerenność i wciąż nie stała się częścią Stanów Zjednoczonych Europy? Może jednak nadal obowiązuje zasada suwerenności narodu? W takim razie należałoby uznać, przykro to powiedzieć, że odrzucając orzeczenie TK, sędziowie faktycznie wypowiedzieli posłuszeństwo państwu polskiemu i wystąpili przeciw jego niepodległości. Nie mielibyśmy wówczas do czynienia z pomyłką czy niewłaściwą interpretacją, lecz z aktem anarchicznym. Nie bardzo umiem zrozumieć, czym takie zachowanie różni się od innych, znanych z przeszłości sytuacji, w których to część polskich elit porzucała swój naród i wybierała posłuszeństwo zewnętrznym potęgom. Jeśli nie jest to apostazja narodowa, to co nią jest? Jak widać, historia lubi się powtarzać. ©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
DOBRY KAGANIEC DLA SĘDZIÓW
Jesteśmy szachownicą dla UE i dla Rosji

FOT. COPYRIGHT W. CEJROWSKI LTD / AUT. BARTOSZ HRZDOWSKI



KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„SAMOOBRONA” W TOGACH
O co naprawdę walczą sędziowie

27 ROZMOWA Z PROF. GENOWEFĄ GRABOWSKĄ
**TRUDNO NAPRAWIAĆ DOM
W CZASIE BURZY**

30 ŁUKASZ WARZECHA
STERNIK BUDKA

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WPADKI KANDYDATKI

34 MARCIN MAKOWSKI
AMERYKAŃSKA WALKA O 447

38 ROZMOWA Z MACIEJEM RADZIWIŁŁEM
REALPOLITIK Z BUŁAWĄ

42 ROZMOWA Z PIOTREM WOŁOCHOWICZEM
JAK WYCHOWAĆ WIERZĄCE DZIECKO

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
KWESTIA SUMIENIA
Nowy serial HBO

46 ROZMOWA Z DARIUSZEM MICHAŁSKIM
SZLAKIEM STARSZEGO PANA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA
Z PROF. JOHNEM MEARSHEIMEREM
POLSKA Z BRONIĄ NUKLEARNĄ
Atak na Polskę oznaczałby dla Rosji
kolosalne problemy

HISTORIA

58 JERZY
MIZIOŁEK
**CZAS NA ŁUK
TRIUMFALNY**
Upamiętnienie
Cudu nad Wisłą
(1920)



62 MONIKA ODRÓBNIŃSKA
**SYBERIĘ PRZEŻYLIŚMY DZIĘKI
MODLITWOM NASZYCH MATEK**

ŚWIAT

66 JACEK PRZYBYLSKI
**TRUMP
NA BECZCE PROCHU**
Nieporozumienie stulecia?

70 ROZMOWA
Z DR HAB. N. MED. KATARZYNĄ PANCER

**KORONAWIRUSY
PRZENOSZĄ SIĘ
ZE ZWIERZĄT**

74 WITOLD REPETOWICZ
SZALEŃSTWA PANI KANCLERZ

76 MARIA KĄDZIŁSKA
**NA TAJWANIE
WYGRAŁA DEMOKRACJA**

EKONOMIA

78 ROZMOWA Z RAFAŁEM MILCZARSKIM
**KUPILIŚMY CONDORA,
BO TO ATRAKCYJNY BIZNES**
Linia z potencjałem drugiego LOT-u

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
**BOGOWIE
NIE UMIERAJĄ**
Kobe Bryant – jeden z koszykarzy
wszech czasów

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
PRZESZCZEP TO ŻYCIE
Transplantologia w Polsce 2020

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (69), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), NOWAK (98), ŁYSIAK (99)



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szkocja po polsku?

W Edynburgu, w lokalnym parlamencie Holyrood, doszło do znamienego wydarzenia. Gdy już brakowało paru dni do daty brexitu, czyli 31 stycznia, posłowie Szkockiej Partii Narodowej (SNP) przegłosowali, że mimo wyjścia z UE unijna flaga pozostanie na gmachu. Na gwałt zaczęto wymyślać uzasadnienia. A to, że Wielka Brytania nadal pozostanie w Radzie Europy, a to, że pozostawienie flagi ma być „hołdem dla wszystkich obywateli krajów unijnych, którzy uznali Szkocję za swój dom”.

Oba argumenty są dość naciągane. Bardziej prawdopodobne, że ta demonstracja jest początkiem procesu, którzy Polacy znają aż za dobrze od pierwszych dni utraty władzy przez Platformę. Chodzi o demonstrowanie niezgody na demokratycznie przeprowadzoną zmianę polityczną i szukanie pretekstu do stanu nieustannej wojny politycznej. Wojny, w której silnym punktem odniesienia jest Bruksela.

Nie jest oczywiście tak, że ten spór nie ma naturalnego podłoża. W Szkocji SNP jest od lat za oderwaniem się od Anglii i prounijność często bywa antyangielska.

W 2014 r. w referendum w sprawie niepodległości Szkocji SNP poniosła porażkę. Przeciw zerwaniu związku z Londynem było 55 proc. Szkotów, za niepodległością – tylko 44 proc. Do referendum doszło, bo SNP zgodziła się, że będzie to referendum „raz na jedno pokolenie”. W wyborach w grudniu 2019 r. w skali całego Zjednoczonego Królestwa wygrali konserwatyści, ale w skali Szkocji – większość zdobyła SNP. Jednak lokalny parlament nie ma uprawnień do decydowania o wyjściu z UK. W tej sytuacji szefowa szkockich narodowców Nicola Sturgeon, mimo wcześniejszych deklaracji, zażądała kolejnego referendum. Boris Johnson postawił weto i przypomniał ustalenie z 2014 r., że kolejne referendum może odbyć się za dwie dekady. Lider torysów zakłada, że czas uspokoi emocje i pokaże, iż Wielka Brytania poza Unią stanie pewnie na nogach.

Do tego jednak potrzebny jest czas. I właśnie ten czas działacze SNP chcą wypełnić domaganiem się szybkiego, ponownego referendum.

Takie żądania mogą odbić się echem w krajach unijnych. Każdy, kto obserwował, jak po przegranej Platformy Obywatelskiej Komisja

Europejska chętnie wystąpiła w roli patrona naszej totalnej opozycji, łatwo może sobie wyobrazić, jak podobny show można rozegrać w Szkocji.

SNP może testować, jak daleko można się posunąć w batalii z Londynem. Jeśli Johnson okaże się zdecydowany – szkoccy narodowcy pojadą do europarlamentu, aby opowiedzieć, jak są prześladowani, i posłuchać głosów solidarności z walczącą o wolność Szkocją. Jakie pole dla szkockich sędziów, intelektualistów, celebrytów, rektorów i miejscowej kopii polskiego KOD! Jak efektywny podział można ukuć – na prasę wolności i prasę prolondyńską! Ile można zaaranżować misji wysłanników z Brukseli!

Przesadzam? Przejęskawiam?

Niemiecka posłanka Terry Reintke, do 2013 r. rzeczniczka Federacji Młodych Zielonych Europejskich, zaproponowała, by z okazji pożegnania brytyjskich europarlamentarzystów wspólnie odśpiewać szkocką pieśń „Auld Lang Syne” jako „wyraz refleksji nad przeszłością i na powitanie przyszłości”.

Jaka będzie ta przyszłość? Zobaczmy już niedługo. © ©

BRYTYJCZYCY
POWIEDZIELI UNII
GOODBYE

Brexit w końcu stał się faktem. W piątek Wielka Brytania opuściła Unię Europejską. To pierwszy kraj w historii, który wystąpił ze Wspólnoty. Formalności związane z wyjściem z UE trwały od 23 czerwca 2016 r., gdy Brytyjczycy w referendum zdecydowali o brexicie. Do końca 2020 r. obowiązuje okres przejściowy, podczas którego Wielka Brytania będzie nadal stosować prawo UE, choć nie będzie już miała prawa głosu w unijnych instytucjach. (jap) © ©



FOT. BEFF MITCHELL/GETTY IMAGES

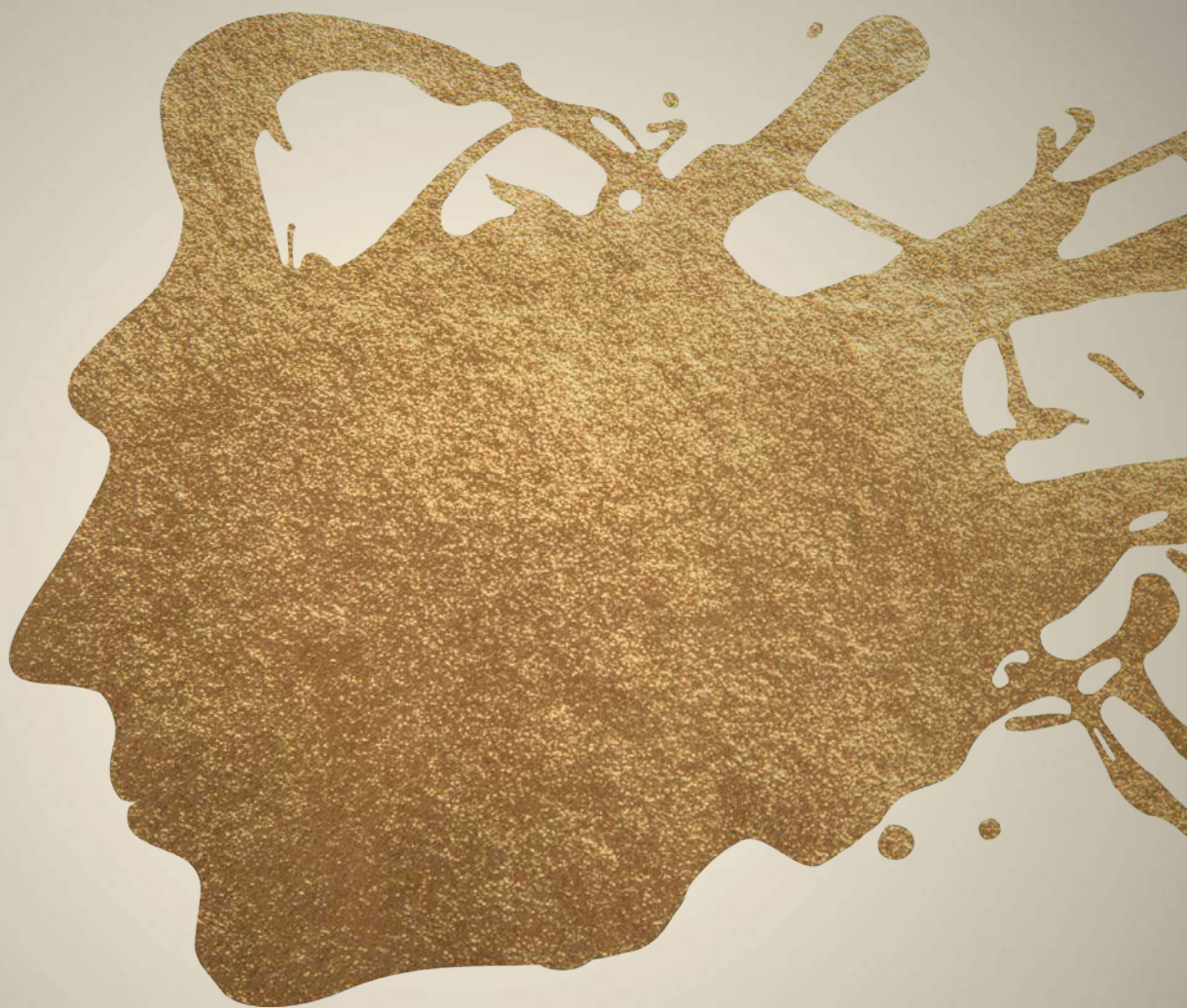
MOCARTY

RMF CLASSIC

2019

RMF

Classic



Wielki plebiscyt słuchaczy RMF Classic - już po raz 10!

Prestiżowe wyróżnienia dla ludzi filmu, kultury i sztuki

Zagłosuj na www.rmffieldclassic.pl
i wygraj zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele cennych nagród!



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Jungkook na prezydenta

Telewizja TVN, która od pięciu lat z powodzeniem walczy z głównymi instytucjami państwa polskiego, zupełnie bezkarnie wyszydzając i na różne sposoby zniesławiając rząd, prezydenta oraz liczne urzędy – w starciu z fankami i fanami koreańskiego boysbandu nie wytrzymała nawet jednego dnia. Rano pokazała materiał,

prezenterzy gorąco przepraszali. A autora ulicznej sondy o urodzie laureata nawet wylano ze skutkiem natychmiastowym.

Za co? Tu mam pewien problem, bo programu nie oglądałem, a nader liczne komentarze pełne były oskarżeń tyleż ciężkich, ileż niekonkretnych. Podobno prezenterzy dopuścili się zbrodni rasizmu, podobno kpiąc sobie ze zwyczajcy plebiscytu, koreańskiego piosenkarza, kpili z Azjatów jako takich i w ogóle chamstwo straszliwe – ale żadnego konkretnego cytatu, który by rzeczywiście był chamski czy rasistowski, nikt nie zamieścił. Poza jednym: pani Kalczyńska powiedziała o piosenkarzu, że wygląda niemęsko, bardziej jak dziecko niż jak dorosły mężczyzna. Kto zada sobie trud znalezienia w sieci zdjęcia Jungkooka (tak się nazywa, względnie takiego pseudo używa „najprzystojniejszy mężczyzna świata”), ten musi przyznać,

że to akurat święta prawda, i, jak rany, nic w tym obelżywego ani tym bardziej rasistowskiego.

Wystarczyło, że Jungkook i jego zespół BTS – pełnoletnim, jak się zdaje, zupełnie nieznany – ma w Polsce i na świecie tłumy nastoletnich miłośników. Szybko skrzyknęli się oni w sieci, stworzyli odpowiedni hashtag oraz wzór listu protestacyjnego i serwery Discovery zaczęły padać pod naporem e-maili z hejtem – zważywszy, że internetowe profile BTS mają po kilka, kilkanaście milionów obserwujących, trudno się temu dziwić,

Szczególny to syndrom naszych czasów: nieważne, czy naprawdę ktoś został obrażony, jeśli zorganizuje odpowiedni nacisk, to trzeba przepraszć, i to w dyrdy. Wniosek z tego jeden: jeśli tylko się zgodzi, to należy wspomnianego chłopca uczynić twarzą reformy sądów czy innych poczynąń władzy, a TVN już więcej nie podskoczy. ©©

Nieważne, czy naprawdę ktoś został obrażony. Jeśli zorganizuje odpowiedni nacisk, to trzeba przepraszć, i to w dyrdy

w którym Anna Kalczyńska i Andrzej Sołtysik skomentowali wynik jakiegoś plebiscytu na najprzystojniejszego mężczyznę świata, a jeszcze przed godz. 16 najpierw właściciel TVN, korporacja Discovery, a potem sami

CZERWONE I CZARNE



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Mistrzuniu głupich kroków

W naszym pięknym kraju żyje wielu ludzi, którzy powinni usłyszeć przeprosiny. Na przykład nierzadko niesłusznie niszczeni w majestacie prawa przez organa państwa przedsiębiorcy. Albo też członkowie Komisji Weryfikacyjnej WSI, przeciw którym ABW za czasów gen. Krzysztofa Bondaryka przeprowadziła potężną prowokację. Dla marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego są jednak niewidzialni. Pospieszył on za to za polityczną potrzebą współczuć Jolancie i Aleksandrowi Kwaśniewskim z powodu działań CBA, które sprawdzało źródła ich majątku.

Nadgorliwość gorsza od faszyzmu. W tym przypadku jest po prostu głupia. O prokuratorskim śledztwie w sprawie majątku Kwaśniewskich pisaliśmy wielokrotnie, ujawniając ustalenia śledczych. Nie ulega wątpliwości, że działania CBA w sprawie Kwaśniewskich były prowadzone w zgodzie ze sztuką.

Abstrahując od sprawy „willi Kwaśniewskich” w Kazimierzu, można domniemywać, że gdyby III RP była państwem apolitycznej prokuratury, dziś o Aleksandrze Kwaśniewskim pisalibyśmy po prostu Aleksander K. A to zaraz po raporcie NIK, która w 1992 r. złożyła do prokuratury

zawiadomienie w sprawie wyprowadzenia pieniędzy z Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej (kierowanego przez Kwaśniewskiego) do nomenklaturowych spółek działaczy PZPR. Tyle że śledztwu niemal natychmiast ukrecono łeb. Podobnie postąpiono z postępowaniem wszczętym w tej sprawie jeszcze raz po zakończeniu przez Kwaśniewskiego prezydentury.

„Przepraszam” zawsze warto powiedzieć. Marszałku Grodzki, czekają na takie słowa dziennikarze (kilkunastu ma status pokrzywdzonych), którzy w latach 2007–2014 padli ofiarą inwigilacji służb kierowanych przez ludzi Platformy. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nauczaniu dzieci

WSeregno w Lombardii dziecko Senegalczyków przyszło do szkoły posiniaczone. Nauczyciel dał znać opiece społecznej. Pracownicy po zbadaniu sprawy doszli do wniosku, że chłopiec został pobity w centrum kultury islamskiej, gdzie w ramach popołudniowych zajęć pozaszkolnych uczył się arabskiego i przepisów koranicznych. Zawiadomiona policja zainstalowała w centrum ukryte kamery.

Okazało się, że dwóch sprowadzonych z Senegalu nauczycieli regularnie, w ramach kary za niezbyt pilną naukę lub niestosowne zachowanie, torturowało i terroryzowało 10 dzieci w wieku od

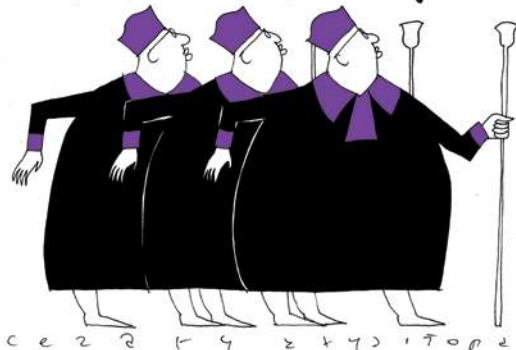
z tego, że to, co robią, jest przestępstwem. Jeden z nich groził bitemu dziecku: „Jeśli coś powiesz w domu, to cię zabiję”. Drugi straszył obitego kijem chłopca, że jeśli piśnie słowo, to zostanie zamknięty w znajdującym się obok „ciemnym pokoju kar”, gdzie nie umieszczono kamery. Jednak z opowiadań przesłuchiwanych dzieci wynikało, że dochodziło tam do aktów prawdziwego bestialstwa.

Nikt z rodziców nie zawiadomił o tym policji. Nic nie widzieli i niczego nie słyszeli, w co trudno uwierzyć. Co poraża, teraz, gdy prokuratura prowadzi dochodzenie, a jeden z oprawców jest w areszcie, to to, że rodzice jak jeden mąż odmówili wniesienia oskarżenia przeciw islamskim edukatorom. Najwidoczniej zaimportowane z Senegalu metody pedagogiczne im nie wadzą. Naturalnie działalność islamskiego centrum w Seregno jest współfinansowana przez władze regionu w ramach wspierania integracji.

A w Cavarzere pod Wenecją 11-letni syn marokańskich migrantów powiedział włoskim kolegom w szkole, że planuje wybrać się śladami wuja do Syrii i wysadzić w powietrze – uśmiercając przy tym – niewiernych w imię Allaha. Zapewne w domu chłopca panuje ciepła atmosfera tolerancji i miłości bliźniego, jak w każdej rodzinie wyznawców religii pokoju. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Kapłani Sądu Najwyższego grożą ludowi:
zaciwieniem słowca, jeśli nie przestanie
kwestionować ich wszechwłasy...



pięciu do 10 lat. Bili je pałąką, wymierzali siarczyste policzki, wyzywali lub kazali klęczeć w kącie. Dzieci płakały z bólu i ze strachu. Oprawcy znakomicie zdawali sobie sprawę



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Jedność w różnorodności

Miniony tydzień był tak bogaty w tematy

społeczno-polityczne, że nie pozostaje nam nic innego, jak rzucić się w wir wydarzeń. „Dwa najnudniejsze seriale polityczne, jakie widziałem to: prawyборы prezydenckie w PO 2019 i wybory nowego szefa PO 2020. Kolejnego sezonu tych drugich chyba nawet sami zainteresowani nie zdzierżą” – stwierdził Jacek Nizinkiewicz.

Na szczęście nie wszyscy podzielili jego pesymizm.

„Mamy partię, która wybierając szefa, pokazała wzorowy demokratyzm wewnętrzny, jedność w różnorodności, i mamy partię, której organizacja przypomina melanż NSDAP i WKPb. O której się mendi w komentarzach? O tej pierwszej, że skłócona i w ogóle przeżytek” – zauważył Waldemar Kuczyński.

I to właśnie ten nurt, konstruktywno-optymistyczny, na opozycyjnym Twitterze przeważał.

„Dyktatura ciemniaków, rewolucja chamów, neobolszewickie metody – różnie mówią o tej grupce, która przegrała w Senacie, w Sejmie ma przewagę 4 mandatów powyżej wymaganej większości, a pełniący urząd prezydenta może wiosną przegrać wybory. Nie zmnajmy tej ostatniej szansy” – zaapelował Przemysław Szubartowicz.

Pamiętać o tym należy zwłaszcza w chwilach

największego mroku. „Jadę taksówką do TVN24. Tylu bluzgów nt. sędziów jeszcze chyba nigdy nie słyszałem. »Pod ścianę i rozstrzelać, jak Żydów« – grzmi kierowca. Środowisku sędziowskiemu chyba ciężko będzie przekonać wielu obywateli, że ten bajzel to nie ich wina” – ubolewał Tomasz Żółciak. Czasami wystarczy jednak zmienić kierowcę i znowu zaświeci światełko nadziei. „Wracałem taksówką z TVN24. Tylu pochwał nt. polskich sędziów jeszcze chyba nigdy nie słyszałem (serio!). Taksówkarz chwalił się, że za darmo przywiózł sędziów, którzy przyjechali do Warszawy na ostatni marsz” – przyznał Patryk Wachowicz.

W końcu zaraz wiosna i kolejne wybory. „Jeśli

na czas ich nie powstrzymamy, Polska z tej UE wyjdzie, a wtedy wyładujemy na podwórku, na którym będzie rządził Kaczyński ze swoimi zbirami. Jeszcze mamy szansę. Jeszcze” – rozmarzył się Tomasz Lis. Nie przeszkadzajmy mu w tym. Nie warto. ©©

WSPOMNIENIA Z WIĘZIENIA

Celebrytka Ilona Felicjańska po tym, jak wraz z mężem Paulem Montaną trafiła do amerykańskiego aresztu, odgrażała się, że wyda kiedyś więzienne wspomnienia. A że ma już na koncie książkę napisaną w Tworach, gdzie była na odwyku alkoholowym (thriller erotyczny, ponoć bestseller!), to trzeba brać jej zapowiedzi na serio. – To może być hit – zapewniała jakiś czas temu na Pudelku. Teraz w „Fakcie” ujawnia próbkę tego, co nas czeka. – Byłam w areszcie przez siedem dni. Siedziałam z najgorszymi zbrodniarzami, którzy trafili tam za morderstwa. To był koszmar. Bałam się o siebie i Paula, nie wiedziałam, czy nam czegoś złego nie zrobią. Owszem, zaszałam i za to nas zamknęli. Ale już tacy szaleni jesteśmy i nie powinno się nas za to tak traktować, nie powinno się nas przetrzymywać tak długo z tego typu ludźmi – wyznaje Felicjańska. Jednak wtedy nie byłoby o czym „hitowej” książki napisać. Więc proszę nam tu nie narzekać.

CZEGO CHCE DUSZA WIENIAWY

Wiadomo już, że celebrytka młodego pokolenia Julia Wieniawa weźmie udział w „Tańcu z gwiazdami”. Propozycję dostawała od dawna, ale dopiero w tym roku zdecydowała się na to. W wywiadzie dla Radia Zet narzeka jednak, że wciąż wiele osób wytyka jej brak wykształcenia i śmieje się z jej tłumaczeń, że nie ma teraz czasu na szkołę. – Ja szkoły aktorskiej nie demonizuję. Bardzo chciałabym do niej pójść, jak znajdę tylko czas, bo jak już tam pójde, to chciałabym oddać siebie całą i nie robić tego pod publiczkę. Teraz przede mną „Taniec z gwiazdami”, trzy premiery filmowe, bardzo dużo się dzieje – wyznała. – Wypominają mi: „Idź do szkoły”, „Co z ciebie za aktorka? W czym ty niby zagrałaś?”. Ja się staram być uodporniona na krytykę. Trzeba się z tym zmierzyć – żali się celebrytka. I zapowiada, że niebawem planuje zrobić sobie przerwę od mediów. – Byłam na tylu okładkach, polubiłam to, ale już mam przesyt – wyznaje skromnie. – Myślę, że po „Tańcu z gwiazdami” pójde do szkoły aktorskiej i zrobię sobie przerwę od mediów, której potrzebuje moja dusza i moje ciało – zapowiedziała. Trzymamy kciuki, by się dostała! Wtedy przerwa potrwa dłużej. Czego powinniśmy życzyć sobie wszyscy.

COŚ TU KOMUŚ NIE KORELUJE

Dużym echem odbił się skandaliczny wywiad Romana Praszyńskiego dla portalu Viva.pl z młodą aktorką Anną Marią Sieklucką, która zagrała główną rolę w ekranizacji książki „365 dni” Blanki Lipińskiej. Książka to polski odpowiednik erotycznej powieści „50 twarzy Greya”. Pytania, które zadawał „dziennikarz” aktorcy, były seksistowskie i obrzydliwe. „Czy lubi pani seks?”, „Pani ma doświadczenie seksualne?”, „Założyła pani na casting koronkową bieliznę?”, „Piła pani wieczorami, żeby zapomnieć?” – to tylko niektóre z pytań zadawanych aktorce. Po tym, jak wywiad zaczęły krytykować kolejne

gwiazdy i celebrytki z Karoliną Korwin-Piotrowską na czele, portal usunął go ze strony, a autor zamieścił coś na kształt przeprosin. „Wszystkich, którzy poczuli się urażeni moimi pytaniami i wywiadem, bardzo przepraszam, bo w żaden sposób nie było to moim zamiarem. [...] Konwencja wywiadu, jaką przyjąłem, nie sprawdziła się, ale miałem być może mylne wrażenie, że koreluje z tematyką filmu i książki” – tłumaczy się autor wywiadu. My mamy wrażenie, wcale nie mylne, że panu autorowi wywiadu coś z czymś nie koreluje w mózgu. Innego wyjaśnienia nie znajdujemy.

FANI K-POPU KONTRA TVN

W ogóle miniony tydzień był tygodniem wpadek i przeprosin. Najbardziej spektakularną wpadkę zaliczył TVN, a konkretnie śniadaniowy program „Dzień dobry TVN”, w którym to prowadzący urządzili sobie podśmiewajki z k-popu, gatunku muzycznego, który – jak się okazało – ma rzesze młodocianych fanów także w Polsce. Anna Kalczyńska i Andrzej Sołtysik opowiadali widzom o tym, że jeden z koreańskich piosenkarzy, znany jako Jungkook, został uznany za najprzystojniejszego mężczyznę świata. – Jeżeli spodziewają się państwo na czele stawki na przykład Brada Pitta czy George'a Clooneya, to może państwa czekać spora niespodzianka – mówiła Kalczyńska. – Twarz, powiedziałabym... niespecjalnie bardzo męska, prawda? [...] Włosy zakładam, że farbowane – stwierdziła, wywołując salwę śmiechu u Sołtysika. Prowadzących rozbawiły też kolczyki, które nosi piosenkarz. Dodatkowo był jeszcze materiał filmowy, w którym reporter Adam Feder chodził po ulicach ze zdjęciem piosenkarza i pytał przechodniów, co sądzą o jego atrakcyjności. Wypowiedzi nie były zbyt pochlebne. Po emisji programu w sieci nastąpił gigantyczny odzew fanów Jungkooka. Wkrótce afra nabrała zasięgu międzynarodowego. Fani k-popu zarzucili TVN promowanie rasizmu i ksenofobii, a prowadzącym brak profesjonalizmu. Sprawa zaczęła wymykać się spod kontroli, wobec czego stacja postanowiła przeprosić za zaistniałą sytuację i za karę zwolnić reportera. „Wydźwięk programu był całkowicie niezgodny z naszymi wartościami” – oświadczył TVN. Co nie zamyka sprawy, bo fani k-popu są nadal wściekli i ślą protesty do stacji. Nic, tylko kupić popcorn i czekać na ciąg dalszy. Kto by pomyślał, że k-pop, z którego istnienia nie zdawaliśmy sobie do tej pory sprawy, może wnieść tyle radości do naszego życia! ☺☺



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



FOT. PAWEŁ GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, w całej tej historii związanej z koronawirusem nikt jeszcze nie zwrócił uwagi na dwie kwestie językowo-ustrojowe, a więc wygląda na to, iż my to musimy zrobić.

Po pierwsze: bardzo nie podoba nam się człon „korona” w nazwie osoby wirusowej, iż jest to wprost odwołanie do monarchii, a poglądy monarchistyczne są passé, niebezpieczne i mogą prowadzić do wzrostu infekcji konserwatyzmem.

Po drugie: mówimy o wirusie jak o osobniku fallicznie uposażonym, z końcówką męską. Tymczasem, o ile wiemy, nie ma żadnego potwierdzenia, jak ów wirus się identyfikuje i z kim utożsamia, a więc wypadałoby do momentu rozstrzygnięcia tego problemu uwzględniać jego ewentualną nie-

binarność. I o to bardzo prosimy w dalszej dyskusji na jego temat.

Iż nasze korpo ostatnio nie podąża za świeckim duchem czasów, postanowiliśmy wnieść do Nowego z Tarnowa, który od pewnego czasu pełni funkcję naszego supervisora, petycję z prośbą o dostosowanie standardów naszego korpo do nowoczesnego rynku pracy.

Jako iż młodym i dynamicznym zespołem wciąż jesteśmy, postanowiliśmy zawnieść o owocowe czwartki. Wydawało nam się naturalne, iż otrzymamy owoce typu: papaja, marakuja, liczi i inne egzotyczne przysmaki.

Niestety, Nowy najwidoczniej nie słyszał nigdy o takich wynalazkach i w ramach owocowego czwartku mamy jabłka, a kiedy zaprotestowaliśmy, Nowy obiecał,

że może dorzucić cebulę, bo on codziennie jedną jada, a jak mawiają Anglosasi: „An onion a day keeps the doctor away”.

No i miało być tak pięknie, a wyszło jak zawsze. O chillroomie chyba więc nie będziemy wspominać, bo marzyła nam się jakaś nowoczesna konsola, a dostalibyśmy pewnie „Grzybobranie” i bierki.

Pewna zachodnia feministka ogłosiła ostatnio, iż rozmowy w miejscu pracy o piłce nożnej są dyskryminujące względem waginoosób, sprzyjają wykluczeniu i sprawiają, iż waginoosoby mogą się poczuć ignorowane.

Mamy trochę problem z tym stwierdzeniem, oznacza to bowiem, iż istnieją tematy, na które waginoosoby z definicji nie potrafią się wypowiadać i nie mogą wziąć udziału w dyskusji.

Zapytaliśmy frendziar z kolektywu, co o tym myślą i czy zgadzają się z naszym punktem widzenia, a także podzielili się wątpliwościami.

Frendziary odpowiedziały, żebyśmy przestali jątrzyć i zwrócili uwagę, iż to kolejne narzędzie do walki z opresywnym patriarchatem i jako takie nie musi być logiczne. @@

Prezydent Izraela rzuca ogarbiem
w prezydenta Dudę po tym, jak zapakł
świętą prezydentowi
Potinowi...



PODSŁUCHANE

Nocne wypieki

Julia, mamy problem z tym Sądem Najwyższym...

Tak, Jarku, wiem, wiem. Jak mogę pomóc?

Nie, ja nie chcę żadnej pomocy, przecież Trybunał jest niezależny. Tak ci po prostu opowiadam o swoich sprawach przy herbatce i ciasteczku.

Nawiasem mówiąc, świetny ten serniczek.

Bardzo się cieszę, że ci smakuje. Sama wczoraj piekłam. Osobiście.

No więc mamy problem z tą ich uchwałą. Tak czysto teoretycznie się zastanawiałem, czy...

Tak, możemy, oczywiście, możemy ich skontrować naszą uchwałą, decyzją, orzeczeniem czy czymkolwiek. Jak będziesz chciał.

Nie, Trybunał jest niezależny. Ja niczego takiego nie oczekuję. No, ale gdyby tak wam wyszło w związku z wnioskiem Eli, to ja się też nie będę wtrącał.

Przecież wiem, ty się nigdy nie wtrącasz. Jeszcze serniczka?

Poproszę.

Poczekaj... Już mam notesik.

Dyktuj.

Ale co?

No...

Co mamy orzec przecież.

Trybunał jest niezależny, a ja przecież nie będę wam dyktował treści decyzji czy czego tam.

Ale każdy dobry Polak wie, co by chciał tam przeczytać.

Oczywiście, tak jest. O, a tutaj mam makowiec. Też sama piekłam. Całą noc. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Uważam, tak jak za komuny, że jeżeli ktoś popiera ten typ władzy, to albo jest durniem, albo wyrachowanym łajdakiem, sprzedawczykiem”.

MARIAN OPANIA, aktor, o zwolennikach PIS w rozmowie z Onet.pl



Pieniądze pod kontrolą

Racjonalne zarządzanie domowymi finansami przynosi wiele korzyści. Budżet domowy to proste i skuteczne narzędzie nie tylko dla zamożnych, lecz także dla tych, którzy mają dość życia od pierwszego do pierwszego. Jak opracować własny plan finansowy i zyskać stabilność ekonomiczną?

Opotrzebie racjonalnego zarządzania swoimi pieniędzmi ludzie na całym świecie mówili od tysięcy lat. „Inteligencję człowieka można zobaczyć w tym, jak zarabia pieniądze. Jego mądrość w tym, jak je wydaje” – głosi jedno z greckich przysłów. Francuska mądrość ludowa przypomina z kolei, że „pieniądze są dobrym sługą, ale złym panem”.

Do roztropnego zarządzania swymi pieniędzmi zachęcał rodaków filozof, uczony i ojciec założyciel Stanów Zjednoczonych. – Strzeżcie się drobnych wydatków: dosyć jest dla wody małego otworu, by wielki zatopiała okręt – ostrzegał Benjamin Franklin.

BOGACI Z WYBORU

Tworzenie budżetu na dany rok czy miesiąc umożliwia racjonalne zarządzanie finansami w państwie, a także w dużych firmach czy mikroprzedsiębiorstwach. Stworzenie własnego planu finansowego ułatwi również prowadzenie każdego gospodarstwa domowego.

Zdaje sobie z tego sprawę wielu Polaków, którzy mają coraz więcej wprawy w zarządzaniu domowymi finansami. Wciąż są jednak osoby, które zastanawiają się, po co w ogóle prowadzić własny budżet, skoro i tak bardzo dobrze zarabiają lub skoro i tak ledwo wiążą koniec z końcem? Otóż powodów jest wiele – zarówno dla bogatych, jak i dla biednych.

Po pierwsze, sporządzenie prywatnego planu finansowego zapewnia spokojny sen, daje poczucie kontroli i chroni przed wpadnięciem w finansowe tarapaty. Prowadząc domowy budżet, dokładnie wiemy bowiem, ile pieniędzy mamy do dyspozycji, a ile planujemy wydać. Dzięki temu nie musimy się zamartwiać, czy pod koniec miesiąca wystarczy nam pieniędzy na wyprawienie urodzin dla dziecka, przegląd samochodu czy zakup ubezpieczenia. Prowadząc budżet domowy, unikniemy też sytuacji, w której osoby niemające własnych wolnych środków, aby opłacić bieżące należności, posilkują się wysokoopro-

centowanymi kredytami gotówkowymi czy horrendalnie drogimi pożyczkami (tzw. chwilówkami).

Po drugie, spisywanie wszystkich wydatków – a to ważny element prowadzenia domowego budżetu – pozwoli sprawdzić, ile naprawdę wydajemy na „drobiazgi”. To zaś z kolei ułatwia zidentyfikowanie małych dziur, którymi szybko uciekają nasze pieniądze.

Ograniczenie zbędnych wydatków prowadzi do łatwego zwiększenia oszczędności w kolejnych miesiącach. Dzięki temu dochodzimy do trzeciego powodu, dla którego warto prowadzić budżet domowy: sprawne zarządzanie prywatnymi finansami ułatwia realizację długoterminowych celów, np. marzeń o wcześniejszej spłacie kredytu hipotecznego, nowym domu czy dalekich luksusowych wakacjach.

SZYBKA DROGA DO SUKCESU

Przygotowanie budżetu domowego jest stosunkowo proste i mało czasochłonne. Swoją własny plan finansowy możemy stworzyć w najprostszej wersji przy użyciu kartki papieru, ołówka oraz kalkulatora. Możemy też wydrukować gotowy do użycia bezpłatny szablon (jest ich wiele w Internecie) lub opracować swój budżet w wersji elektronicznej (np. w arkuszu kalkulacyjnym). Prosty budżet możemy też prowadzić w smartfonowym lub komputerowym notatniku.

Do wyboru jest również wiele płatnych i bezpłatnych programów komputerowych, liczne aplikacje na smartfony oraz podobne do nich narzędzia oferowane przez niektóre banki. Część programów stworzonych do indywidualnego zarządzania pieniędzmi może automatycznie kategoryzować wydatki i wyświetlać miesięczne podsumowania wydatków z podziałem na kategorie, takie jak np. „kredyty”, „opłaty”, „wyżywienie”, „ubrania”, „sport”, „transport” etc., które ułatwiają tworzenie budżetu na kolejne miesiące.

Warto pamiętać, że im prostszy sposób budżetowania wybierzemy, tym

■ mniej czasu będzie nam ono zajmować. Na rzetelne zapisywanie informacji o dochodach oraz wydatkach i bieżącą analizę tego, czy na pewno trzymamy się ustalonego przez nas samego planu finansowego, przeważnie wystarczy zaledwie 10–15 minut dziennie.

Swoje wydatki na papierze, w arkuszu kalkulacyjnym lub w aplikacjach mobilnych regularnie zapisuje już bardzo wielu Polaków. Inni starają się to robić, opierając się na własnej pamięci i zawartości portfela, co nie jest jednak najbardziej efektywną metodą kontrolowania wydatków.

Jeśli chcemy stworzyć budżet całej rodziny, to uwzględniamy wszystkie dochody i nawet najdrobniejsze wydatki. Ci, którzy dotąd nie mieli wspólnego konta i obawiają się, że całkowita kontrola nad ich wydatkami może doprowadzić do sporów o to, czy potrzebna jest nowa torebka lub kolejna droga gra wideo, mogą zdecydować się na dwa osobne budżety (wówczas wszystkie wspólne wydatki para dzieli według ustalonych proporcji, np. na pół, a w wydawaniu pozostałych pieniędzy ma pełną dowolność). Można zdecydować się również na wariant mieszanym, w którym do wspólnego budżetu każda osoba wpłaca równą kwotę i na jej podstawie opracowujemy wspólny plan finansowy (takie rozwiązanie może lepiej sprawdzić się w przypadku planowania poważnych zakupów, np. mieszkania czy działki budowlanej).

Niezależnie od tego, na jaką formę się zdecydujemy, własny budżet miesięczny stworzymy w kilku prostych krokach.

Krok pierwszy: po jednej stronie spisujemy zaplanowane na dany miesiąc dochody. Dzielimy je na stałe (np. regularnie wypłacane wynagrodzenie z pracy najemnej, świadczenia społeczne typu „500+”, czynsz od lokatorów wynajmujących nasze mieszkanie etc.) oraz nieregularne (np. premie, pieniądze z tytułu odsetek z lokat terminowych, spadki, darowizny, wygrane czy prezenty).

Osoby, które uzyskują wyłącznie nieregularne dochody, bo np. pracują jako freelancerzy lub na akord, planując budżet, mogą wpisać dochody, których się spodziewają (pracując na umowy-zlecenia czy umowy o dzieło, można oszacować, kto i ile powinien nam zapłacić w kolejnym miesiącu). Inną

Czasem już samo spisanie wszystkich wydatków daje olbrzymią motywację do rozpoczęcia oszczędzania

metodą jest zsumowanie wszystkich dochodów z ostatniego roku i podzielenie ich na 12 (wówczas uzyskamy przybliżoną kwotę spodziewanego dochodu). Można też – to rozwiązanie bardziej konserwatywne – sprawdzić, ile zarobiliśmy w najgorszym miesiącu zeszłego roku i wpisać do domowego budżetu taką właśnie kwotę. Jeśli dostosujemy wydatki do prywatnego dochodu minimalnego, to ryzyko „deficytu” pod koniec miesiąca jest mniejsze (a jeśli zarobimy więcej, to możemy po prostu więcej zaoszczędzić).

Krok drugi: po drugiej stronie kartki/arkusza/notatnika spisujemy wszystkie planowane wydatki. Tu również dokonujemy podziału na wydatki stałe (np. czynsz za wynajem mieszkania, podatki, składki na ZUS, rata kredytu hipotecznego, stałe wydatki na leczenie, abonament na telefon komórkowy, abonament na telewizję i Internet, opłaty za prąd, gaz, ogrzewanie i wodę, opłaty za zajęcia pozalekcyjne dla dzieci) oraz zmienne (np. żywność, środki czystości, buty i odzież, bilety do kina i teatru, prezenty dla przyjaciół i rodziny, a także remont, wyjazd na wakacje, kupno sprzętu elektronicznego lub nowego samochodu etc.).

Dla własnego spokoju warto utrzymywać planowane wydatki na poziomie ok. 10 proc. poniżej spodziewanego dochodu. Te 10 proc. to rezerwa w przypadku, gdyby w danym miesiącu pojawił się jakiś nieplanowany, ale konieczny wydatek.

Krok trzeci: analiza własnej sytuacji finansowej. Po podsumowaniu dochodów i wydatków jasno widzimy, czy obie kwoty są takie same (wówczas nasz budżet jest zrównoważony), czy mamy nadwyżkę, czy mamy do czynienia z deficytem.

Już po tygodniu możemy sprawdzić, co poszło zgodnie z planem, a w których kategoriach zaplanowane kwoty okazały się za małe lub za duże. Dzięki dokładnej analizie nasz plan finansowy

wy na kolejny tydzień/miesiąc będzie lepiej dostosowany do naszych potrzeb. Regularna analiza budżetu domowego to również czas na najciekawszą i najtrudniejszą część zarządzania własnymi finansami, czyli na wprowadzanie niezbędnych zmian.

Jeśli nasz budżet domowy będzie elastyczny, to szybko da się go też dostosować do zmieniającej się sytuacji finansowej. Można np. zrezygnować z niektórych wydatków. Korzystne jest zwłaszcza ograniczenie stałych wydatków. Wykonanie tego zadania nie musi wiązać się z wielkimi wyrzeczeniami: można np. zrezygnować z niepotrzebnego konta, za które bank co miesiąc pobiera opłatę, zmniejszyć pakiet w telewizji kablowej lub zrezygnować z niej w ogóle, skoro i tak oglądamy głównie kanały dostępne bezpłatnie, zrezygnować z telefonu stacjonarnego, zmienić operatora telefonii komórkowej lub dostawcę Internetu albo sprzedać drogi w utrzymaniu samochód i przesiąść się na rower oraz do komunikacji miejskiej.

Czasem samo spisanie wydatków zmiennych da nam olbrzymią motywację do korekt budżetu. Gdy czarno na białym zobaczymy, ile rocznie kosztują nas kawa w modnych kawiarniach, obiady na mieście czy używki takie jak papierosy czy alkohol, o wiele łatwiej będzie nam podjąć decyzję o rezygnacji z tego typu wydatków. Jeśli jedna paczka papierosów kosztuje 18 zł, a miesięcznie wypala się ich 25, to roczne oszczędności wyniosą 5,4 tys. zł.

Za zaoszczędzone pieniądze można kupić wakacyjną wycieczkę zagranicą lub zwiększyć wkład własny na zakup mieszkania. Również rzut oka na prowizje bankowe czy inne comiesięczne opłaty motywuje do rozstawienia się z nieużywaną kartą kredytową lub z karnetem na siłownię, na którą nie mamy czasu chodzić. Warto także ustalić pewne maksymalne kwoty, które w danym miesiącu możemy wydać na rozrywkę czy np. jedzenie na mieście.

Są różne modele, według których można ustalać swój budżet. Można wykorzystać zasadę Pareto – opisującą wiele zjawisk z ekonomii i zarządzania – i 80 proc. dochodów przeznaczać na wydatki stałe oraz opcjonalne, a pozostałe 20 proc. na spłatę kredytów i budowę oszczędności.

Lepiej zarabiający mogą spróbować ograniczyć wartość najważniejszych



FOT. ADRIAN STOK

wydatków, takich jak wydatki na żywność do 50 proc. dochodów. Wówczas z pozostałych pieniędzy łatwiej będzie przeznaczyć 20 czy nawet 30 proc. na oszczędności lub spłatę kredytów, bo i tak w budżecie zostaną nam pieniądze na wyjście do kina i kawiarni oraz inne drobne przyjemności.

Nawet jeśli zarabiamy coraz więcej, warto przemyśleć, czy na pewno chcemy zdecydować się na podnoszenie kosztów życia. Wielu miliarderów nadal lata po świecie w klasie ekonomicznej, mimo że stać ich na klasę pierwszą. Łatwiej jest bowiem trzymać wydatki na stałym poziomie, niż – w razie pogorszenia się sytuacji materialnej – nagle je obcinać.

Są oczywiście takie osoby, które po sporządzeniu budżetu domowego oraz likwidacji wszelkich zbędnych wydatków i tak dojdą do wniosku, że ledwo wychodzą na zero. W sytuacji, gdy nie ma już co ciąć, droga jest tylko jedna: trzeba zwiększyć dochody.

A co z osobami, które mimo wszystko nadal nie chcą poświęcać nawet 10 minut dziennie na prowadzenie domowego budżetu? W takiej sytuacji sposobem na zyskanie większej kontroli nad własnymi finansami może być używanie wyłącznie jednego konta bankowego lub koperty z gotówką przeznaczoną na dany tydzień/miesiąc. Wpłaćmy wszystkie swoje dochody na to jedno konto lub trzymajmy je w jednej kopercie i pod koniec miesiąca sprawdzmy, ile pieniędzy nam zostało. Tę nadwyżkę w kolejnym miesiącu można odłożyć na

nieplanowane zakupy (np. popsu-tej pralki) lub np. wpłacić na konto oszczędnościowe, kupić jednostki funduszu inwestycyjnego, akcje, obligacje etc.

PODUSZKA BEZPIECZEŃSTWA

W wyniku optymalizacji naszych finansów będziemy w stanie nie tylko unikać „deficytu”, lecz także stworzyć swój własny „fundusz awaryjny” składający się z pieniędzy, które przydadzą się w przypadku niespodziewanych dużych wydatków (takich jak nagła wizyta u dentysty czy konieczność naprawy samochodu). Finansowa poduszka bezpieczeństwa przyda się zwłaszcza tym, którzy osiągają nieregularne dochody.

Zarówno freelancerzy, jak i osoby zatrudnione na umowie o pracę powinny zastanowić się, jak wysoka rezerwa pozwoli im spokojnie przetrwać sytuację kryzysową (chorobę, utratę pracy etc.).

Niektórym poczucie bezpieczeństwa może dać równowartość trzech pensji. Inni uważają, że aby spać spokojnie, potrzebują oszczędności, które pozwolą im żyć przez pół roku lub nawet rok.

Rekordowo niskie bezrobocie, szybko rosnące wynagrodzenia oraz hojne programy socjalne sprawiły, że coraz mniej Polaków ma problemy, aby związać koniec z końcem. Według opublikowanego we wrześniu 2019 r. raportu GUS („Budżety gospodarstw domowych w 2018 r.”), w 2004 r. wydatki stanowiły aż 95,4 proc. dochodu rozporządzalnego w budżetach Polaków, a w roku 2018 poziom ten spadł

do 70 proc. Wielu Polaków stać więc wreszcie na regularne oszczędzanie. Ze wspomnianego raportu GUS wynika, że w przypadku przeciętnego miesięcznego dochodu rozporządzalnego na jedną osobę mediana wynosiła 1477 zł, natomiast mediana przeciętnych miesięcznych wydatków: 976 zł. Powstawała więc nadwyżka w wysokości 481 zł. Mimo to z danych GUS wynika, że choć 68 proc. ankietowanych wskazywało, iż ma możliwość oszczędzania części dochodów, regularnie odkładało zaledwie 19,5 proc. z nich (48,2 proc. robiło to nieregularnie). 52,8 proc. badanych zadeklarowało, że choć nie ma problemów z utrzymywaniem się na co dzień, to jednak wciąż brakuje im pieniędzy na poważniejsze wydatki.

Właśnie w takich przypadkach pomóc może sporządzenie rocznego budżetu domowego. Poważniejsze wydatki można wówczas rozbić na kolejne miesiące i w ten sposób zmaksymalizować oszczędności na ten cel, a co za tym idzie – przyspieszyć realizację marzeń.

Kontrola nad finansami może też wyciągnąć z tarapatów nawet najuboższych (co czwarte gospodarstwo domowe badane przez GUS deklarowa-

Zarówno freelancerzy, jak i zatrudnieni na umowę o pracę powinni rozważyć, jak wysoka rezerwa pozwoli im przetrwać sytuację kryzysową

ło, że nie odkładało, bo nie mogło nic odłożyć). Co więcej, osoby, które żyją od pierwszego do pierwszego, szczególnie mocno powinny pilnować budżetu, ograniczać zbędne wydatki i odkładać, ile tylko potrafią, na swój własny „fundusz awaryjny”.

Nawet najlepiej skonstruowany budżet na nic się jednak nie zda, jeśli nie będziemy konsekwentnie go realizować. Warto więc znaleźć dodatkową motywację do ograniczania zbędnych wydatków i zwiększenia kwoty przeznaczanej na oszczędzanie. Bardzo pomocne jest np. wyznaczenie celu, na który chcemy zaoszczędzić pieniądze, a także określenie konkretnego terminu, w którym chcielibyśmy ten cel osiągnąć.

Z frontu walki o prezydenturę (gdyż frontu walki o sądy już nam się nie chce komentować). Najnowsze wieści z Nowogrodzkiej są następujące: wszystko albo nic. Już tłumaczymy. Otóż przewagę zyskuje tam opinia, że gdyby tak się stało, iż prezydent Andrzej Sebastian przegra wybory prezydenckie, to nie ma się co cackać, tylko trzeba zrobić przedterminowe wybory parlamentarne.

Głupia sprawa, okazuje się, że hasło „wszystko albo nic” dotyczy też frontu walki o sądy. Z badań wychodzi bowiem, że choć nie można być pewnym, iż zaostrenie sądowe da reelekcję Andrzejowi Sebastianowi, to wyraźnie pokazują, że odpuszczenie sądów na pewno mu jej nie da.

Sztab prekampanijny tymczasem pracuje pełną parą i z tego, co wiemy, jego najaktywniejszym członkiem jest sam prezydent Andrzej Sebastian. Co w sumie rozumiemy, my też byśmy na jego miejscu dobrze pilnowali całego towarzystwa.

Tak jak w każdym sztabie najważniejszy jest podział ról i kompetencji. Owszem, owszem, takiego też dokonano. Na przykład Joachim Jojo Brudziński ma być odpowiedzialny za logistykę, a była premier Bełata Szydło bardziej za sprawy programowe. Skoro tak, to zastanawiamy się, za co mają być odpowiedzialni inni członkowie presztatu prekampanii.

Uwaga! Donosik! Potępiamy łamanie konstytucji, prawa, demokracji i w ogóle dobrego obyczaju! Nie, nie chodzi nam wcale o rząd PiS, ale o marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego. Mamy dowody. A wszystko rozegrało się, kiedy w Senacie głosowano nad uchwałą potępiającą złego Władimira Putina i jego antypolskie ekscesy.

Było tak: podczas głosowania czworo senatorów z PeŁo było przeciw potępieniu Putina. Nie dlatego, że rusofoby, tylko że – jak się okazało – się pomylili. W związku z tym marszałek Grodzki zarządził reasumpcję głosowania i tym razem wszystko poszło tak, jak powinno, czyli przez aklamację. Szkopuł w tym, że żadne paragrafy ani obyczaje nie przewidują w polskim parlamencie

Wyjaśnienie z prac Juliana Krzyżanowskiego: „Dawanie bobu polegało na przeciąganiu po głowie kolegi knykciami wszystkich palców”

czegoś takiego jak powtarzanie głosowania, bo ktoś się pomylił. Dla marszałka Grodzkiego to jednak nic trudnego.

Całe zamieszanie Grodzki skomentował słowami, które zanotowaliśmy, gdyż lubimy gromadzić złote myśli wielkich ludzi. „Bardzo proszę pamiętać, że jesteśmy w izbie wyższej polskiego parlamentu i skupienie przy głosowaniach jest absolutnie konieczne. Nie jest to rada gminy, przy całym szacunku do rady gminy, ani samorząd uczniowski, tylko Senat”. Mamy nadzieję, że po tych mądrych słowach senatorowie jak skrzat Zgredek z książek o Harrym Potterze ze wstydu wyprasowali sobie rączki.

Przy okazji chcieliśmy wyrazić wdzięczność Wielkiemu Marszałkowi Grodzkiemu za to, że wziął na siebie także trudną rolę Wielkiego

Językoznawcy. Dlatego pouczał dziennikarzy przy okazji wizyty pani Very z Komisji Europejskiej: mówi się nie „Jurova” tylko „JOUrova”. Odwdzięczamy się, prosimy pismaków o zapisywanie: mówi się nie „Grodzki”, tylko „S-m-e-r-f W-a-ż-n-i-a-k”.

Nadeszła wiekopomna chwila. Borys Budka został nowym przewodniczącym Platformy Łobywatejskiej. Z tej okazji czujemy się zmuszeni do wymyślenia mu nowej ksywki na potrzeby naszej rubryki. Trochę bowiem głupio wciąż mówić na niego tak jak Ewka Kopacz, czyli Borysław. Nasza propozycja to BoBu.

Powyższy skrót nie tylko jest dźwięczny i piękny (tak jak wszystko, co robimy), lecz także oddaje cele Borysława: życiowe i polityczne. BoBu przede wszystkim chciałby zadać bobu złemu PiS, czemu dał wyraz swego czasu na łamach „Die Zeit”. „UE potrzebuje wyznaczyć ultimatum Polsce. Tylko wtedy, gdy instytucje UE są nieugięte, rząd ustąpi” – mówił wtedy Borysław, to znaczy, pardon, przewodniczący BoBu. Prosimy o przypomnienie tej wypowiedzi Borysławowi przy każdej okazji.

Zadawanie bobu ma w PeŁo długą tradycję. Na przykład Adam Gołębica Szejnfeld zamieścił na swym profilu fejsikowym przepis na bób gotowany z koperkiem. Opatrzył go refleksją: „Dać komuś bobu to znaczy dokuczyć, to znaczy dać komuś nauczkę... Eeee, dziwne to jakieś, prawda? Bób jest przecież bardzo smaczny”. Specjalnie dla Szejnfelda i dla BoBu wyjaśnienie z prac Juliana Krzyżanowskiego: „Dawanie bobu polegało na przeciąganiu po głowie kolegi knykciami wszystkich palców, co przypominało ruchy palców przy sadzeniu bobu”.

Tym, którzy zastanawiają się, w jakim kierunku BoBu poprowadzi teraz Platformę Łobywatejską, przypominamy także, że Borysław był zdania, iż transfer Robika Biedronia byłby świetnym uzupełnieniem PeŁo. My też tak uważamy. Obecnej? Na pewno.

Tymczasem nasza ulubiona europosłannica Sylwia Spurek kontynuuje walkę nie tylko z mięsem w stołowiec europarlamentu, lecz także z seksistowskim językiem polskim. Dlatego wzywa,

dwaj panowie



FOT. ROBERT CAROZINSKI

À propos grup biznesowych – szok! To się w głowie nie mieści! Piotr Korycki, prezes Tefalenu, ogląda TVP!

by Unia relokowała nie tylko uchodźców, lecz także uchodźczynie. Wydaje nam się, że Spurek byłaby jeszcze cenniejszą transferzycą do PeŁo od Robika Biedronia.

A propos – przypomniało nam się. Był taki jeden gość z KOD-u, który relokował kobiety. Z Polski do domów publicznych we Włoszech i w Grecji. Nazywał się Konrad M. Lider KOD Kapeli. Ma za to wyrok, bo reżim w Polsce jest strasznie ksenofobiczny.

Tymczasem na lewicy. Wciąż nie wiadomo, kiedy odbędzie się huczne i uroczyste zjednoczenie postkomunistów i tęczokomunistów w Nową Lewicę. Wszystko dlatego, że w sądzie wciąż leży niezatwierdzony statut. Skandujemy razem: wolne sądy! Wolne sądy! Wyjątkowo wolne sądy!

Tymczasem w celebropozycji (tak, chodzi o opozycję celebrycką). Wieściorki mówią, że po głośnym starcie kandydata obecnie grupa biznesowa stojąca za Szymonem Hołownią się rozsypuje. Gdyż nie idzie mu tak dobrze, jak się spodziewano. Szymon jednak się nie poddaje i walczy. Słusznie. Skoro taki Borys BoBu Budka mógł zostać szefem Platformy, to Hołownia może zostać nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych.

A propos grup biznesowych – szok! To się w głowie nie mieści! Piotr Korycki, prezes Tefalenu, ogląda TVP! „Zdarza mi się. Głównie sport, czasem duże koncerty” – wyznał w wywiadzie dla Business Insidera. W swojej stacji, oświadczył, uwielbia programy Magdy Gessler.

A propos Magdy Gessler – nogę jej urwało. A dokładnie nogę jej figurze woskowej, która do niedawna zdobiła jej knajpę w Bukowinie Tatrzań-

skiej. Któryś z co bardziej krewkich gości pod wpływem grzańca przewrócił figurę, w wyniku czego Gessler doznała urwania nogi. Stawiamy na to, że sprawca także ogląda w TVP sport i duże koncerty. Być może nawet z tego powodu przyjeżdża do Zakopanego.

Niestety, właścicielica knajpy wykazała się straszną nietolerancją i gdy goście chcieli sobie robić selfie z woskową Magdą Bez Nogi, pani Gessler, oburzona, nie wyraziła na to zgody. Na skutek tego sprzeciwu figura trafiła do konserwacji zabytków. Tfu. Napisaliśmy zabytków? Sorki. Chodziło nam o dzieła sztuki.

Jeśli chodzi o zabytki. Monika Olejnik jest podobno oburzona, że po śmierci Janiny Paradowskiej zaczęto ją określać mianem nestorki polskiego dziennikarstwa. Panowie G., którzy razem mają ponad setkę, nie mają nic przeciwko, by ich określać tym mianem. Chociaż w sumie wolimy tytuł autorytetów moralnych.

Skoro już o sprawach kulturalnych lub prawie kulturalnych. Dobrej zmianie usiłuje się dorobić gębę antysemitów. Tymczasem nowym dyrektorem Teatru Polskiego we Wrocławiu ma zostać niejaki Szurmiej. Z tych Szurmiejów. Konfederaci mogą tego nie znieść.

Jeśli nie antysemita, to anty-Szkopi. Polacy podrzucili Niemcom świnie. Dosłownie. W Brandenburgii niemiecka policja zatrzymała polską furgonetkę, która na pace miała świńskie truchło. Uruchomiono wszelkie służby, jawne, tajne i dwupłciowe, podejrzewając, że to polska broń biologiczna.

Szykuje się kolejny transfer ze świata mediów do świata dyplomacji. Po Kumochu, Skwiecińskim, Karwowskim, Dmochowskim i Magierowskim w dyplomaty ma pójść Konrad Kołodziejski. Szkoda. Chociaż to konkurencja, to lubiliśmy czytać faceta. Dobry był z niego herbatnik. ©©

OGŁOSZENIE PŁATNE

FOREINTRADE sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie informuje, iż rębaki do drewna model KD1580 i model KD1582 nie spełniają wymagań rozporządzenia Ministra Gospodarki z dnia 21 października 2008r. w sprawie zasadniczych wymagań dla maszyn, z uwagi na brak wyposażenia w części roboczej w osłony zabezpieczające, co stwarza ryzyko wypadku, brak w oznakowaniu wyrobów wskazania maksymalnego ciśnienia oleju hydraulicznego i masy maszyny, a także brak nazwy i adresu producenta w oznakowaniu wyrobów instrukcji obsługi oraz w deklaracji zgodności.

Ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym postępowaniem przed Prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i konsumentów.



FOT. COPYRIGHT W. CEJROWSKI LTD (JUT. BARTOSZ WROZDOWSKI)

Jesteśmy szachownicą dla UE i dla Rosji



Z Wojciechem Cejrowskim
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kto będzie kandydatem Wojciecha Cejrowskiego na prezydenta: Andrzej Duda czy Krzysztof Bosak?

WOJCIECH CEJROWSKI: Swojego kandydata miałem raz – Marka Jurka. Stanowisko prezydenta jest w Polsce symboliczne. Owszem, można by sporo zrobić nawet na tym symbolicznym urzędzie, ale... trzeba by mieć tam mężczyznę, a do tego siłę w Narodzie popierającą działania tego mężczyzny. Siłę, która do niewielkich uprawnień formalnych dodawałaby moc ulicy. Piłsudski miał tę siłę nawet, gdy siedział w Sulejówku, a urzędy piastowali inni.

Dzisiaj w Polsce jest zasadniczo obojętne, kto jest prezydentem. Ponieważ nie jesteśmy w stanie obalić tego złego systemu i uchwalić sobie (z woli Narodu/ulicy) nowej konstytucji, całkiem innej od systemów obowiązujących w UE, to... nie ma znaczenia, kto będzie kolejnym prezydentem. Dobra... znaczenie jest,

ale kosmetyczne. Duda się nie upija i nie skacze po meblach. Bosak też nie.

Tak czy inaczej trudno dostrzec jakiekolwiek szanse kandydata Konfederacji. Zapewne więc Andrzej Duda będzie jedynym liczącym się kandydatem prawicy na prezydenta. Lewicowej „prawicy”.

Podsumowując kadencję urzędującego prezydenta... Za co najbardziej by go pan pochwalił?

Za nic. Urzędników się recenzuje i raczej szuka błędów, niż chwali. Oni chwalą się sami, my już nie musimy. Gdy sprawdzamy komuś maturę z matematyki, szukamy błędów i to nie jest złośliwe, lecz normalne. A gdy błędów nie ma, piszemy, że zdał i tyle.

A za co by go pan najbardziej skrytykował?

W ramach swoich uprawnień przypinał order, ale powinien też wiele odebrać. Nadawał tytuły profesorskie, a powinien wiele odebrać. Skoro ma uprawnienia do nadzwyczajnego uniewinnienia, to ma też – per analogiam – prawo do nadzwyczajnego wznowienia sprawy niesłusznie zamkniętej. Nie

odbierał tytułów generalskich, a wiele powinien. Mianował nowych ambasadorów, a ważniejsze byłoby, gdyby wielu usunął, i KONIECZNIE powinien. Zapraszał, a ja bym chciał, by także wypraszał kogo trzeba. Nie wchodził w konflikty, gdy trzeba było i mógł. Nie usłyszałem z jego ust nigdy mocnego słowa, a powinienem: „Nie podpiszę wam tego gównianego budżetu. Proszę mi przynieść inny! Taki, który nie zadłuża Ojczyzny”.

Skoro podjął się tej roboty, powinien dokładnie przeczytać instrukcję obsługi stołka – zobaczyć, co mu wolno, i skorzystać z uprawnień w sposób, którego nikt się nie spodziewał. Mógłby przynajmniej wylansować jakąś polską markę, bo nie mamy żadnej marki międzynarodowej. Finlandia ma Nokię i wódkę, a to nie jest kraj większy ani lepszy od Polski. Dania ma czekoladę, Ekwador ma banany. A my?

Na wszystkich przyjęciach dyplomatycznych, które Duda organizował, powinno być zawsze wyłącznie polskie żarcie: polska kiełbasa, pierogi i polskie miody do picia zamiast wina. I powinien organizować takie przyjęcia, by o nich wszyscy pamiętali i bili się o zaprosze-

nia. Bolesław Chrobry był mężczyzną. Najpierw przewiózł cesarza Ottona przez nasz kraj, chwalać się Polską, potem przez trzy dni stawiał żarcie, a po wszystkim kazał zapakować srebrne i złote naczynia i podarował je cesarzowi w prezencie. Tak się robi politykę.

Mój śp. Ojciec zabrał kiedyś do katedry w Pelplinie Ellingtona – bardzo sławnego muzyka jazzowego z USA. W dzieciństwie Ojciec służył w tej katedrze do Mszy Świętej biskupowi, więc miał chody. Zwiedzili średniowieczny zabytek, a potem Ojciec sadza Ellingtona przy organach, które są starsze niż Stany Zjednoczone, i pozwala mu zagrać. Koncert jazzowy na zabytkowych organach. Ellington pyta, czy może jeszcze zagrać... rock and rolla. Ojciec mu na to mówi: „Graj! Tylko głośno!”. Ellington opowiadał o tym potem w USA przez całe lata, za każdym razem, gdy ktoś wspomniał o Polsce. Mój Ojciec, nawet w ramach bardzo ograniczonych uprawnień, umiałby wycisnąć z urzędu prezydenckiego więcej niż Duda. Wycisnąć dla Polski. Tak żeby długo pamiętali i dobrze wspominali. To nie jest wina Dudy ani żadnego innego kandydata, ale jest to ich cecha – nie mają fantazji ani pomysłów spoza pudełka z pomysłami, które stało na biurku, zanim przyszli. Wszyscy są tacy sami – nijacy.

Duda gościł amerykańskich generałów. Nie słyszałem potem, by któryś opowiadał w USA: prezydent Polski zabrał mnie na polowanie i polowałem na bizona. Wiedziałeś, że oni tam mają bizona?

Czy Andrzej Duda ma z kim przegrać?

A kto jest w zestawie pionków?

Zacznijmy od niżej notowanych kandydatów. Nie przepada pan za PSL, ale Władysław Kosiniak-Kamysz ostatnio zrobił się bardziej konserwatywny, przed wyborami dogadał się z Kukizem, przez co głosi więcej wolnorynkowych postulatów... Wierzy pan w tę zmianę?

PSL jest jak prostytutka, daje każdemu, byleby zarobić. A Kosiniak-Kamysz nie ma twarzy prezydenckiej i słabo gada. W przypadku, gdy osobowość się nie liczy, twarz musi być przyjemna. Nie jego wina, ale ma twarz jak pupka. Może powinien zapuścić brodę lub wąs Witosa. Już na sam wygląd jest zbyt miękki na przywódcę. Gdybym był z Kosiniakiem-Kamyszem w knajpie i zaczęłyby się bijatyka, nie liczyłbym na to, że mnie obroni. A tego właśnie oczekuję od prezydenta – że nas obroni.

Małgorzata Kidawa-Błońska miała być nową, lepszą twarzą Platformy. Bo taka sympatyczna, otwarta, konciliacyjna... Domyślam się, że do poparcia PO nikt nie byłby w stanie pana namówić, ale może na tle swoich partyjnych kolegów Kidawa-Błońska sprawia przynajmniej dobre wrażenie?

Z buzi dama, owszem. I z polskich polityków żeńskich najlepiej zrobiona – włos, makijaż, biżuteria. Nie wygląda jak chłop z broszką (i tu akurat, wbrew pozorom, myślę o Merkel), nie wygląda jak wredna baba z bazaru (i tu zgodnie z przypuszczeniem, myślę – owszem – o Kopacz). Nie wygląda też wcale jak Róża Thun. Czyli z wyglądu ma dużo zalet. Innych zalet nie ma wcale. Margaret Thatcher umiała na pastnika obezwładnić za pomocą torebki, Kidawa-Błońska... nie widzę jej w roli osoby wydającej rozkazy generałom.

Kandydatce Platformy głosy zabierze pewnie Szymon Hołownia. Był pan kiedyś jego gościem w programie TV Religia. To było starcie konserwatywnego „katola” Cejrowskiego z liberalnym „fajno-katolikiem”. Stwierdził pan wówczas, że Hołownia „sam się wykluczył z Kościoła”. Jednak to przecież publicysta katolicki, tyle że bardziej liberalny...

Wodzirej z TVN? Nie studiuję twórczości tej grupy. Papież Franciszek też bywa od czasu do czasu „liberalnym publicystą katolickim” i wtedy ta twórczość cuchnie herezją. Tamto nagranie w TV to był rok 2012? Już wtedy nie powinien dostawać Komunii Świętej – w sprawie aborcji oraz związków sódomych Hołownia publicznie przeczy doktrynie Kościoła.

A czy ma szanse namieszać w polskiej polityce?

To zależy, kto go wyznaczył i kto go niesie. Takimi rzeczami jak kandydatury prezydenckie w Polsce nie rządzą Naród ani wolny rynek, ani swobodny wybór. Kandydaci są wyznaczani. Jesteśmy szachownicą dla UE i dla Rosji. Głosujemy, ale przy szachownicy siedzą gracze ukryci i to od nich zależy, kogo zbiją, a kto ostatecznie zostanie. Pionek na szachownicy może sobie nie zdawać sprawy z tego, że ktoś go posuwa, ale to nie pionek prowadzi tę grę. Hołownia jest raczej adiutantem niż generałem.

Namieszać na pewno miał prof. Tomasz Grodzki. To dopiero miała być nowa twarz PO. „Marszałek jest człowiekiem uczciwym, lekarzem z powołania, a jest obrzydliwie atakowany, bo jest śmiertelnym zagrożeniem dla PiS jako symbol zwycięstwa w Senacie” – powiedział Tomasz Siemoniak, broniąc Grodzkiego w sprawie zarzutów korupcyjnych. Jak pan to skomentuje?

Nie musiał pan cytować. Gdy wiem, kto się wypowiedział, nie muszę już słyszeć co powiedział, bo wiem z góry, co powie. Pan też wie. Każdy nasz czytelnik wie. Politycy są jak katarynki i mają rozpisane role. Nigdy poza te role nie wychodzą.

Grodzki jeździł do Brukseli w sprawie polskich ustaw sądowych, zaprosił do Polski Komisję Wenecką... W zasadzie prowadzi równoległą do MSZ politykę zagraniczną. Co PiS powinien z tym fantem zrobić?

Ważniejsze jest, co z tym fantem zrobił – nic.

PiS cieszył się z wyboru Ursuli von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej. Tymczasem jej zastępczyni – Věra Jourová – postępuje wobec Polski podobnie jak wcześniej Timmermans. A nawet idzie dalej – próbuje ingerować w polskie ustawodawstwo sądownicze jeszcze w trakcie ich procedowania. To Unia taka silna czy Polska taka słaba?

Brak mężczyzn: „A jeżdżaj mi, babo, stąd! Polska jest niepodległa, ja zostałem demokratycznie wybrany na prezydenta, a ty, babo, zostałeś jedynie mianowana na swój stołeczek, więc zjeżdżaj. Marszałek Senatu wszedł w moje kompetencje prezydenckie, z nim sobie pogadam potem, ale ty, babo, od razu wynocha! Wygrasz wybory w Polsce, to pogadamy, ale teraz WON”. Takie mniej więcej miałbym oczekiwanie wobec prezydenta Dudy w tej sprawie. Oczywiście ja mu tu napisałem tylko taki bryk, jeżeli chciałby zmodyfikować gramatykę i styl na bardziej osobisty, proszę bardzo, choć zasadniczo wcale nie ma po co. Niech zacytuje wprost.

Tym razem powodem świeckiego oburzenia Komisji Europejskiej jest ustawa wprowadzająca odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów m.in. za kwestionowanie wyboru innych sędziów czy za „działalność publiczną niedającą się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów”. PiS mówi, że takie rozwiązania są potrzebne, żeby skończyć z upolitycznieniem sądownictwa. Opozycja mówi, że to „ustawa kagańcowa”; zamach na wolność i pierwszy krok do polexitu. Może więc Wojciech Cejrowski ucieszyłby się, gdyby z powodu wojny z sędziami wyrzucono nas z Unii?

Polexit to nie to samo co wyrzucenie z UE. Exit znaczy wyjście – samodzielne i suwerenne, a wyrzucenie to działanie wbrew woli uczestnika dyskoteki, którego wyklądają wystawia za drzwi. Na wyrzucenie z Unii trzeba by wymyślić inne słowo (polwon, polgo), ale zasadniczo jest mi obojętne, w jaki sposób Polska opuści UE; byle wreszcie opuściła ten klub zadłużo-

nych bankructw jadących na deficycie, klub otwartych granic, przez które wlewa się terroryzm, klub tęczyowych nauczycieli wuefu.

Czy naprawdę cieszyłby się Wojciech Cejrowski rolnik? Przecież Unia taka hojna, dotacje daje!

Dotacje psują wolny rynek i prowadzą do zadłużenia. Gdy istnieją dotacje, robi się całą masę inwestycji nierynkowych lub nikomu niepotrzebnych – bo jest forsa do wzięcia i władza będzie głupio wyglądała, gdy nie weźmie. Bierze więc i buduje coś na wyrost, coś niepotrzebnego – za cudze pieniądze stawia się rzeczy niekoniecznie potrzebne, przydatne i rentowne. Gdy inwestuję własną forszę, oglądam każdą złotówkę pod światło, czy aby na pewno warto wydać. I buduję oszczędnie. Dotacje są słodkie, ale niezdrowe – jak cukierki, od których wypadają zęby.

Dotacje do rolnictwa powodują, że ceny na produkty rolne są niezdrowe z ekonomiczną. Urzędnik reguluje wysokość dotacji, czyli ustala ceny żywności, a w kapitalizmie ceny powinien ustalać wolny rynek. Potem, nagle, na dotacje brakuje forsy (bo... nastąpił brexit i jest mniej składek) i wtedy rynek się wali.

Stryj mi od kilku lat tłucze do głowy, że mam OBOWIĄZEK brać dotacje: „Okradają cię wysokimi podatkami, to sobie przynajmniej trochę odbierz w formie dotacji do swojej ziemi”. I... stryj chyba ma rację. Ja tę odzyskaną forszę zainwestuję lepiej i stworzę więcej miejsc pracy, niż stworzyłoby państwo z moich podatków.

Wie pan, za co Unia płaci? Mam kilka hektarów łąki. Z powodu unijnych utrudnień w hodowli nie puszczam tam na razie bydła. Dotacja do łąki, której się nie uprawia nowoczesnymi metodami, lecz kosi za pomocą starej ręcznej kosi – ochrona żabek, zaskrońców i polnych myszy – dotacja do takiej łąki jest dużo wyższa niż to, co mogę zarobić, gdybym zbierał siano traktorem. Czyli bardziej mi się opłaca, gdy łąka nie jest wykorzystywana gospodarczo. I chyba tak właśnie zrobię – co mi obca przemoc wzięła (w podatkach), kosą odbierzemy. Przelecę łąkę kosą, a oni mi za to zapłacą. Za technologiczne cofnięcie się w rozwoju do czasów pierwszej wojny światowej!

Tak, wiem, że Unia nas demoralizuje, okrada z pieniędzy i odbiera nam niepodległość. Jednak na razie jakoś musi pan sobie radzić i prowadzić biznes w zdemoralizowanym, okradanym i podległym Unii kraju. Przecież pan sobie radzi...

Jak w obecnym układzie karać lub zablokować władzę sądowniczą? Ta jedna z gałęzi władzy nie odpowiada przed nikim, poza samą sobą

Radzę sobie świetnie, ale radziłbym sobie dużo lepiej w Polsce położonej poza Unią. Coraz więcej kapitału inwestuję za granicą. Czy o to nam chodziło? O taką Polskę? Nie wszyscy mogą tak jak ja wyprowadzić część interesów za ocean.

Sprzedaję moje żyto do piekarni Machela. Przepiękna rodzinna firma piekarska. Założył ją ojciec, potem przekazał w ręce synów, zięciów i szwagrów. Mają już kilkanaście piekarni w Kotlinie Kłodzkiej. Mieliby sto, gdyby tu panował zdrowy wolny kapitalizm, wolny rynek. Tak, my, rzemieślnicy, rolnicy, producenci, „musimy sobie radzić”. A ja bym wołał, żeby Polski przedsiębiorca wyzwolił się kiedyś z tego „musimy” i mógł wreszcie rozwinąć skrzydła bez ograniczeń. Jakich? Przykład: produkuję najczystsze żyto – od wielu lat pola nie były przyskane ani nawożone żadną chemią – ale UE utrudnia mi jego sprzedaż. Nie mogę na etykiecie napisać „eko”, „bio”, „zdrowa żywność” – wszystkie te słowa są w Unii zarejestrowane i oznaczają żyto gorsze od mojego. Gdybym nie był pisarzem, to nie umiałbym znaleźć słów na etykietę, za pomocą których mogę podać prostą prawdę. Za komuny zajmowaliśmy się omijaniem głupich przepisów i teraz podobnie. Przykład drugi: wyprodukowałem ostry sos z papryki. Mogę go sprzedawać prosto z gospodarstwa i sprzedaję, ale żeby go w piekarni Machela postawić na półce obok chleba, przechodzę „procedury”. Trwają już ponad pół roku. Przed wojną odpowiedzialność za mój sos brałbym ja przed sklepikarzem, a sklepikarz przed swoim klientem. I biznes kręciłby się dużo szybciej.

Wróćmy do „ustawy kagańcowej”, bo mi pan nie odpowiedział...

Bardzo dobra nazwa – kaganiec, kajdany. Sędziowie powinni przed kimś odpowiadać za swoje czyny i zaniechania. Nie tylko przed innymi sędziami, lecz także przed pozostałymi gałęziami władzy. Władze mamy trzy – ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Ta trzecia jest bezkarna, bo odpowiada jedynie sama

przed samą. To niedobrze. Sędziowie nie powinni być sędziami we własnej sprawie. Ktoś inny powinien ich wywalać i zatrudniać. Większość sędziów powinna być wybierana przez swoje lokalne społeczności, pozostałą część nominuje prezydent, a potem zatwierdza lub nie parlament – tak byłoby lepiej.

Dzisiaj jest tak, że prezydent może blokować parlament za pomocą weta. Sejm może blokować władzę wykonawczą za pomocą budżetu. Może też odwołać premiera lub postawić urzędnika władzy wykonawczej przed Trybunałem Stanu. Parlament można podać do sądu – ustawa trafia do Trybunału Konstytucyjnego. A jak w obecnym układzie ukarać lub zablokować władzę sądowniczą? Nie ma mechanizmu. Niedobrze. Ta jedna z gałęzi władzy nie odpowiada przed nikim, poza samą sobą.

Ogólnie każda władza, cała władza powinna mieć nałożony kaganiec i kajdany – inaczej system idzie w kierunku tyranii. Wszystkie trzy władze powinny mieć możliwość blokowania pozostałych – wtedy utrzymuje się zdrowa równowaga sił. Każda z tych władz ma być niezależna, ale jednocześnie możliwa do zablokowania przez dwie pozostałe.

Sędziowie powinni też odpowiadać za konsekwencje swoich złych wyroków: sędzia wypuścił złodzieja na warunkowe, złodziej na warunkowym dokonuje rabunku – sędzia odpowiada za współudział. Wyrok pierwszej instancji został podważony w instancji wyższej – sędziemu nie płaci się za pierwszą instancję, bo odwalił fuszerkę. Im się ogólnie powinno płacić na akord – honorarium od sprawy, a nie pensja. Wtedy procedowałiby dużo szybciej i baliby się wyroków podważalnych, bo za wyrok podważony nie ma honorarium.

Rozmawialiśmy już o sporach z Brukselą, to teraz przejdźmy do konfliktu z Moskwą. „Zostaliśmy zaatakowani najwyższymi ustami w Rosji, w związku z tym najwyższe usta w Polsce powinny odpowiadać” – tymi słowami komentował pan grudniowe oskarżenia ze strony Putina pod polskim adresem. Jednak na zaczepki prezydenta Rosji odpowiedział bardzo ostrym listem otwartym premier Morawiecki, którego porównał pan z „sekretną”. Może to nawet lepiej – obniżając rangę odpowiedzi, Polska pokazała, że nie traktuje insynuacji Putina poważnie?

Jeżeli Polska nie traktuje insynuacji Putina poważnie, to niedobrze. Rosja jest graczem dużo większym od Polski, mocniejszym, ważniejszym na arenie międzynarodowej. Z głosem Rosji się liczą,

z głosem Polski mniej albo wcale. A dowodem na to jest to, że Putin w Izraelu przemawiał, a Polska nie. Putina cytuję się na całym świecie – czyli Putin bardzo głośno i w dużym nakładzie publikuje oskarżenia na temat Polski. Odpowiada nie mu nawet najostrzejszym listem, ale urzędnika niższego szczebla, powoduje, że polski głos nie jest słyszalny, nie jest cytowany. Gdyby zareagował prezydent, a potem premier, a potem jeszcze Konwent Seniorów polskiego parlamentu i prymas, i Związek Ofiar, i ogólnie WSZYSCY; gdybyśmy wywalili ambasadora Rosji i zrobili aferę – całą SERIĘ głośnych ruchów w tej sprawie – to może udałoby nam się z polskim głosem przedrzeć. Może ktoś by nas zacytował w tych samych miejscach, w których cytowano Putina.

Janusz Korwin-Mikke stwierdził, że Polska nie powinna w ogóle odpowiadać na ataki Putina, bo z kłamcami się nie dyskutuje, kłamców nie traktuje się poważnie. To jakbym słyszał Wojciecha Cejrowskiego, mówiącego: „Z głupkami nie warto rozmawiać”.

Putin nie jest głupkiem. Jest bardzo potężnym przeciwnikiem o ogromnej sile propagandowej. To, co opowiada o Polsce, to nie są głupoty, lecz propaganda i polity-

ka historyczna. Niemcom pasują „polskie obozy śmierci”, Rosji też pasują i pasują Izraelowi. Jeżeli to kłamstwo na temat „polskich zbrodni” zostanie przez świat uznane za prawdę historyczną, to będzie nas kosztowało nie tylko 300 balonów z paragrafu 447, lecz także dodatkowe odszkodowania na rzecz ofiar „wymordowanych przez Polaków”. To nie są głupoty, które opowiada głupek – to jest ogromne zagrożenie.

Skrytykował pan Andrzeja Dudę za to, że postanowił nie pojechać na Światowe Forum Holokaustu do Izraela. „Prezydent nie może się obrażać! Ma walczyć!” – komentował pan. Jednak przecież to byłaby kompromitacja, gdyby Andrzej Duda musiał biernie wysłuchiwać rosyjsko-izraelskiej, sprzecznej z naszą, wizji historii, nie mając przy tym prawa głosu...

Nie mówiłem, że ma jechać na siłę i siedzieć cicho. Mówiłem, że nie powinien się poddawać, lecz WALCZYĆ O PRAWO DO WYPOWIEDZI. Że powinien tak długo i mocno walczyć, aż w końcu ustąpią i pojedzie przemówić, a Polska odzyska głos.

A może zgadza się pan z Hanną Gronkiewicz-Waltz, że to błąd, bo nieobecni nie mają prawa głosu? I że Duda w razie jakichś skandalicznych wypowiedzi mógł zwołać konferencję prasową i opowiedzieć, jaka ta Rosja jest zła?

Ponieważ z głupkami nie warto rozmawiać, więc słów HGW komentować nie będę. Działalność jej urzędu w sprawie kamienic to gang szmalcowników, więc tym bardziej powinna siedzieć cicho. I w dodatku za kratkami.

Co prawda, w Jerozolimie przemawiał Putin, nie było zaś Dudy, jednak prezydent Rosji, wbrew przewidywaniom wielu komentatorów, nie zaatakował Polski wprost. Pod niebiosa wychwalał Armię Czerwoną za pokonanie Hitlera, mówił o „pomocnikach nazistów”, ale nic o „polskich sprawcach” czy „polskich obozach”. Powiedział za to: „Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy byli uznawani przez nazistów za podludzi; narody słowiańskie miały być albo zniszczone, albo stać się niewolnikami bez własnej kultury, pamięci historycznej i języka”. To może jednak te straty wizerunkowe nie będą takie straszne?

Pan chwilę poczeka i sam się przekona, ile nas będzie kosztowało to wychwalanie Armii Czerwonej. Armia Czerwona była sojusznikiem Hitlera, gdy w niemieckich obozach dymiły już krematoria. Pokłócili się później, ale najpierw pomagali sobie w rozkręceniu tej wojny. Stalin wymordował więcej ludzi niż Hitler i robił to dłużej. Sowieckie obozy śmierci – GUŁag – to 10 Holokaustów. Stalin zabił więcej Żydów niż Hitler, więcej Polaków, księży, Cyganów

Machela
CHLEB
Kolonialny
NATURALNIE NA ZAKWASIE
*Wypieczono na życie
z pola Wojciecha Cejrowskiego*

**ŻYTO
BEZ OPRYSKÓW
BEZ NAWOZÓW
BEZ DOTACJI**

facebook.com/piekarnia.machela

www.Machela.pl

■ itd. Ilu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata pochodziło z Rosji? Dwoje. Z Polski 7 tys. Wychwalanie Armii Czerwonej jest strzałem w Polskę, tyle że Putin umiał założyć tłumik na lufę. Mamy się cieszyć, że strzał był cichy, podczas gdy kula trafiła, gdzie miała trafić?

Głupi są ci komentatorzy, którzy spodziewali się ataku na Polskę wprost. Sformułowanie „pomocnicy nazistów”, którego użył Putin – pan chwilę poczeka i usłyszysz, jak zostanie przetłumaczone na mowę potoczną. Przecież to o nas tak mówią i o nikim innym różne osoby typu Gross. I słowo „naziści” też jest częścią tego tłumika. Nie powiedział „Niemcy”. Putin nie jest głupi, jego przemówienie zostało bardzo misternie utkane. Koronkowa serwetka utkana z drutu żyletkowego. I na tej serwetce postawił tort, bardzo smaczny dla wszystkich, a dla Polski trujący. W pewnym sensie (przewrotnym) można tę misterną robotę podziwiać – wybitny kunszt w złej sprawie. I Putin pewnie nawet nie uważa, że działa w złej sprawie – on przecież w sposób doskonały reprezentuje imperialny interes swojego kraju. My się cieszymy, że nie huknęły mocne słowa, a w tym czasie on cieszy się, że kula trafiła w cel.

„Mijają trzy pokolenia od tamtego dnia, kiedy kilka tysięcy więźniów wycieńczonych pracą, głodem i chorobami doczekało się wyzwolenia wreszcie przez żołnierzy Armii Czerwonej” – mówił Andrzej Duda w Oświęcimiu, podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Czyli po wymianie ciosów pomiędzy Moskwą a Warszawą ostatecznie i tak polski prezydent oddaje w pewnym sensie historyczną sprawiedliwość Rosjanom. Jak pan ocenia tę wypowiedź?

Historyczna sprawiedliwość byłaby, gdyby powiedział coś takiego: „Gdy w sierpniu 1944 r. wybuchło powstanie warszawskie, Armia Czerwona zatrzymała się na Wiśle. Mogli kontynuować ofensywę, ale stanęli w miejscu. Armia Czerwona mogła wyzwołać Auschwitz dużo wcześniej, uratować tysiące ludzi, ale zatrzymała się na Wiśle. W ten sposób Stalin pomagał Hitlerowi wykończyć Warszawę. Pomagał poprzez zaniechanie działań. Z powodu tego zaniechania tysiące więźniów obozu nie zostały uratowane. Taka jest prawda historyczna”.

Gdyby takie słowa padły z ust Dudy, można by mówić, że oddał Rosjanom sprawiedliwość. Tymczasem Duda powiedział w zasadzie to samo, co wcześniej Putin w Izraelu.

Duda stwierdził też: „Fałszowanie historii drugiej wojny światowej, zaprzeczanie zbrodniom ludobój-

stwa i negowanie Holokaustu oraz instrumentalne wykorzystywanie Auschwitz dla jakichkolwiek celów – to bezczeszczenie pamięci ofiar, których prochy są tutaj rozsypane”. Czy to słowa wystarczająco mocne, aby dać odpór fałszerzom takim jak Putin?

To słowa ogólnikowe. Dostojne frazesy. Takie słowa mają małą moc. Gdy pani przedszkolanka krzyknie w przestrzeń: „Tak nie wolno!”, mało kto reaguje. Gdyby krzyknęła: „Maciek, tak nie wolno!”, wówczas może Maciek zwróciłby na nią uwagę, a inni zwróciliby uwagę na Maćka. A tak... Nie bardzo wiadomo, o kim i do kogo te słowa.

Jak to się w ogóle stało, że kraj, z którego pochodzi najwięcej Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, kraj, na którego terenie znajdował się obóz Auschwitz-Birkenau, przy okazji rocznicy wyzwolenia tego obozu jest tak poniewierany na arenie międzynarodowej? Słabość naszej dyplomacji czy może wobec potęg Izraela i Rosji jesteśmy bezsilni?

Bezsilni, bo ta dyplomacja nie jest nasza. Nie było opcji zerowej, czyli WSZYSCY WON. Polska nie ma przywódców, którzy potrafiliby tupnąć nogą, brak mężczyźni – same miękkie parówki. Mówiłem to już panu tyle razy, że może zmieńmy temat. Bo co ja panu powiem nowego? Proszę mi pokazać jednego mężczyznę w polskiej polityce. Jednego Reagana, Trumpa, Margaret Thatcher, jednego Bismarcka, Churchilla, Piłsudskiego. Nie ma. A w Rosji jest Putin – bardzo silny. W Izraelu jest Netanjahu – silny, sprawny i nikogo się nie boi. W Rajchu jest Merkel, która przestawia pionki na europejskiej szachownicy. A Polska nie ma ani jednej

W Polsce bagno utopiło Kukiza, a teraz topi Konfederację

mocnej postaci, nie mamy żadnej polskiej doktryny międzynarodowej, nie mamy nikogo, kto postawiłby jakieś cele i miał za sobą Naród. Jesteśmy szachownicą pełną słabych pionków. I dlatego nie jesteśmy liczącym się graczem.

Co pan jednak proponuje konkretnego? Założmy, że mamy taką mocną postać w Pałacu Prezydenckim. Jakże ona, według pana, ma ruchy do wyboru? Sytuacja wydaje się patowa, przegrana.

W polskiej dyplomacji siedzi cała masa ludzi ruskich i dlatego w tej konkretnej

sprawie sytuacja jest patowa. Dyplomaci nie zrobili nic poza ruchami pozornymi, więc Duda nie pojechał do Izraela i Polska nie miała głosu.

Mocny facet na tym stanowisku zrobiłby tak: w pierwszym dniu urzędowania wymiana wszystkich ruskich ambasadorów na nowych. Nowi na początku może i będą nieporadni, ale się nauczą. Mają być przede wszystkim polskimi patriotami – reszta kwalifikacji jest ważna, ale drugorzędna.

W drugim dniu kadencji – znając zagrożenie żydowskie – prezydent jednostronnie, jako pierwszy na kuli ziemskiej, powinien być zrobić to, co kilka lat później zrobił Trump, czyli przenieść ambasadę do Jerozolimy w zamian za... – i tu się dogadujemy w zamian za co. Izrael tego bardzo potrzebował – wtedy – potrzebował jako symbolu od wielu lat. Prosił, zabiegał i błagał. Duda objął urząd latem 2015 r. i wtedy Izrael nie wiedział jeszcze, że przyjdzie Trump, wtedy miała wygrać Hillary Clinton, więc bylibyśmy pierwsi z przeniesieniem ambasady do Jerozolimy w zamian za... coś, na czym nam zależy. Na takich ruchach polega dyplomacja, tylko trzeba się ORIENTOWAĆ, czego potrzebuje przeciwnik.

Żydzi byli tak mocno od wielu lat rozczarowani obietnicami kolejnych kandydatów i prezydentów w sprawie Jerozolimy, że można to było rozegrać. Teraz... Trump przeniósł ambasadę, a my nadal nie i po Trumpie to już nie to samo – nie ten sam akt odwagi. Na takich aktach odwagi polega załatwianie ważnych spraw. I to był tylko przykład, jeden z wielu możliwych. Duda tej szansy nie wykorzystał, bo – moim zdaniem – nie jest aż tak odważny. Planuje reelekcję, więc pierwsza kadencja miała być miękka. A druga kadencja będzie miękka, bo będzie chciał zostawić ogólnie miłe wrażenie.

Może po prostu nie wpadł na ten pomysł...

Ja o tym mówiłem głośno, zagrożenie roszczeniami żydowskimi komentuję od lat. Pewnie więc słyszał, ale tego typu pomysły wydają się ludziom polityki zawsze zbyt radykalne. W Ameryce jest podobnie. Dopiero gdy przyszedł Trump, zaczęły się działania odważne i ryzykowne. Rozmowy z Koreą Północną. Na razie bezskuteczne, ale przynajmniej odważne, stanowcze. Rozmowy z Chinami, odważne i... skuteczne, jak się okazało. Renegocjacja złych umów handlowych z Meksykiem i Kanadą – odważna i skuteczna. Podobnie Duda mogłaby odważnie zerwać kontrakty

handlowe na dostawy gazu, który kupujemy z Rosji po absurdalnych cenach. My jednak czekamy grzecznie, aż kontrakt sam wygaśnie za dwa lata. Zerwanie przez Trumpa idiotycznych umów klimatycznych (które są tak samo szkodliwe dla Polski jak dla USA) – Duda też mógłby zerwać i kopalibyśmy polski węgiel oraz spalalibyśmy go w polskich elektrowniach. Ale... Duda chce być wybrany na drugą kadencję, czyli... woli nie robić radykalnych ruchów. Tak samo zachowywali się Clinton, Bush – starali się nie mieszać za dużo, bo to robi źle na wizerunek. Zależało im bardziej na reelekcji. Piłsudski działał inaczej, zgodnie ze słowami pieśni: „Na stos rzuciliśmy nasz życia los – na stos, na stos!”. Czyli Ojczyzna najpierw, a mój los osobisty... dla Ojczyzny poświęć, i siebie, i reelekcję, i wszystko, co poświęcić trzeba będzie.

Na koniec przenieśmy się na Bliski Wschód, gdzie jeszcze niedawno pachniała wojną naszych amerykańskich sojuszników z Iranem. Stwierdził pan, że powinniśmy wycofać wojska z Iraku. To byłby akt odwagi? Czy nie byłaby to jednak jednocześnie zdrada sojusznika, gdybyśmy zrobili to wbrew Amerykanom? Waszyngton mógłby wtedy np. zredukować flankę wschodnią NATO.

To trzeba zrobić tak, żeby Ameryka zrozumiała. Trump od wielu lat był – i nadal jest – za wycofaniem amerykańskiego wojska z zagranicznych wojen. „Poszliśmy tam po nic i siedzimy tam po nic” – to jego słowa w odniesieniu do obecności USA w Afganistanie. Wystarczyłoby mu to zacytować w ramach sojuszniczej rozmowy o interesach. Mamy mocne karty, bo płacimy swoją składkę do NATO jako jedni z niewielu. Mamy mocne karty, bo Niemcy wkurzyli Trumpa i teraz on przesuwając wojsko z Niemiec do Polski. Akurat w tej sprawie mamy dość mocnych kart, by to rozegrać z Amerykanami. I można to było załatwić w trakcie obiadu po wystąpieniu Trumpa pod pomnikiem powstania warszawskiego, gdy był dodatkowo zachwycony Polską, owacjami, faktami historycznymi, których się nauczył, gdy czytał swoje przemówienie. Tylko że... na tym obiedzie brak było polskiego mężczyzny – męża stanu, który umiałby załatwiać SPRAWY, a nie tylko jeść. Bolesław Chrobry wiedziałby, jak to przeprowadzić.

O tym, że trzeba się wycofać z Bliskiego Wschodu, na krajowym podwórku mówi głośno Konfederacja. Jak panu się podoba jej aktywność w Sejmie?

Jest bez znaczenia praktycznego. Symboliczna. W Polsce mamy utrwalony (za pomocą ordynacji wyborczej) system dwupartyjny. Mamy te wszystkie lewice razem wzięte (KO + SLD + cała reszta resortowych dzieci) oraz mamy lewicową „prawicę”, czyli PiS. Reszta towarzystwa się nie liczy. Lewica z lewicą zamieniają się miejscami i mamy lewicowy PiS przy władzy, a potem lewicową lewicę przy władzy, a lewicowy PiS w opozycji. W końcu. To jest podobne do tego bagna, które Trump próbuje osuszyć w Waszyngtonie i idzie mu ciężko, bo bagno wciąż i topi. W Polsce bagno utopiło Kukiza, a teraz topi Konfederację. Mają jeszcze chyba głowę i jedną rękę na powierzchni, ale ręka machająca ponad bagnem to nie jest skuteczne działanie. No a Korwin-Mikke usiadł i już nawet nie macha, lecz stanowi obciążenie. Pojedyncze wypowiedzi Konfederacji mogą kogoś ucieszyć (ale im dosoli!), ale nie przekładają się na żadne skutki praktyczne. To chyba nie ich wina, lecz ordynacji, która nie daje praktycznych szans nikomu nowemu. Mamy zabetonowane i to nie jest beton polskiej produkcji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Narty, sanki, snowboard?

LINK 4

Ubezpiecz się na zimowy wyjazd

już od
8 zł
za dzień!

**Sprawdź
22 444 44 44**

www.link4.pl lub zapytaj Agenta



REKLAMA

Składka 56,11 zł (8 zł za dzień) dla jednej osoby na 7 dni. Cena uwzględnia rabat za zakup polisy przez Internet. Region Europa obejmuje: koszt leczenia + Assistance SU 300 tys. zł, OC w życiu prywatnym na 300 tys. zł oraz amatorskie uprawianie sportów zimowych. Szczegółowy zakres ubezpieczenia i wyłączenia sprawdź w OWU na www.link4.pl



Rafał A. Ziemkiewicz

Prawniczy establishment i wspierająca go część opozycji wiedzą, że z demokracją przegrają, ale chcą dotrwać do chwili, gdy naciski UE złamią Polaków, i odebrać wtedy swą nagrodę

Mało kto zauważa, jak krańcowo zmieniły się hasła prawniczego rokoszu. Rozpoczęty został przed kilku laty „w obronie Trybunału Konstytucyjnego”, głosząc, że orzeczenia Trybunału są ostateczne i muszą być wykonywane, a on sam jest najważniejszym sądem w Polsce i jego rozstrzygnięcia są ponad rozstrzygnięciami wszystkich innych sądów. Dzisiaj ci sami sędziowie, profesorowie i politycy twierdzą, że Trybunał nie ma mocy stwierdzania ani rozstrzygania sporu kompetencyjnego między Sądem Najwyższym a Sejmem, a uchwała trzech arbitralnie wybranych przez prezes Gersdorf izb Sądu Najwyższego jest ponad orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego.

Jest to skutek jeszcze bardziej zaskakującej zmiany frontu. Na początku hasłem buntu przeciwko rządowi PiS była „obrona konstytucji”, rzekomo łamanej przez PiS. Hasło, że Konstytucja RP jest prawem najwyższym, niepodlegającym dyskusji ani negocjacji, powtórzono zostało tysiące razy, samo słowo, w układzie graficznym wydobywającym z niego sylaby „ty” i „ja”, wypisywane na transparentach, plakatach, koszulkach i płachtach nawlekanych przez działaczy opozycji na pomniki, zyskało status logo opozycji. I oto wszystko to z chwilą udzielenia przez TSUE odpowiedzi – niejednoznacznej zresztą – na pytanie prejudycjalne o status sędziów rekomendowanych przez nową KRS okazało się nieaktualne. Teraz już to nie Konstytucja RP jest prawem nadrzędnym, tylko prawo wspólnotowe, którego wykładnię daje TSUE.

Uchwała trzech izb Sądu Najwyższego stoi więc, zdaniem zwolenników prezes Gersdorf, ponad orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego, ponieważ stanowi realizację nadrzędnego wobec

polskiej konstytucji wyroku TSUE – który wskazał jako właściwy organ do badania prawomocności KRS nie, jak wynika z polskiej konstytucji, TK, lecz właśnie pytający go o to Sąd Najwyższy.

KONSTYTUCJA NAJPIERW

Oznacza to, że rokoszanie odrzucają już nie tylko obecny Trybunał Konstytucyjny, ten, który media opozycji deprecjują jako obsadzony przez „dublerów” i kierowany przez znajomą Jarosława

orzekł wówczas Trybunał, co następuje: „Zasada pierwszeństwa prawa wspólnotowego w stosunku do prawa krajowego jest silnie eksponowana przez orzecznictwo Trybunału Sprawiedliwości Wspólnot Europejskich [...]. Nie ona jednak determinuje ostatecznie decyzje podejmowane przez suwerenne państwa członkowskie w warunkach hipotetycznej kolizji [...]. W polskim systemie prawnym decyzje tego typu winny być podejmowane zawsze z uwzględnieniem



Kaczyńskiego – odrzucają także bardzo jednoznaczne w tej sprawie orzeczenia Trybunału z czasów, kiedy był on kierowany i obsadzony przez poprzednie ekipy, w tym przez ludzi dziś będących autorytetami czy nawet przywódcami buntu.

Nawet osobie mało wprawnej w przeszukiwaniu Internetu nie zajmie wiele czasu dotarcie do wyroku TK K18/04 z 11 maja 2005 r. Interpretując traktat akcesyjny pod kątem ewentualnych kolizji między prawem wspólnotowym,

treści art. 8 ust. 1 Konstytucji. Zgodnie z art. 8 ust. 1. pozostaje ona najwyższym prawem Rzeczypospolitej”.

Skoro weszliśmy już w wyszukiwarkę, cytujmy dalej: „Konstytucja RP zachowuje nadrzędność i pierwszeństwo wobec wszystkich aktów prawnych [...] w tym także prawa unijnego. Taka pozycja Konstytucji wynika z art. 8 ust. 1 Konstytucji i została potwierdzona w dotychczasowym orzecznictwie Trybunału Konstytucyjnego [...] Konstytucja pozostaje prawem najwyższym w stosunku do

wszystkich wiążących Rzeczpospolitą Polską umów międzynarodowych [...] wobec wskazanej pozycji Konstytucji jako najwyższego prawa RP dopuszczalne jest badanie zgodności z nią norm rozporządzeń unijnych”.

Drugi cytat pochodzi z wyroku o sygnaturze SK45/09 z 16.11.2011 r., który z punktu widzenia prawa jest szczególnie istotny, bo podtrzymał wcześniejszą linię TK już po podpisaniu i ogłoszeniu w polskim Dzienniku Ustaw RP traktatu



„Państwa członkowskie zachowują prawo do oceny, czy prawodawcze organa wspólnotowe wydając określony akt, działały w ramach kompetencji przekazanych [tzn. czy nie wykroczyły poza kompetencje, które zgodziło się państwo przekazać Unii w zawartym traktacie – a nie ulega wątpliwości, że o organizacji krajowych systemów sądownictwa nic w traktatach UE nie ma]. Przekroczenie tych ram powoduje, że wydane poza nimi akty nie są objęte zasadą pierwszeństwa prawa wspólnotowego”. To co prawda nie wyrok TK, tylko podręcznik „Prawo Unii Europejskiej. Zagadnienia systemowe”, ale o tyle ciekawy, że autorem tych słów jest z kolei Stanisław Biernat, w Trybunale Konstytucyjnym za rządów PO-PSL zastępca i prawa ręka Andrzeja Rzeplińskiego, a zdaniem wielu spirytus movens jego działań – dziś aktywny uczestnik protestów „w obronie sędziów”.

SYMBOLICZNE WOLTY

Obie te wolty są bardzo symboliczne dla sytuacji, w której się znaleźliśmy. Powołując się na nadrzędność prawa UE nad krajowym, Małgorzata Gersdorf i jej sędziowie nie tylko ignorują całą dotychczasową linię orzecniczą Trybunału Konstytucyjnego, nawiasem mówiąc, zbieżną w tej kwestii z orzecnictwem wielu innych sądów konstytucyjnych, w tym włoskiego, hiszpańskiego i niemieckiego. Ten ostatni fakt też ma swoje znaczenie polityczne, skoro to właśnie Niemcy są nam przez środowiska, dziś będące z „opozycji totalnej”, nieustannie stawiani za wzór. Były komisarz europejski Janusz Lewandowski otwarcie powiedział w wywiadzie udzielonym Tomaszowi Lisowi, że to właśnie „pomruki dochodzące z niemieckiego sądu konstytucyjnego” sprawiły, że – wbrew nadziejom liderów rokoszu i zapowiedziom samego rzecznika TSUE – orzeczenie w sprawie legalności polskiej KRS było unikowe i tylko uznawało polski Sąd Najwyższy za uprawniony do jej podważenia. Mówiąc, że uchwała trzech izb SN jest „wykonaniem wyroku TSUE”, prezes Gersdorf mija się z prawdą, bo jest ona tylko interpretacją tego wyroku.

Interpretacją, nawet jeśli przyjąć na chwilę zasadę nadrzędności orzeczeń TSUE nad prawem polskim, również prawniczo nieuprawnioną, na co między innymi zwracał uwagę, jeszcze przed jej przyjęciem, na łamach „Rzeczypospolitej” były przewodniczący KRS i sędzia

Sądu Najwyższego w stanie spoczynku prof. Antoni Górski. Aby oszczędzić już czytelnikom prawniczego języka, podam tylko przywołane przez niego postanowienia TK Kpt 1/08 z 3.06.2008 i OTK-A 2012 nr 6 poz. 63 oraz wyrok NSA LEX nr 2441401 – z których wynika jasno, że nawet podważenie legalności wyboru KRS, co czynią sędziowie prezes Gersdorf, nie może być podstawą do podważania prawa do orzekania sędziów przez nią rekomendowanych. Sędziów bowiem powołuje nie KRS, ale prezydent RP, który działa bezpośrednio, wykonując postanowienia konstytucji i nie musi w tym rekomendacji KRS uwzględniać.

Tymczasem istotą rzekomego „wykonania wyroku TSUE” przez trzy izby SN jest nie tylko zakwestionowanie niezależności członków nowej KRS jako wybranych przez polityków – co też nie ma „umocowania” w konstytucji, bo ta stanowi jedynie, kto może być do KRS wybierany, lecz nic nie mówi, kto może do niej wybierać – bo według rokoszan istnieje „konstytucyjna” zasada, że mają takie prawo wyłącznie sędziowie, i jest to ich, bardzo naciągana, interpretacja konstytucyjnego sformułowania, że sędziowie są niezależni. W innych krajach przyjęło się jednak, że gwarancją niezależności sędziego nie jest powoływanie przez kolegów po fachu, ale nieusuwalność i kadencyjność w pełnieniu sędziowskich funkcji, dlatego w większości krajów UE sędziów wybierają politycy, w Niemczech zaś niemal wyłącznie politycy – co wyjaśnia, dlaczego TSUE wobec „pomruków” mógł tylko wyrazić wątpliwość co do niezależności polskiej KRS i zachęcić do jej oceny SN.

CORAZ WIĘKSZY ABSURD

Prawniczy rokosz wygląda więc najsłabiej tam właśnie, gdzie – wydawała by się – jego liderzy i uczestnicy powinni być nie do pokonania – na gruncie prawa. Dlatego musi używać argumentów „z autorytetu”, licząc na to, że środowisko podporządkuje się pani Gersdorf, a nie pani Przyłębskiej, a reszta nie będzie w stanie zagłębić się w prawne zawiłości i ich pojąć.

Problem rokoszan w tym, że ich posunięcia sprawiają wrażenie coraz bardziej absurdalnych nie tylko dlatego, że zaczęli oni zaprzeczać samym sobie (dorzućmy np. przypomniany przez rząd fakt, że wybór KRS przez polityków nie był pomysłem PiS, wcześniej znajdował

lizbońskiego. Jak widać, zdaniem Trybunału nic w kwestii nadrzędności Konstytucji RP nad prawem wspólnotowym niezmiennego. Z punktu widzenia polityki ma zaś znaczenie, że przewodniczącym TK, gdy wydawał on ten wyrok, był Andrzej Rzepliński. Natomiast w wypadku pierwszego z cytowanych wyroków funkcję tę pełnił Zbigniew Safjan. Ten sam, który obecnie jest sędzią TSUE i w wywiadach telewizyjnych prezentuje poglądy ze swoim własnym ówczesnym wyrokiem sprzeczne.

■ się w projekcie promowanym przez PO i autoryzowanym przez wspomnianego już prof. Rzeplińskiego). Orzeczenie trzech izb nie wytrzymuje najprostszego testu logicznego. Jeśli, przyjmijmy na chwilę, niepewność co do niezawisłości członków KRS wybranych częściowo przez polityków przekłada się na to, że rekomendowani przez nich sędziowie mimo mianowania przez prezydenta nie są sędziami – to skąd „gersdorfianie” wytrzasnęli formułę sędziego bez prawa do orzekania? A jeśli tacy sędziowie, choć są sędziami w sensie pobierania wynagrodzenia i korzystania ze wszystkich sędziowskich przywilejów, nie mogą orzekać, to orzeczenia, które już wydali, były ważne, a nieważne staną się dopiero od chwili podjęcia przez sędziów SN wspomnianej uchwały? A jeśli ma to swój powód, to dlaczego dotychczasowe orzeczenia sędziów Izby Dyscyplinarnej, będących w identycznej sytuacji prawnej jak wszyscy inni, nawet ci, którzy sędziami zostali już dawniej, a nowy KRS tylko powołał ich do tej izby, zostały jednak uznane za nieważne „po całości”?

I dlaczego, jeśli nawet przyjąć, że SN jest ważniejszy od TK, prezes Gersdorf, zwołując swoje posiedzenie, zignorowała nie tylko „zabezpieczenie” prezes TK, lecz także to wydane przez sędziego Izby Cywilnej Sądu Najwyższego Kamila Zaradkiewicza, który na mocy dokładanie tej samej wątpliwości wyrażonej przez TSUE, czy sędzia mianowany przez polityka jest niezależny, uznał, że w takim razie powinni powstrzymać się od orzekania także sędziowie mianowani sędziami jeszcze przez polityków rządzących PRL, którzy – jak się wydaje – stanowią większość „gersdorfian”. Tu już najwyraźniej (bo zignorowania tego zabezpieczenia nawet nie próbowała argumentować) uznała prezes Gersdorf, że i tak Zaradkiewicza „unieważni” na owym zakazanym przez niego posiedzeniu z mocą wsteczną. Czyli poszła w ślady prezesa Rzeplińskiego, który w krytycznym momencie sporu o TK arbitralnie złamał doktrynę „domniemania konstytucyjności”, z rozczulającym uzasadnieniem, że „działał w stanie pewnej takiej vis maior”.

Postępowanie rokoszan nie ma nic wspólnego z logiką prawa, natomiast jest doskonale zrozumiałe w logice polityki. Odebranie nowym sędziom statusu sędziów zwróciłoby ich, a stanowią już znaczący odsetek, przeciwko SN. Natomiast

fundując im rozkoszną labę – zwolnienie z obowiązku pracy przy zachowaniu pensji i przywilejów – „gersdorfianie” pozyskują ich dla swojej sprawy, a co najmniej neutralizują. Podobnie jest z orzeczeniem, że dotychczasowe wyroki nieważnych sędziów są ważne, inaczej praktyczne skutki wywołanego chaosu zagroziłyby powodzeniu rebelii. A dlaczego do swej uchwały wybrała prezes Gersdorf akurat te trzy izby, ignorując inne? Ponieważ tam ma „swoich” sędziów.

Trudno dłużej udawać prezes Gersdorf, że chodzi tu o prawo, o obronę obywateli czy jakiegokolwiek wartości. Oczywiście zbuntowani prawnicy nadal tak twierdzą – ale tak twierdzi przecież każda protestująca i starająca się wywalczyć dla siebie branżowe sprawy grupa zawodowa. Logika postępowania prezes Gersdorf, jej próby podważenia wszelkimi sposobami legalności KRS,

Trudno dłużej udawać prezes Gersdorf, że chodzi tu o prawo, o obronę obywateli czy jakiegokolwiek wartości

a przez nią prawa orzekania nowych sędziów, jest dla każdego obserwatora oczywista: w kwietniu kończy się jej kadencja i chodzi o podważenie wyboru następcy, na którego prawie na pewno prezydent wskaże któregoś z sędziów mianowanych do SN za jego kadencji. Nie może to zaskakiwać nikogo, kto zna głośny wywiad prezes Gersdorf dla „Gazety Wyborczej”, w którym wyznała ona, że była gotowa pogodzić się z reformą i właściwie uzgodniła kompromis z prezydentem, ale potem „przyjaciele przekonali ją”, że jest „ostatnim bastionem” oporu i nie wolno jej ustąpić.

Trudno nie użyć zdartego frazesu „małski opadły”. Nie chodzi o prawo, chodzi o utrzymanie przez sędziów branżowych przywilejów, niespotykanych zresztą w cywilizowanym świecie i wynikających jedynie z potrzeby „zabezpieczenia” po 1989 r. interesów komunistycznej strony Okrągłego Stołu: przywileju samowybieralności sędziów i braku jakiegokolwiek odpowiedzialności przed kimkolwiek poza samymi sobą.

I – jak się zdaje – tak to przeciętny Polak widzi: sędziowie maszerują w togach, tak jak pielęgniarki w swoich fartuchach albo górnicy w kaskach, i blokują sądy, tak jak nauczyciele próbowali zablokować matury, policjanci – biorąc lewe zwolnienia – obchody stulecia niepodległości, a chłopci Leppera blokowali drogi. Różnica jest tylko taka, że sparaliżowanie wymiaru sprawiedliwości jest dużo bardziej dla społeczeństwa uciążliwe niż sparaliżowanie szkół czy ruchu drogowego. Jednak też sędziowie, postrzegani jako bogata, uprzywilejowana, gardząca „zwykłymi ludźmi” i krzywdząca ich chętnie „kasta”, mają dużo mniejsze niż inne branże szanse zyskania dla swej walki przychylności.

KTO SIĘ PRZELICZY?

Na to, jak się wydaje, liczy PiS. Zgodnie z doświadczeniem sejmowego „ciamajdanu” czy innych branżowych protestów chce Gersdorf przeczeć, licząc, że przynajmniej część sądów pójdzie w ślady NSA czy warszawskiego SO, które wprost uchwałę trzech izb SN odrzuciły. PiS liczy też, że środowisko, generalnie niecierpiące jego i reformy, ale też widzące coraz wyraźniejszą hucpę buntowników, uda się spacyfikować orzeczeniami TK, a winę za ogarniający sądy kosmiczny bałagan większość wyborców przypisze „kaście”, a nie rządowej reformie.

Rokoszenie też mają jednak swoje rachuby. Widzą, że „praworządność” to tylko jedna z linii ogólnego ataku na Polskę, w ramach realizowania planu ogłoszonego kiedyś otwarcie przez Martina Schulza (do 2025 r. UE przekształci się w jedno państwo, a kraje, które się nie podporządkują, zostaną z niej wyrzucone). Będzie też zakaz przekopu Mierzei Wiślanej, cofnięcie specustawy drogowej, no i przede wszystkim „Zielony Ład”, mający utrzymać Polskę w „pułapce średniego rozwoju”. Prawniczy establishment i wspierająca go część opozycji wiedzą, że z demokracją przegrają, ale chcą dotrzeć do chwili, gdy naciski UE złamią Polaków, i odebrać wtedy swoją nagrodę. Te rachuby graniczą ze zdradą, właściwie już granicę tę przekroczyły, ale mogą się spełnić.

Jedno jest pewne – nie prawnicze argumenty zadecydują o rozstrzygnięciu tego sporu, lecz zasada głoszona przez Mickiewiczowskiego Gerwazego: „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie”. Tylko które pole okaże się decydujące – krajowe czy europejskie?



Z prof. Genowefą Grabowską, profesor nauk prawnych, byłą senator i europosłanką rozmawia Kamila Baranowska



FOT. MACIEJ JARZEBINSKI/FORUM

Trudno naprawiać dom w czasie burzy

KAMILA BARANOWSKA: W sprawie sporu o reformę sądownictwa doszliśmy chyba do ściany. Jaki jest stan prawny na dzisiaj, po uchwale Sądu Najwyższego i stanowisku Trybunału Konstytucyjnego, który stosowanie tej uchwały wstrzymał?

PROF. GENOWEFA GRABOWSKA: To prawda! Pewnie teraz mało kto jest w stanie powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi w tym sporze. Współczuję obywatelom, dla większości to jest po prostu niezrozumiałe. Konflikt wymyka się ocenie czysto prawnej, na pierwszy plan wyszli politycy i to oni powinni znaleźć rozwiązanie. Społeczeństwo zaś ocenia tę sytuację nie tyle według racji merytorycznych, ile raczej według sympatii politycznych, a to dodatkowo utrudnia jego rozwiązanie.

Spróbujmy zatem wyjaśnić, o co toczy się dziś spór.

Zarzewie konfliktu to tryb wyboru Krajowej Rady Sądownictwa oraz utworzenie Izby Dyscyplinarnej SN. Część środowiska sędziowskiego kontestuje to, że obecna ustawa o KRS odmiennie określa procedurę wyboru 15 członków KRS, wywodzących się spośród sędziów. Konstytucja (art. 187 ust. 1 pkt 2) mówi co prawda, że ta „piętnastka” ma być wybrana spośród sędziów, ale nie precyzuje, kto ma tego wyboru dokonać! Wskazanie podmiotu upoważnionego do ich wyboru pozostawia ustawie (art. 187 ust. 4). Pod rządami poprzedniej ustawy o KRS sędziowie tę „piętnastkę” wybierali sami. Trzeba jednak pamiętać, że umocowanie do tego wyboru czerpali także z ustawy, nie z konstytucji, jak to niektórzy komentatorzy próbują sugerować. Po zmianie ustawy o KRS poczuli się uszczupleni

w swoich prawach, zaczęły się protesty, a także – proces nadinterpretowania konstytucji. W dyskusjach pojawiał się argument, iż „intencją twórców konstytucji było, aby tych 15 członków KRS wybierali sami sędziowie”. Gdyby tak było, to twórcy konstytucji napisaliby to wyraźnie, tak jak precyzyjnie wskazali, że czterech innych członków KRS wybiera Sejm spośród posłów, a dwóch – Senat spośród senatorów (art. 187 ust. 1 pkt 3). Tego nie zrobili, a trudno przecież zarzucać autorom konstytucji nieuwagę, przeoczenia czy zwykłe gapiostwo...

Pada też argument, że ta zmiana miała na celu upolitycznienie KRS, bo wiadomo, kto ma dziś większość w parlamencie.

Dzisiaj ma, jutro może jej nie mieć, to jest polityka! Jednak to ustawodawca

■ dostał konstytucyjne upoważnienie, aby wskazać podmiot właściwy do wyboru „piętnastki” wchodzącej w skład KRS, i moim zdaniem zrobił to optymalnie. Zerwał z zasadą „wyboru sędziów przez sędziów” i upoważnił do tego reprezentujący suwerena parlament. Czy to jest jednak powód do krytyki? Czy we wskazaniu Sejmu RP jako organu, który wybiera tę część KRS, jest coś niewłaściwego, naruszającego demokrację, zasadę praworządności, a może konstytucję? Moim zdaniem zdecydowanie nie! Należy więc respektować tę ustawę, szanować ustanowione tam procedury i dbać o ich transparentność! To jest nowa i wymagająca szczególnej staranności procedura, dlatego przy wyborze 15 sędziów do KRS nie mogą się zdarzać błędy, wypadki czy inne uchybienia. Sejm jest tu pod szczególnym nadzorem i musi zachować wręcz wyjątkową, krystaliczną przejrzystość!

Wątpliwości budzą podpisy pod listami kandydatów do KRS. Sejm, mimo wyroku sądu, nie chce ich jednak ujawnić. To budzi podejrzenia, że coś z nimi nie tak.

Nie mam wątpliwości, że procedury wyborcze powinny przebiegać zgodnie z ustawą. Zwłaszcza że na tym punkcie skupiła się główna krytyka opozycji i środowisk sędziowskich. Więc jeśli z ustawy wynika obowiązek ujawnienia list poparcia, to należy to uczynić. Jednak jeśli nie ma ku temu ustawowej podstawy prawnej, to na Sejmie taki obowiązek nie spoczywa!

A czy gdyby okazało się, że w procedurze wyboru sędziów do KRS było coś nie tak, to podważa to legalność KRS jako takiej?

Na ten temat wypowiedział się już Trybunał Konstytucyjny, który w swoim orzeczeniu ten organ konstytucyjny uwiarygodnił. Można zatem założyć, iż nie doszukał się błędów uniemożliwiających KRS dalsze funkcjonowanie. Jednak nawet jeśli pojawiają się w przestrzeni publicznej zarzuty formalne wobec jej pojedynczych członków, to uznanie na tej podstawie, że cała KRS nie może funkcjonować, idzie zdecydowanie za daleko!

Sąd Najwyższy poszedł w przeciwnym kierunku, wskazując, że żaden sędzia zaopiniowany przez nową KRS w ogóle nie powinien orzekać.

Sąd Najwyższy zgłosił, że każdy sędzia mianowany przez prezydenta, który w procedurze wyboru został dotknięty „złym duchem KRS”, jest dziś podejrzany i powinien zaprzestać orzekania. Nie

ulega wątpliwości, że jest to działanie o skutkach politycznych, a prawo posłużyło tylko jako narzędzie. Teraz tym narzędziem (uchwałą) próbuje się smagać sędziów i ich dzielić, a to wszystko przy jednoczesnych nawoływaniach, że środowisko powinno być solidarne i jednolite. Jak może być jednolite, jeśli się wskazuje sędziów waszych i naszych? To stygmatyzacja części sędziów, podział sędziów na dobrych i złych. A przecież to są tacy sami sędziowie, kształceni na tych samych uniwersytetach, zdawali te same egzaminy. Poza tym, czy oni mieli jakikolwiek wpływ na to, jaki organ ich opiniuje? Pomijając już zupełnie to, jaki KRS miała faktycznie wpływ na ich wybór...

Kluczowy, przynajmniej tak można wywnioskować z całego tego zamieszania wokół Krajowej Rady Sądownictwa.

Rzeczywiście, można odnieść takie wrażenie. Tymczasem udział KRS w nominacji nie jest decydujący, a raczej pomocniczy dla prezydenta, który ostatecznie udziela nominacji. KRS nikogo nie wybiera, bo takiej mocy nie ma,

wołując się na „zły dotyk KRS”, który ma sędziego wyłączyć z orzekania, mimo że został powołany przez prezydenta, jest poważnym nadużyciem.

Sąd Najwyższy w swojej uchwale nie zakwestionował faktu, że sędziowie opiniowani przez nową KRS są sędziami. Stwierdził jedynie, że nie powinni orzekać, bo ich wyroki będzie można podważać, co grozi chaosem.

Czyżby nowa przesłanka wyłączenia sędziego? Dla sędziów, którzy mają przestać orzekać, uzasadnienie nie ma znaczenia. Skoro mają nie orzekać, to przepraszam bardzo, kim są? Jaki jest ich status?

Są sędziami nieorzekającymi.

W prawie nie ma takiej kategorii. Uciekanie się do takich zabiegów jest niegodne Sądu Najwyższego, który ma także dbać o dobrą organizację pracy i o to, by sędziowie orzekali, a nie produkować setki sędziów, którzy mają nie orzekać, ale pobierać wynagrodzenie. Przecież nominacja sędziowska wręczona przez prezydenta zamyka dyskusję

To są tacy sami sędziowie, kształceni na tych samych uniwersytetach, zdawali te same egzaminy

jedynie wydaje opinię. I jak każda opinia opinia Rady nie jest dla prezydenta wiążąca. To nie jest decyzja, więc nie ma od niej odwołania. Przy negatywnej opinii procedura kończy się na poziomie KRS. Jeśli opinia jest pozytywna, to trafia do Kancelarii Prezydenta i dopiero prezydent – w ramach swojej prerogatywy – podejmuje ostateczną decyzję. Nie ma tu automatów, prezydent nie jest opinią KRS wiązany! Zatem dopiero nominacja prezydenta czyni z kandydata sędziego i daje mu uprawnienia do orzekania.

Czyli nawet gdyby okazało się, że w procedurze powoływania KRS były uchybienia, to akt powołania sędziów przez prezydenta te uchybienia uniieważnia?

Tak orzekł także TSUE w wyroku z 19 listopada br. – że nawet gdyby pojawiły się uchybienia formalne, to nikt nie będzie sprawdzał konstytucyjnych prerogatyw prezydenta. Akt mianowania sędziego jest poza kontrolą. Dlatego po-

nie tylko o tym, czy ktoś jest sędzią, czy nie, lecz także o tym, czy ma prawo orzekać, czy nie. Z prezydenckiej nominacji wynika bowiem nie tylko prawo, lecz także obowiązek sędziego do orzekania. Tymczasem Sąd Najwyższy tak uporządkował nam sytuację, że w praktyce może powstać jeszcze większy chaos.

Jedni uznają, że sędziowie mogą normalnie orzekać, inni, że powinni się wstrzymać. Jedni będą uznawać ich wyroki, inni je kwestionować. Grozi nam dualizm prawny?

Niestety, ku temu to zmierza! Sąd wątpliwości, dlaczego ich wyroki miałyby być podważane? Na jakiej podstawie prawnej? I właściwie co mają zrobić ci sędziowie, by móc znów orzekać? Poddać się jakiejś lustracji? Kto miałby jej dokonywać i na jakich zasadach? Tego już Sąd Najwyższy nie powiedział, bo przecież nie jest legislatorem! Nie idźmy tą drogą, ona wiedzie ku chaosowi.

Jest w Sądzie Najwyższym grupa sędziów, którzy za chwilę kończą swe

kariery, przechodzą w stan spoczynku i mam wrażenie, że przestało im zależeć, co będzie dalej. Smuci mnie ten brak odpowiedzialności za instytucję, ona nie zasługuje na tyle batów, ile dostaje w przestrzeni publicznej. Dzisiaj Sąd Najwyższy jest traktowany jako strona sporu politycznego. Jak można było do tego dopuścić? Nie rozumiem, dlaczego ludzie, którzy w największym stopniu odpowiadają za wymiar sprawiedliwości, lekką ręką rzucili go na pożarcie politykom.

Jak teraz wyjść z tego impasu?

Rozwiązać ten konflikt można jedynie na poziomie politycznym, prawo to tylko narzędzie. Dopóki ten system nie wróci w ramy zdroworozsądkowe i nie zaczniemy wszyscy stosować prawa oraz działać w granicach prawa, dopóty ten bałagan będzie trwał. W politycznym sporze mocno zepsuliśmy opinię o organach konstytucyjnych państwa. Wkroczenie Trybunału Konstytucyjnego jako „sądu ostatniego słowa” powinno zamykać spór. Tak pewnie stałoby się w każdym państwie szanującym prawo i własną konstytucję. Jednak czy u nas nadszedł już ten moment? Najbliższe tygodnie przyniosą odpowiedź. Ważne, aby wyciszyć emocje, bo dzisiaj każda dyskusja wokół spraw sądowych jest prowadzona w stanie silnego wzburzenia z wykorzystaniem nieproduktywnej zasady symetryzmu. Wygląda to tak: zamiast odpowiedzi na konkretne pytanie, druga strona replikuje: „A przecież wy też robiliście to i tamto”. Taka dyskusja nie daje szans na rozwiązanie sporu. Ten konflikt muszą rozwiązać politycy patrzący w przyszłość, zatem pojawiające się ze strony opozycji żądania powrotu do stanu sprzed reformy nie tylko nie przybliżają, lecz także wręcz uniemożliwiają zakończenie sporu.

Tak zwana opcja zero.

Uważam, że szkoda czasu na takie pomysły. Odsunąłbym te skrajne głosy i spróbowałbym rozmowy z tą częścią środowiska sędziowskiego, która widzi problemy i ma racjonalne propozycje. A racjonalne propozycje moim zdaniem muszą uwzględniać zmiany, które w systemie sprawiedliwości już zaszły, już funkcjonują. Tam, gdzie jest źle, należy poprawiać, ale nie można negocjować wszystkiego i dążyć za wszelką cenę do tego, aby było tak, jak było.

Tymczasem praworządności w Polsce wciąż bacznie przygląda się Komisja Europejska. Komisarz Jurovą była ostatnio w Polsce, odbywała liczne spotkania.

W unijnych traktatach nie ma możliwości, która pozwalałaby urzędnikom Komisji Europejskiej (nawet na szczeblu komisarza) ingerować w sprawy organizacji sądownictwa. Elementem sporu pozostaje też to, czy Komisja ma tytuł do tzw. kontroli prewencyjnej, czyli do tego, aby ingerować w proces legislacyjny państwa członkowskiego? Czy jej przedstawiciele mają umocowanie, aby wskazywać, co należy w naszej legislacji zmienić? Inna sprawa to warstwa merytoryczna sporu z Brukselą. Główny zarzut pod adresem Polski jest taki, że polskie ustawy naruszają praworządność, tylko że w UE nie ma definicji praworządności. Już studentom mówimy, że praworządność to działanie organów państwa na podstawie prawa i w jego granicach. Żaden organ nie może więc wykraczać poza przyznane mu prawem kompetencje. Dla potrzeb Unii tę zasadę próbuje objaśniać TSUE, wskazując wśród jej elementów – niezawisłość sędziów i niezależność sądów. Czyli podkreśla to, co każde państwo, także Polska, ma zapisane w konstytucji. Nie ma więc sporu na tej linii między polskim prawem a prawem unijnym. Pewnie łatwiej by nam było dyskutować, gdyby Komisja wskazywała konkretne przykłady, gdzie i jakie – jej zdaniem – konkretne normy prawa unijnego Polska naruszyła, a nie powoływała się wyłącznie na generalne klauzule i ogólne zasady.

Komisja twierdzi m.in. że zagrożona jest niezawisłość sędziów. Stąd jej wniosek do TSUE o zawieszenie Izby Dyscyplinarnej.

Tylko że ten wniosek znów jest oparty na szalenie ogólnych przesłankach, znów brakuje wskazania, co jest złego w funkcjonowaniu Izby Dyscyplinarnej i jakie unijne przepisy narusza jej powołanie. Komisja nie wyjaśnia, dlaczego w polskim systemie nie powinna funkcjonować Izba Dyscyplinarna, tylko mówi nam: „Nie, bo nie”. Gdy zwracamy uwagę, że inne kraje mają takie przepisy, słyszymy, że owszem Francuzi mają, ale ich... nie stosują. Warto jednak zapytać, dlaczego nie stosują. Ponieważ tam sędzia, jak zostanie na czymś przyłapany, sam odchodzi, nie chce przechodzić całej upokarzającej procedury dyscyplinarnej. Chciałabym, aby i u nas tak było, aby np. wzorem Francji chronić bezpieczeń-

stwo wszystkich użytkowników ruchu drogowego i wprowadzić powszechną (także dla sędziów) odpowiedzialność za przekraczanie prędkości itp. Tu chodzi o bezpieczeństwo, tu nie ma miejsca na immunitet! Tylko że na ten temat nie ma żadnej dyskusji.

Dlaczego Izba Dyscyplinarna budzi tyle kontrowersji?

Pomysł wprowadzenia Izby Dyscyplinarnej do SN był od początku kwestionowany. Pojawiały się nawet głosy, że to jest „bicz na sędziów”. I chociaż ID składa się wyłącznie z sędziów, to Sąd Najwyższy uznał, że w ogóle nie powinna istnieć. Takie podejście pokazuje, że stan sędziowski jest i chce pozostać poza jakąkolwiek kontrolą instytucjonalną, że chce się kontrolować tak jak do tej pory – tylko wewnętrznie. Paradoks polega na tym, że w Izbie Dyscyplinarnej też zasiadają sędziowie. To nadal jest to samo środowisko, różnica jednak jest taka, że ta Izba została mocno wyemancypowana ze struktury SN, jest umocowana finansowo i organizacyjnie tak, że sędziowie w niej orzekający mają większą niezależność w wykonywaniu swoich obowiązków.

A może rząd niepotrzebnie poszedł na konfrontację z sędziami, przygotowując ustawę dyscyplinującą, bo to na nowo rozgrzało emocje.

Myślę, że tej ustawy w ogóle by nie było, gdyby nie pojawiły się przypadki podważania orzeczeń i statusu sędziów ostatnio mianowanych, gdyby nie kazus pana Juszczyżyna, sędziów z Katowic itp. Te osoby, które przecież kwestionują nominacje sędziowskie swoich kolegów, stały się bohaterami opozycji. Dlatego tak trudno jest o porozumienie. Musi nadejść dobry czas, żeby zacząć jakieśkolwiek sensowne rozmowy. Natomiast sądownictwo nie może być w tym czasie sparaliżowane, wszak każdy obywatel ma prawo do sądu, a obowiązkiem państwa jest mu to prawo zapewnić!

Kampania wyborcza nie jest dobrym czasem na spokojną rozmowę.

Absolutnie nie, spór wokół sądów już stał się jej elementem. Obawiam się, że interesy polityczne, w tym nadzieje opozycji związane z trwającym konfliktem, są tak silne, że nie będzie woli do jego zażegnania. A w czasie burzy trudno budować bezpieczne schronienie. Trzeba poczekać, aż burza minie, i wtedy ten dom odbudować.



Łukasz Warzecha

PO – przez lata kierowana przez Schetynę – zabrnęła w ślepy zaułek bycia antypisem pozbawionym własnych pomysłów. W jaki sposób Borys Budka miałby sobie z tym poradzić? Jak dotąd nie powiedział niczego przełomowego, oryginalnego, świeżego

Nowy przewodniczący Platformy Obywatelskiej przebił się do szerzej świadomości pod osobliwym imieniem. Było to w kwietniu 2015 r., po odwołaniu Cezarego Grabarczyka ze stanowiska ministra sprawiedliwości w rządzie Ewy Kopacz. Grabarczyk musiał odejść, gdy wyszły na jaw machlojki przy uzyskiwaniu przez niego pozwoleń na broń. Wówczas Ewa Kopacz zaprezentowała na konferencji prasowej nowego szefa resortu, mówiąc o nim: „Doświadczony samorządowiec, parlamentarzysta, doktor ekonomii [...]”. Ponad 60 razy reprezentował polski parlament przed Trybunałem Konstytucyjnym. Jestem przekonana, że ten młody, a jednocześnie doświadczony reprezentant województwa śląskiego będzie dobrym ministrem sprawiedliwości. A więc w dniu dzisiejszym w swoim wniosku przedstawię panu prezydentowi Bronisławowi Komorowskiemu pana pośła Borysława Budkę na stanowisko ministra sprawiedliwości”.

To, że Borys został Borysławem, uświadomiło natychmiast uważnym obserwatorom, że Ewa Kopacz powołuje do swojego rządu osobę, której sama dobrze nie zna. Być może dlatego, że frakcja „młodych”, do której należy Budka, nie odgrywała wtedy w PO znaczącej roli. Sam Budka był wówczas w Sejmie dopiero od czterech lat, podczas gdy Kopacz już od 14.

NOWA JAKOŚĆ?

Wcześniej działał w śląskim samorządzie. Radnym w Zabrze był od 2002 r. W 2014 r., będąc już posłem, próbował na polecenie partii zostać prezydentem Gliwic, ale poległ, otrzymując niewiele ponad 6 tys. głosów i lądując na trzecim miejscu, za kandydatem PiS i urzędującym prezydentem miasta. Zdo-



był 11,5 proc. głosów, jego konkurent z PiS – 14 proc., a urzędujący Zygmunt Frankiewicz – aż 55,7 proc. w pierwszej turze.

Dopiero po wyborach z 2015 r. Budka zaczął zdobywać popularność jako jedna z najbardziej rozpoznawalnych twarzy frakcji „młodych” PO. W tym wypadku cudzysłów jest konieczny, ponieważ mówimy raczej o młodości w sensie zetesempowskim, a nawet postzetesempowskim (młodszym czytelnikom wyjaśniam: ZSMP, czyli Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, mógł zrzeszać członków do 35 lat). Budka – rocznik 1978 – w 2015 r. miał już 37 lat, Joanna Mucha to rocznik 1976, Agnieszka Pomaśka – 1980, Marcin Kierwiński – 1976, Sławomir Nitras – 1973.

Ta grupa dała o sobie najgłośniejszą znać – także w sensie dosłownym – w trakcie okupacji Sejmu na przełomie lat 2016 i 2017. Wtedy Joanna Mucha zabłysnęła talentami wokalnymi, śpiewając w trakcie internetowej transmisji „Nie pucz, kiedy odjadę” (aluzja do nazywania sejmowej farsy puczem). Platforma i Nowoczesna wprowadziły grafiki dyżurów na sali sejmowej, a Joanna Scheuring-Wielgus z przyjaciółkami z ław poselskich świętowała Boże Narodzenie przy pasztecce.

Protestujący zostali wzięci przez władzę na przeczekanie i w którymś momencie protest zaczął wyglądać na wymierzony w próżnię. W związku z czym zakończył się tuż przed połową stycznia właściwie bez rezultatu. Zaciekle prorzą-

dowe media – te same, które nazywały okupację puczem – lansowały tezę, że było to poważne zagrożenie dla państwa. Bynajmniej – była to farsa, od której delikatnie i nie wprost dystansować się próbował nawet Grzegorz Schetyna. To, że czołową rolę odegrała w tej komedii właśnie grupa „młodych” z PO, jest znaczące, nawet jeżeli ich myślenie o politycznych planach przeszło od tego czasu jakąś ewolucję. Tamten moment był pokazem najbardziej infantylnego sposobu samodefiniowania się opozycji, jakiego byliśmy świadkami kiedykolwiek.

Inna sprawa, że w trakcie sejmowej okupacji Borys Budka pozostawał mniej dostrzegalny. Nie lansował się przesadnie w internetowych transmisjach, nie tańczył i nie śpiewał ani nie jadł świątecznego pasztetu. Jakiś czas później, podczas gorącego lata 2017 r., gdy PiS przepychał przez parlament ustawy sądowe, naraził się za to Jarosławowi Kaczyńskiemu, wywołując incydent, który przeszedł do historii Sejmu. Trudno powiedzieć, czy zdając sobie sprawę z wyczulenia prezesa PiS na punkcie swojego zmarłego tragicznie brata czy też przypadkowo, w ferworze polemiki, Budka w trakcie jednej z najbardziej zapalczywych debat o zmianach w wymiarze sprawiedliwości powiedział: „Dopóki [...] był śp. Lech Kaczyński, pan nie odważył się podnieść ręki na wymiar sprawiedliwości, bo na szczęście był ktoś, kto rozumiał, na czym polega trójpodział władzy”. Kaczyński wtedy wybuchnął. Wszedł na mównicę, choć nie



FOT. MAREK SZYMCZAK / TVP FORUM

– że wybór Budki nie zakończy kwasów i nieporozumień, które będą skutecznie utrudniały prowadzenie kampanii.

Pierwsze reakcje po wyborze nowego szefa PO są bardzo kurtuazyjne. Nowy przewodniczący zapewnia, że partia zaangażuje się w pełni w kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Tomasz Siemoniak zachwala demokratyczny wybór, Bartłomiej Sienkiewicz mówi o uruchomieniu tkwiącej w PO energii. Na nominację nowych wiceprzewodniczących musimy jeszcze poczekać, podobnie jak na to, kto zostanie nowym szefem klubu Platformy – dotychczas był nim właśnie Budka, ale mało prawdopodobne, żeby łączył to stanowisko z nową funkcją. Jeśli partyjne posady zostaną rozdzielone tak, żeby pogodzić interesy różnych frakcji, zapewne partii uda się zamknąć, przynajmniej na razie, czas sporów i pójść do przodu.

I tu zaczynają się schody. Mnóstwo powiedziano o tym, że nowy szef PO musi oznaczać nową jakość, wygląda jednak na to, że to powtarzana bezmyślnie przez polityków PO fraza, za którą nie wiadomo za bardzo, co stoi. Co ma być tą nową jakością i dlaczego miałby jej dostarczyć właśnie Budka – człowiek z wnętrza Platformy, od dawna uczestniczący w jej chocholim tańcu? Z samego faktu, że ktoś jest młodszy o 15 lat od swojego poprzednika, nie wynika jeszcze, że ma coś interesującego do zaoferowania.

Jak dotąd Budka nie powiedział niczego przełomowego, oryginalnego, świeżego. Zadeklarował się jako liberał gospodarczy i umiarkowany antyklerykał – ale co miałyby z tego wynikać? PO – przez lata kierowania partią przez Schetynę – zabrnęła w ślepy zaułek bycia antypisem pozbawionym własnych pomysłów – bo trudno za takie uznać „szóstkę Schetyny”, której były przewodniczący nie umiał sam zreferować, i to dwukrotnie, ostatnio ledwo kilkanaście dni temu. W jaki sposób Budka miałby sobie z tym poradzić?

LEKCJA Z PORAŻKI

Na początku ma jednak o tyle dobrą sytuację, że radzić sobie w zasadzie nie musi, bo gra idzie o wybory prezydenckie. Tu przed Budką rysuje się tylko jedno, za to potężne zagrożenie: niewielejście Kidawy-Błońskiej do drugiej tury. Dzisiaj wydaje się to mało prawdopodobne, ale pierwsza tura nie jest wyborem mniejszego zła, lecz momentem, gdy można głosować na tego, kto po prostu wydaje się najodpowiedniejszy. To właśnie istota

zagrożenia, bo Kidawa-Błońska na razie, mówiąc najdelikatniej, nie zachwyca. PO ma oczywiście najwięcej wyborców, więc wygrywa samą swoją masą. Jednak lekcja z porażki Bronisława Komorowskiego nie pozwala spać spokojnie.

Gdyby kandydatka PO znalazła się na trzecim miejscu w pierwszej turze – ale również gdyby na pierwszej turze się skończyło, do czego koniecznie stara się doprowadzić PiS, stawiając na agresywny, twardy przekaz – byłaby to już nawet nie porażka, ale klęska PO, a także samego Budki. Choćby była to głównie konsekwencja poczynań poprzedniego zarządu, w którym przecież i Budka zasiadał.

Jeśli natomiast sondaże będą pokazywać zdecydowanie i konsekwentnie, że Kidawa-Błońska w drugiej turze się znajdzie, Budka będzie chciał zapewne sformatować kampanię jako jak najprostszą wybór: PiS kontra antypis. To pozwoli ukryć wady kandydatki, a może być o tyle łatwe, o ile dla wyborców przeciwnych obecnej władzy będzie to ostatnia na trzy lata okazja, żeby wypowiedzieć się przeciwko ugrupowaniu Kaczyńskiego. Czy taka strategia przyniesie opozycji wygraną – nie jest pewne. Paradoks polega na tym, że aby tak właśnie przeprowadzić kampanię, trzeba pójść drogą, która nie przynosiła Platformie jako partii korzyści, czyli prostej antypisowskości. Na zasadniczą korektę i szukanie nowego przekazu jest za mało czasu. Jeśli to da Kidawie-Błońskiej zwycięstwo, to sytuacja polityczna zmieni się zasadniczo, a Budka będzie miał mocny start i bardzo podbuduje swoją pozycję. Jeśli natomiast kandydatka PO zdobędzie nawet przywoity wynik, ale z Andrzejem Dudą przegra, to PO będzie musiała ponieść konsekwencje bagażu prymitywnej antypisowskości, zgromadzonego podczas kampanii. Bez pomysłu, jak inaczej formułować swój przekaz.

PO nie zniknie ze sceny. Ma subwencje proporcjonalne do liczby uzyskanych głosów, drugi w Sejmie klub parlamentarny, wciąż mocne ekipy w samorządach. Jednak w wyborach przewodniczącego prawo głosu miało niecałe 10 tys. członków PO, podczas gdy jeszcze kilka lat temu liczbę członków partii szacowano na ok. 30 tys. To symptom dotyczący partii tracące na znaczeniu.

Swego czasu ukułem hasło: „Więcej Budki, będą skutki”. Nie miałem na myśli skutków dobrych dla PO. Teraz Budki będzie dużo więcej. Zobaczmy, z jakim skutkiem.

Chociaż oficjalnie prezydent Andrzej Duda nie ogłosił jeszcze terminu wyborów prezydenckich, nieoficjalna kampania prezydencka trwa w najlepsze. Kandydatka Platformy Obywatelskiej Małgorzata Kidawa-Błońska planuje wyjazd do Wielkiej Brytanii, gdzie podczas spotkania z Polonią zamierza walczyć o głosy wyborców (do wyjazdu miało dojść w miniony weekend). Termin wizyty nie jest przypadkowy, zbiega się bowiem z dniem brexitu. To dla Polaków mieszkających na Wyspach jeden z najpoważniejszych problemów, z którymi muszą się zmierzyć. Tymczasem zaledwie kilka dni przed spotkaniem z brytyjską Polonią do mediów wycieka nagranie zrealizowane dla Polskiego Radia w marcu 2017 r.; obecna kandydatka PO na prezydenta mówi w nim, że do brexitu przyczynili się... Polacy mieszkający na Wyspach.

– Nie zakłamujemy. Przyczyną brexitu było także to, że Polacy zaczęli masowo pracować w Wielkiej Brytanii – peroruje w nagraniu Małgorzata Kidawa-Błońska.

Komentarz kandydatki PO natychmiast staje się hitem w Internecie, jest licznie i najczęściej mocno krytycznie oceniany przez internautów.

– Emigranci zarobkowi w Wielkiej Brytanii uważani byli od czasu wyborów w 2007 r. raczej za wyborców bliskich Platformie. Tymczasem kandydatka tej partii, która dotąd nie była znana z wypowiedzi dotyczących polityki międzynarodowej, zabiera głos i zalicza wpadkę, która – jeśli PR-owcy i sympatycy jej przeciwników odpowiednio to wykorzystają – może kosztować ją utratę części brytyjskich głosów, uważa w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Jacek Kłoczkowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej.

Jeszcze zanim doszło do wyjazdu Kidawy-Błońskiej na Wyspy, spotkała się na Pomorzu z przedsiębiorcami. A tam w dyskusji z jedną z uczestniczek stwierdziła, że sporo jest „prostych ludzi”, którzy nie rozumieją powodów podwyżek cen.

JAK Z KOMOROWSKIM CZY INACZEJ?

Na razie wpadki i zwykłe językowe gafy, których nie brakowało także podczas prawyborczej debaty Małgorzaty Kidawy-Błońskiej z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem, znajdują swoje odzwierciedlenie przede wszystkim w internetowych memach i coraz częstszych w Internecie ironicznych komentarzach. Niektórzy już porównują kandydatkę PO

Wpadki kandydatki



Wojciech Wybranowski

Małgorzata Kidawa-Błońska nie może zaliczyć początku prezydenckiej kampanii wyborczej do udanych. Niemal każdy publiczny występ kończy się dla niej wpadką i licznymi kpinami internautów. Eksperti zastanawiają się, czy i w jakim stopniu przy takiej polaryzacji politycznych nastrojów przełoży się to dla niej na spadek poparcia



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTUM

do byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, który – zaczynając kampanię z wysokim poparciem sondażowym – tracił sympatię także w wyniku licznych wpadek, niezrozumiałych zachowań i komentarzy odbieranych przez wyborców jako lekceważące. Czy kandydatka Platformy idzie drogą Komorowskiego? Zdania ekspertów na ten temat są podzielone.

– Biorąc pod uwagę sondaże, wydaje się, że nie będzie to miało większego wpływu. Pamiętajmy, że w istotnym stopniu za spra-

wą strategii opozycji polaryzacja sympatii politycznych się pogłębiła. A skoro tak, to znaczy, że większość gotowych głosować przyjmuje a priori racje swojej strony, nie zwracając uwagi na wpadki czy argumenty przeciwników – mówi nam prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW.

Zwraca także uwagę, że Małgorzata Kidawa-Błońska i jej współpracownicy starają się prowadzić intensywną kampanię wyborczą, natomiast na spadek poparcia Bronisława Komorowskiego miało wpływ

łącznie kilka czynników: wpadki wizerunkowe, bierność byłego prezydenta w kampanii i to, że nie radził on sobie w ulicznych spotkaniach ze „zwykłymi ludźmi”, co nie budowało sympatii i zaufania do niego.

Nieco inaczej sprawę postrzega z kolei dr Jacek Kloczkowski, który zauważa jednak, że wpadki kandydatki PO nie mają znaczenia dla grupy wyborców gotowych zagłosować na Małgorzatę Kidawę-Błońską niezależnie od sytuacji, byle tylko reelekcji nie wywalczył prezydent Andrzej Duda, ale może okazać się, że jest to zbyt mała grupa, by dać kandydatce PO zwycięstwo wyborcze.

– Jeśli chodzi o grupę, o którą musi zaważyć, czyli osoby, które nie są jednoznacznie niechętne prezydentowi Dudzie, to dla kandydatki zaczynają się schody, albowiem sekwencja liczby pomyłek jest już znacząca. A skoro zauważają, że myli się tak często, to zaczyna być odbierana jako osoba niekompetentna – mówi dr Kloczkowski.

BLAMAŻ GONI BLAMAŻ

Rzeczywiście, wpadek i lapsusów językowych Małgorzaty Kidawy-Błońskiej już zdarzyło się sporo. Polityka europejska przysporzyła jej wielu problemów. W połowie stycznia okazało się, że nie wie, jaka jest organizacyjna przynależność Komisji Weneckiej, którą marszałek Senatu prof. Tomasz Grodzki zaprosił do Polski.

– Jak wizyta Komisji Weneckiej może być nielegalna? To jest ciało unijne, a my jesteśmy członkiem UE – mówiła w rozmowie z TVN24, odnosząc się do argumentów polityków PiS, którzy kwestionowali przyjazd członków komisji do Polski. Sęk w tym, że Komisja Wenecka nie jest organem Unii Europejskiej, lecz organem doradczym Rady Europy. Kilka dni później Małgorzata Kidawa-Błońska przekonywała, że PiS chce wyprowadzić Polskę z... Europy.

– Wy tak naprawdę niszczyście państwo, wyprowadzacie Polskę z Europy tylko po to, żeby bronić ludzi, którzy powinni być przez wymiar sprawiedliwości osądzeni – mówiła podczas sejmowej debaty o ustawie dyscyplinującej sędziów.

Z kolei komentując antypolskie wypowiedzi prezydenta Rosji i zarzucając prezydentowi Andrzejowi Dudzie brak stosownych działań, pomyliła stanowisko, które zajmuje Władimir Putin, nazywając go... premierem.

– Jeżeli premier Putin będzie mówił to, co będzie chciał powiedzieć, a nasz prezydent będzie w innym miejscu, to nie

zmienia sytuacji. Tam padną słowa, na które trzeba zareagować – mówiła.

Kandydatka PO domagała się, by prezydent Duda wziął udział w jerozolimskim spotkaniu organizowanym przez Mosze Kantora, twierdząc, że dialog wymaga rozmowy z każdym. Jej opinia została skrytykowana również przez dziennikarzy bliskich opozycji.

Legendarne wręcz okazały się i inne wpadki wicemarszałek Sejmu. Niedawno w rozmowie z TVN chciała skrytykować prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego.

– Jak wiemy, Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Europie. Jemu zależy tylko na Polsce – stwierdziła.

Wypowiedź opozycyjnej kandydatki na prezydenta została skwitowana przez sympatyków Dudy żartobliwym entuzjazmem. „Dziękujemy!” – pisali na Twitterze politycy PiS.

Z kolei jeden z liderów Konfederacji Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z portalem TVP Info przypomniał nieco wcześniej wpadek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Pytana o transfer pieniędzy z OFE, podczas którego w tajemniczych okolicznościach zaginęło ok. 19 mld zł, stwierdziła, że „poszło na różne takie działania”.

Wypowiedzi Małgorzaty Kidawy-Błońskiej znalazły już swoje odzwierciedlenie m.in. na satyrycznych portalach i w kanałach na portalu YouTube. Na jednym z nich w materiale przypomina się, że kiedy rząd PO-PSL zdecydował o podniesieniu składki rentowej o 2 proc. (2012 r.), co oznaczało w praktyce wzrost kosztów pracy, Małgorzata Kidawa-Błońska przekonywała, że spowoduje to ożywienie gospodarki i stworzenie nowych miejsc pracy. Z kolei pytana o planowany przez rząd PiS tzw. przekop Mierzei Wiślanej stwierdzała: „Skoro natura tego przekopu nie zrobiła, to wydaje mi się, że to nie ma sensu. Gdyby natura chciała, żeby tam był przekop, toby był”.

MNIEJ KIDAWY?

Politycy Platformy Obywatelskiej oficjalnie stają murem za swoją kandydatką. Niedawny kandydat na szefa PO Tomasz Siemoniak w rozmowie z portalem TVP Info mówił: „Pani marszałek Kidawa-Błońska słynie z bardzo wyważonego języka, przemysłanych wypowiedzi”.

Nieoficjalnie politycy partii Borysa Budki już tak entuzjastyczni nie są. W kuluarach ugrupowania także słyszymy porównania wpadek wicemarszałek Sejmu do wpadek z kampanii Bronisława Komo-

rowskiego i sugestie, że zanim kandydatka PO rozpocznie główną część kampanii wyborczej, powinna mocno popracować ze specjalistami od wizerunku, marketingu politycznego i PR.

– Problem jest taki, że ona się nie uczy. Jest przekonana, że sobie radzi, a nawet jak nie wygra w pierwszej turze, to w drugiej wszystkie ręce na pokład i wtedy tak czy siak wygra – mówi nam jeden z posłów PO, który nie ukrywa, że jego faworytem w prawyborach w PO był rywal Kidawy-Błońskiej, prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. – Staramy się, żeby w objazdach po Polsce towarzyszyli jej wytrawni politycy i w razie tarapatów prostowali i wspierali, ale obawiam się, że nie unikniemy kolejnych wpadek. Zwłaszcza podczas jej występów przed kamerami, na żywo – dodaje.

Czy Platforma „schowa” Małgorzatę Kidawę-Błońską, tak jak zrobiła to z Rafałem Trzaskowskim, kiedy się okazało, że

Sęk w tym, że Komisja Wenecka nie jest organem Unii Europejskiej, lecz organem doradczym Rady Europy

w wyborach prezydenckich w Warszawie zalicza wpadek za wpadek? Na to może wskazywać jedna z wypowiedzi wicemarszałek Sejmu, która w rozmowie z Polsat News zasugerowała, że nie weźmie udziału w debatach prezydenckich przed pierwszą turą.

Zdaniem prof. Rafała Chwedoruka powody unikania debaty przez Kidawę-Błońską mogą być także zupełnie inne i wynikać ze strategii kampanijnej.

– W poprzednich wyborach, które dały sukces obecnej głowie państwa, w kontekście drugiej tury pewną rolę odegrał też kontrast pokoleniowy. Jeżeli spojrzemy na innych kandydatów opozycji, to dla Platformy ryzykiem mogłoby być skonfrontowanie w debacie kandydatki z politykami młodszej generacji. Pytanie, czy ewentualne polemiki i pyskówki by jej odpowiadały w dynamicznej sytuacji – mówi prof. Chwedoruk. – Pomyśl jest politycznie kosztowny, ale rozumiem, że wynika to z kalkulacji, co jest mniejszym złem – dodaje ekspert.



Marcin Makowski

Tarcia różnych grup interesów w USA powodują, że do dziś nie pojawił się raport o stanie restytucji mienia żydowskiego w Europie, do którego przygotowania zobowiązany został amerykański Departament Stanu

Mało kto zwrócił uwagę, że zobowiązanie narzucone przez JUST Act 447 powinno zostać zrealizowane w listopadzie ubiegłego roku. Jak jednak ustaliło „Do Rzeczy”, dokument może pojawić się dopiero teraz. To element złożonej gry politycznej, z interesami wojskowymi i energetycznymi w tle.

Ustawę o „niezwłocznym uczynieniu sprawiedliwości ocalonym z Holokaustu, którym nie zadośćuczyniono ich strat” Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął w kwietniu 2017 r. Justice for Uncompensated Survivors Today Act – bo tak brzmi pełna nazwa dokumentu oznaczonego przez Senat numerem 447 – stał się szybko w rodzimej polityce synonimem „sumy wszystkich strachów”. Wielu, zwłaszcza politycy proveniencji narodowej, przestrzegało przed obarczeniem Polski ciężarem niemieckich zbrodni dokonanych podczas drugiej wojny światowej, koniecznością bezprawnej wypłaty setek milionów dolarów, widmem oskarżeń o antysemityzm oraz skłóceniem z Ameryką. Na ile są to lęki urojone – podkrećane na użytek polityki krajowej – a na ile realny scenariusz, to temat na osobny artykuł. Dzisiaj z perspektywy państwa polskiego istotne jest przede wszystkim zrozumienie mechanizmów dyplomatycznych, które stoją za wielopiętrową grą toczącą się za kulisami JUST Act 447. Aby je zrozumieć, trzeba prześledzić, jak ustawa powstawała i dlaczego do tej pory nie wywiązano się z zapisu, który miał stanowić o jej dyplomatycznej „sile rażenia”.

PROBLEMY ZACZĘŁY SIĘ W TEREZINIE

Z perspektywy Polski w dokumencie JUST Act podpisanym przez Donalda Trumpa 9 maja 2018 r., a miesiąc



Amerykańska

wcześniej przyjętym przez aklamację w Izbie Reprezentantów, niepokoi nie tyle zapowiedź konieczności zwrotu wszelkich nieruchomości – lub wypłacenia za nie ekwiwalentu pieniężnego – utraconych w wyniku Holokaustu oraz nacjonalizacji po drugiej wojnie światowej (proces rozpatrywania prywatnych roszczeń, przy świadomości patologii dzikiej reprivatyzacji, realizowany jest przecież od dekad), ile zapis dotyczący

tw. własności bezdziedzicznej („heirless property”). JUST Act 447 w punkcie trzecim stanowi bowiem, że „w przypadku bezspadkowej własności wymagane jest zabezpieczenie własności lub odszkodowania, by wspomóc ofiary Holokaustu, wesprzeć edukację o Holokauście i inne cele”. Chociaż Kongres nie precyzuje, kto miałby otrzymać takie fundusze, to z wypowiedzi autorów projektu wynika, że miałyby to



Amerykańscy politycy próbowali między sobą rozegrać sprawę ustawy 447 m.in. tuż przed wizytą prezydenta Andrzeja Dudy w USA w lipcu ubiegłego roku. FOT. SHAWN THEW / ZUMA PRESS / FORUM

walka o 447

być nieokreślone z nazwy „organizacje żydowskie”. Niestety, na tę minę Polska weszła na własne życzenie.

Amerykańskie prawo wzywa bowiem wszystkich 46 sygnatariuszy Deklaracji terezińskiej do wywiązania się z ustaleń konferencji „Mienia okresu Holokaustu”, która odbyła się w czeskim Terezynie w czerwcu 2009 r. Jej celem było stworzenie zestawu reguł porządkujących status prawny majątków osób

pochodzenia żydowskiego zajętych lub utraconych w okresie drugiej wojny światowej. Najbardziej kontrowersyjny zapis dokumentu sygnowanego w imieniu Polski przez Władysława Bartoszewskiego dotyczył właśnie „zwrotu mienia, bez ustanowionego spadkobiercy, w celu pomocy osobom ocalałym z Holokaustu, które znajdują się w potrzebie”, do którego wprost odnosi się ustawa 447. Według Europej-

skiego Instytutu Dziedzictwa Zagłady, powołanego na mocy deklaracji, aby egzekwować jej wytyczne, Polska jako jedyne państwo Unii Europejskiej nie stworzyła spójnego prawa umożliwiającego systemowe dochodzenie roszczeń reparyacyjnych na rzecz ofiar Holokaustu, ich rodzin oraz instytucji. Uwagi te kierowano w stronę Warszawy już w kwietniu 2017 r., pół roku przed oficjalną inauguracją prac nad JUST Act.

W Terezynie przygotowano zatem podwaliny pod obecny kryzys, zalecając powołanie specjalnych programów narodowych, które zajęłyby się kwestiami edukacyjnymi, restytucją mienia żydowskiego oraz dalszą współpracą międzynarodową „w celu wypracowania jak najlepszych praktyk w dziedzinie jego zwrotu”. Mało tego, sygnatariusze deklaracji mieli również obowiązek katalogować mienie żydowskie na własnym terytorium, z uwzględnieniem dzieł sztuki i dziedzictwa kulturowego, prezentując Europejskiemu Centrum Dziedzictwa Zagłady kompletny raport. Niespełna rok po konferencji, 9 czerwca 2010 r., podpisano również szczegółowe wytyczne terezińskie. Udziału w pracach nad nimi odmówiły: Białoruś, Malta i Serbia. Rosja, choć uczestniczyła w pracach zespołu, ostatecznie nie przystąpiła do asygnaty protokołu po negocjacjach. Jeżeli sygnowanie deklaracji nie było korzystne dla Polski w 2009 r., to było 12 miesięcy na wycofanie się z niej. Tego nie uczyniono.

PRESJA NA POLSKĘ

Rzeczą kluczową jest zatem odpowiedź na pytania: „Do czego faktycznie jako państwo jesteśmy zobligowani?” oraz „Do czego Amerykanów obligują same zapisy uchwalonego przez nich prawa?”. Właśnie w tym punkcie sytuacja zaczyna się jeszcze bardziej komplikować.

Otóż JUST Act 447 nakłada na Kongres obowiązek sporządzenia jednorazowego raportu dotyczącego postępu w restytucji mienia żydowskiego w Europie oraz wskazania możliwości prawnych w celu osiągnięcia wcześniej wspomnianych postulatów jego „odzyskiwania”. Następnie Departament Stanu, poprzez corocznie mniej szczegółowe raporty ambasadorów, powinien powrócić do obecnego stanu rzeczy, czyli przesyłania résumé z zakresu przestrzegania praw

■ Amerykanów pochodzenia żydowskiego w obrębie kompetencji danej placówki dyplomatycznej. „Ustawa JUST jest amerykańskim prawem, które wymaga od Departamentu Stanu przedłożenia Kongresowi Stanów Zjednoczonych jednorazowego raportu do listopada 2019 r.” – informuje Ambasada USA w Warszawie na swojej stronie internetowej, doprecyzowując, że „ustawa JUST jest narzędziem umożliwiającym ocenę postępów krajów w wypełnianiu zobowiązań wynikających z deklaracji z Terezina. Po przedłożeniu raportu wynikający z ustawy JUST stanie się dokumentem publicznym, dostępnym dla każdego do wglądu”.

– To jednorazowy raport, który ma służyć jedynie do poinformowania o tym, co kraje zrobiły w sprawie restytucji mienia. Nie mówi o tym, co powinny zrobić ani czego nie zrobiły – stwierdziła w wywiadzie dla Polskiego Radia w kwietniu ubiegłego roku ambasador USA, zapewniając, że dokument dotyczący Polski ujrzy światło dzienne jesienią 2019 r. Światła jednak nie ujrzał, choć zapis o „osiemnastu miesiącach od uchwalenia ustawy” został przekroczony o ponad trzy miesiące.

Według informacji, do których dotarłem, za taki stan rzeczy odpowiadać ma celowe „ociąganie się”, a nawet czasowe i faktyczne „zawieszenie” wykonania zapisów ustawy, za którymi stoi podległa prezydentowi Donaldowi Trumpowi administracja Departamentu Stanu. Pod koniec maja, gdy wielkimi krokami zbliżała się wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie, dotarłem do informacji o planach wysłania oraz równoczesnego opublikowania podpisanego przez ok. 60 senatorów listu, wzywającego Polskę do rozwiązania kwestii restytuowanego mienia żydowskiego na jej terytorium. Według mojego informatora z kręgów amerykańskiej dyplomacji miała to być w dużej mierze wewnątrzamerykańska rozgrywka między Kongresem a Departamentem Stanu. Ci pierwsi chcieli wymóc na tym drugim ostre działania w kwestii restytucji mienia w Europie, a szczególnie w Polsce.

– U was sądzi się, że postawa Ameryki wobec restytucji mienia żydowskiego i JUST Act 447 to monolit. To nieprawda, w tej chwili jesteśmy świadkami konfliktu między Kongresem a Departamentem Stanu, który według tego pierwszego celowo ociąga się

z przekazywaniem raportu związanego z kwestiami restytucyjnymi w Europie – usłyszałem.

Ponieważ informacja o liście, którego inicjatorami byli Tammy Baldwin oraz Marco Rubio, przebiła się również do amerykańskich mediów, pracę nad nim chwilowo wstrzymano pod presją planowanej wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie oraz ogłoszenia umowy zakupu myśliwców F-35, umów związanych z technologią 5G oraz rozwojem cywilnej elektrowni jądrowej. Sprawy restytucyjne miały „nie zakłócać” tych interesów.

List w końcu się jednak pojawił – inspirowany przez tych dwoje amerykańskich polityków – i został opublikowany w sierpniu 2019 r., ale z jeszcze większą

**Według informacji
„Do Rzeczy” w USA
celowo „zawiesza się”
wykonanie zapisów
ustawy 447**

liczbą podpisów, bo aż 88 senatorów USA spośród stu. Wszyscy wzywali właśnie do „uregulowania” kwestii własności żydowskiej w Polsce, w domyśle naciskając na Departament Stanu, który nie kwapił się do opublikowania wymaganego raportu.

DEPARTAMENT STANU ZWLEKA

W tym czasie, bo w czerwcu 2019 r., w tym samym duchu pisało dwóch kongresmenów – Eliot L. Engel, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów w Kongresie, oraz William R. Keating, przewodniczący Podkomisji ds. Europy, Eurazji, Energii i Środowiska. W liście do polskiej głowy państwa domagali się m.in. transparentnego reformowania wymiaru sprawiedliwości, przestrzegania praworządności, niezależności mediów oraz wyrażali zaniepokojenie „niedawnym zerwaniem rozmów między Polską a Izraelem w sprawie restytucji prywatnej własności zabranej polskim Żydom podczas Holokaustu”. Ci sami kongresmeni pisali w styczniu list wzywający do zawetowania „ustawy represjonującej sędziów”. Wcześniej mieli jednak identyczny co senatorowie cel –

wymóc na administracji Donalda Trumpa śmielsze działania. Silne zwłaszcza na Wschodnim Wybrzeżu niektóre organizacje żydowskie nieustannie domagały się bowiem od nich takich ruchów, wiedząc, że bez presji wewnętrznej nie uda się doprowadzić sprawy do końca.

– Faktycznie był deadline w listopadzie. Nie znam przyczyn opóźnienia i nie były one nam podawane ani sugerowane. Trzeba pamiętać, że podobnych raportów Amerykanie przygotowują wiele na różne tematy i pewnie nie raz się spóźniają. Ten nie ma dotyczyć Polski, tylko ponad 40 krajów. Nikt jakoś tego nie przyjmuje do wiadomości i wszyscy tak się zachowują, jakby to był raport o Polsce. Z wewnętrznego dokumentu amerykańskiego, który w żaden sposób nas nie wiąże, robi się aferę – wskazuje „Do Rzeczy” jeden z wysokich rangą pracowników MSZ. Jak jednak dodaje, ma świadomość, że „Amerykanie nie mogą oddać sprawy w nieskończoność” i jest ona dla Donalda Trumpa w tej chwili kłopotliwa.

Jak udało mi się ustalić, Departament Stanu na niskim szczeblu komunikuje stronie polskiej, że raport mógłby się ukazać na początku lutego, ale pewnego terminu nadal nie ma.

Skąd brak pewności? Tutaj wracamy do punktu wyjścia. – Poza lobby restytucyjnym w Stanach funkcjonują silniejsze: militarne, wywiadowcze oraz energetyczne – mówi mój inny informator związany z polską dyplomacją. Jego zdaniem to właśnie interesy zbrojeniowe oraz gazowe, które dzisiaj łączą Polskę z USA, stanowią przyczynę celowego „zamrożenia” JUST Act 447, aby nie wchodzić z Warszawą na kolejną linię konfliktu. Szczególnie w obliczu słów Władimira Putina dotyczących oskarżenia Polski o wywołanie drugiej wojny światowej oraz alternatywnej konferencji rocznicowej wyzwolenia Auschwitz-Birkenau w Jerozolimie, a także rocznicy obchodzonej w Oświęcimiu.

Pytanie, jak długo i za jaką cenę Departament Stanu będzie mógł zwlekać? Bez względu na odpowiedź na to pytanie, jeśli chodzi o prawny aspekt sprawy, sytuacja restytucyjna wydaje się w Polsce wyjaśniona i zabezpieczona, również umową indemnizacyjną z USA z lat 60. Wszystko będzie się zatem opierać na presji lobbingowo-dyplomatycznej. A tę trzeba dla dobra polskiej racji stanu przetrzymać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



GRA PLANSZOWA BOSO PRZEZ ŚWIAT

Podróż palcem (konkretnie mazakiem) po mapie świata może być zaskakująca i wciągająca!

Idziesz na żywioł czy ustalasz taktykę?

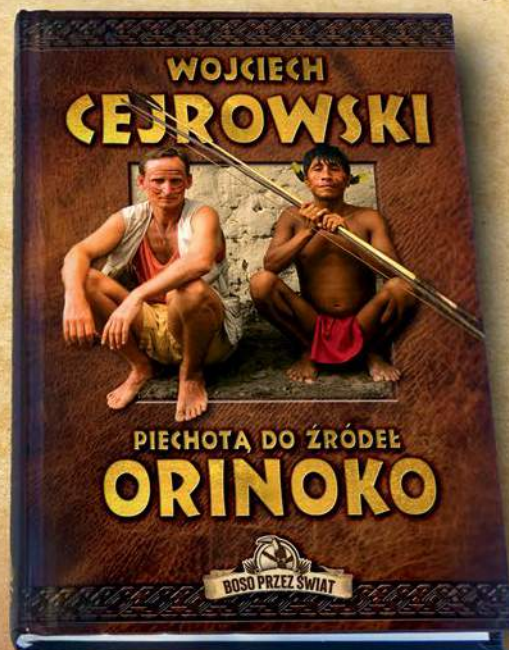
Gra wielopoziomowa – może być prostym wyścigiem albo zajmującą strategią.

Zupełnie przy okazji poznasz geografię świata i zdobędziesz wiele ciekawych informacji.

To nie jest quiz! Nie musisz niczego wiedzieć, po prostu opracuj najlepszą trasę i bądź pierwszy lub najbogatszy.

NAJNOWSZA KSIĄŻKA WOJCIECHA CEJROWSKIEGO

„Piechotą do źródeł Orinoko” to najbardziej bogata w przygody książka Wojciecha Cejrowskiego. Tak jak pozostałe, pełna humoru – Czytelnik będzie często parskać śmiechem, a nawet rechotać na całe gardło. Żaden antropolog tak nie pisze – duża wiedza o dzikich plemionach, a jednocześnie podana tak, że wciąga jak kryminał.



DO KUPIENIA NA STRONACH:

www.BOSOPRZEZSWIAT.COM

www.SKLEPKOLONIALNY.COM

LUB ŻĄDAJCIE W KSIĘGARNIACH



Z Maciejem Radziwiłłem, biznesmenem i kolekcjonerem dzieł sztuki
rozmawia Piotr Semka



Maciej Radziwiłł (trzeci od lewej) na wystawie w Pałacu Wielkich Książąt Litewskich w Wilnie. W gablocie: buława wielkiego hetmana litewskiego Janusza Radziwiłła. FOT. FUNDACJA TRZY TRĄBY

PIOTR SEMKA: Jak to jest być z zawodu Radziwiłłem?

MACIEJ RADZIWIŁŁ: Mam jeszcze kilka innych zawodów na szczęście.

Są jednak tacy, którzy żartują, że jest pan z zawodu Radziwiłłem.

Na szczęście tak nie jest. Na co dzień zajmuję się finansami i energetyką odnawialną. To po prostu jest dodatek do życia, jak mówiła moja nieodżałowana ciotka Anna Radziwiłłówna, słynna nauczycielka historii. W jej opinii nasze życie niczym się nie różni od życia innych osób, oprócz tego mamy dodatkową przyjemność, której źródłem jest wiedza o tym, skąd pochodzimy. To tworzy też pewnego rodzaju zobowiązanie. Kiedy jednak byłem małym chłopakiem, źle znosiłem sytuacje, gdy ktoś mnie pytał: „A kto był ten albo inny Radziwiłł?”, a ja nie znałem odpowiedzi.

Czyli to jest i męczące, i miłe jednocześnie?
Tak.

A co jest męczące, a co jest miłe?

Miłe jest wiedzieć, od kogo się pochodzi. Nawet jeżeli nie wszystkie osoby z mojego rodu były miłe. Przede wszystkim jest to jednak zobowiązanie, żeby się tym interesować, a kiedy się ma trochę środków finansowych – w jakiś sposób to upamiętniać. Unikalność tej rodziny jest tego warta. Identyfikuję się z kilkoma rodzinami z arystokracji. Przede wszystkim z Czartoryskimi, bo moja matka, Anna, jest z tej rodziny, ale w najbliższych pokoleniach pochodzę od wszystkich ważnych polskich rodzin arystokratycznych.

Nasiąkał pan tę wiedzę od pacholęcia?

Miałem za młodu ogromne szczęście mieszkać w jednym domu z moją babką, która była osobą niesamowicie towarzyską i cały czas przez ten dom przewijały się

łupy dawnych arystokratów, jeszcze często urodzonych w XIX w. To był unikalny przekaz, oczywiście wszystko z przymrużeniem oka, z dystansem. Poznawałem różne spory między rodzinami kiedyś walczącymi ze sobą, ale równie często żeniącymi się między sobą. Mnóstwo różnych anegdot, opowieści. Te historie nie zawsze były zgodne z historią akademicką.

Opowiadał pan kiedyś, jak odwiedzał razem z ojcem księcia Janusza Radziwiłła (1880–1967), zamieszkałego w niewielkiej klitce w Warszawie...

Tak. Na ul. Bałuckiego miał małe mieszkanie, ale wszyscy z tej grupy byłych arystokratów żyli tak w latach 60.

Przychodzi pięćolatek i widzi niedysiejszego kiedyś lidera frakcji konserwatystów międzywojnia. Był takim matuzalem rodu, tak?

Był matuzalem rodu, ale też wielkim autorytetem całej tej kasty. Można powiedzieć – taki jakby niekoronowany król.

A byli tacy, którzy pytali: „A co na ten temat uważa książkę Janusz?”

Tak, tak. Zdecydowanie. Książę Janusz miał istotny autorytet jeszcze przed wojną. Jego niezłomna postawa w czasie wojny i później robiła wrażenie.

Porwany do Rosji dwa razy?

Tak.

W 1939 i w 1945 r.

I jeszcze raz uwięziony, dwa razy był na Łubiance, raz w berlińskim Moabie i raz na Curylu i Metodego w Warszawie.

Przekładaniec totalitarny.

Tak właśnie. Oczywiście mógł z Polski wyjeżdżać, ale nigdy tego nie chciał. Taka postawa najważniejszych osób z tej grupy miała ogromne znaczenie dla nas. Kiedy jego poznałem, byłem jeszcze dzieckiem, nie zdawałem sobie sprawy z tych różnych wyborów i postaw, ale była to postać pomnikowa dla dosyć szerokiego grona dawnej arystokracji.

Koledzy w liceum i na studiach jakoś panu dogryzali czy na odwrót? Zachwycali się pana korzeniami?

W szarych czasach PRL to nazwisko budziło sympatię, bo kojarzyło się z jakimś bardziej kolorowym światem. Kiedy ktoś czytał – powiedzmy – listę uczniów po raz pierwszy i zatrzymywał się na moim nazwisku, zawsze jednak spoglądał, kto zacz. Z tym nazwiskiem traci się anonimowość w większej grupie, ze wszystkimi tego dobrymi i złymi stronami. Jeśli się zrobi coś dobrego, to oczywiście jest się podwójnie zauważanym, a jeżeli się zrobi coś złego, wówczas każdy powie, że się nie dorasta do pięt swoim przodkom.

Był pan aktywnym działaczem opozycji antykomunistycznej. Na przesłuchaniach na SB ktoś wyzłościł się?

Nie, byłem traktowany tak jak inni drukarze. Pamiętam jedynie strażnika z więzienia na Białołęce, który otwierając mi celę, by więźniów wypuścić na spacer, żartował: „Książę pierwszy, hołota z tyłu”.

To było sympatyczne?

Raczej tak. Zresztą w kontaktach osobistych nigdy nie spotkałem się z jakąś wrogością. Ta wrogość jest powszechna w mediach, szczególnie we wszystkich komentarzach anonimowych, gdzie tego, co się nazywa hejtem antyarystokratycznym, jest mnóstwo.

Teraz te resentymenty odżywają na nowo, gdy lewica typu Razem bardzo nerwowo reaguje na wszelkie procesy prywatyzacyjne, prawda? Pada argument, że cała Warszawa spłonęła, dlaczego tylko im oddawać?

Tak, to prawda. Sprawy reprivatyzacji np. w mojej rodzinie nie mają jakiegoś kolosalnego znaczenia. Odzyskaliśmy jeden dom pod Warszawą i w zasadzie, jeśli chodzi o moją linię Radziwiłłów, sprawa jest zamknięta. Powraca z ogromną siłą właśnie hejt związany ze zdradami w czasie potopu, targowicy, a także zarzuty wyzysku i pańszczyzny czy nawet kolonializmu. Te stereotypy są po prostu przyklejone do naszej grupy rodzin chyba na wieczność. Większość niewiele ma wspólnego z profesjonalną historiografią.

Wiem, że pan teraz się zachnie, ale ktoś z naszych czytelników powie: „No, ale Janusza Radziwiłła to naprawdę nie macie co bronić”.

Po prostu wersja Sienkiewiczowska jest nośna, gdyż podana jest pięknym językiem, wzmocniona filmową wersją. Sienkiewicz powtarza rzeczy, które z punktu widzenia profesjonalnych historyków są wielkim uproszczeniem lub fałszem, brakuje zrozumienia kontekstu historycznego. Pomijany jest cały aspekt moskiewski, zagrożenia dla Wielkiego Księstwa Litewskiego ze strony Moskwy w czasach, gdy latami trwała rosyjska okupacja Wilna. Kilka lat temu toczył się proces między mec. Giertychem a rodziną Kuronia, gdyż ten pierwszy porównał Kuronia do Janusza Radziwiłła jako zdrajcy Polski. Przede wszystkim pamiętajmy, że Janusz Radziwiłł nie czuł się Polakiem w naszym rozumieniu. Czuł się Litwinem, a Polakiem mógł się czuć tylko w takim sensie, że Polska znaczyło tyle co Rzeczpospolita. Mieszkańców dzisiejszej Polski nazywano wtedy koroniarzami. To są wszystko interpretacje nieuwzględniające kontekstu historycznego, co nie znaczy oczywiście, że akurat Janusz Radziwiłł z czasów potopu nie miał własnych czy rodzinnych interesów, których próbował bronić. To się wszystko mieszało.

Czyli jednak pan broni przodka.

Tak, zdecydowanie bronię tego człowieka przed ahistorycznymi ocenami. Wystarczy przeczytać np. biografię Jana Radziwiłła prof. Henryka Wiznera, żeby podzielić moją opinię. Tylko ile osób czytało książkę prof. Wiznera, a ile zna wizję Sienkiewicza?

Trudno. Musi pan to dźwigać na wątych barkach.

Tak samo jak cała ta grupa osób należących do dawnych magnackich rodzin, później arystokratycznych, która obwiniana bywa o upadek Rzeczypospolitej, o wszelkie możliwe zdrady i wyzysk chłopów. Można wykazać różne mroczne charaktery w tej grupie, ale każdą postać trzeba jednak osądzać poprzez kontekst jej czasów.

No i jest pan teraz opromieniony sławą wielkiej wystawy „Radziwiłłowie” w Wilnie. Obejrzało ją 55 tys. odwiedzających w ciągu trzech miesięcy. Jak na Litwę, która ma 2,8 mln mieszkańców, to chyba dosyć dużo. Jak doszło do tej wystawy?

Od wielu lat prowadzę taką działalność w zakresie kultury i muzealnictwa, na Białorusi i na Litwie. Łączę to często z działalnością biznesową w tych krajach. Kilka lat temu zrobiłem wystawę z mojej kolekcji pamiątek Radziwiłłowskich w Muzeum Narodowym w Mińsku.

Czyli szybciej Białoruś niż Litwa. To nie paradoks? Litwa to bowiem kraj unijny.

Tak, ale na Litwie, do niedawna jeszcze, czasy Wielkiego Księstwa, już po unii lubelskiej, były postrzegane jako mroczny okres w dziejach Litwy. Nawiązywano raczej do dziejów Litwy etnicznej. Teraz to się na szczęście bardzo zmieniło. Na Białorusi to nawiązywanie do okresu Wielkiego Księstwa Litewskiego wśród pewnej części inteligencji, historyków białoruskich jest bardzo silne. Oni są z tego bardzo dumni i tam wystawa o Radziwiłłach, notabene dużo skromniejsza, była ogromnym sukcesem. Sukces w Mińsku skłonił mnie, żeby zrobić to samo na Litwie, tyle że w sposób bardziej profesjonalny i z większym rozmachem. No i udało się to przy współpracy z naszymi najważniejszymi muzeami i innymi instytucjami kultury, z Pałacem Wielkich Książąt Litewskich. Właściwie to była oddolna inicjatywa moja i Wydasa Dolinskasa, dyrektora zamku w Wilnie. Ważną rolę odegrał prof. Przemysław Mrozowski z Zamku Królewskiego w Warszawie.

A skąd eksponaty?

Trafiły na wystawę z 40 różnych muzeów, archiwów, bibliotek, klasztorów z siedmiu krajów plus moja kolekcja, czyli ok. 100 eksponatów. Przy czym ograniczyliśmy się tylko do okresu do upadku Rzeczypospolitej w XVIII w., bo późniejszy czas dla Litwinów jest mniej ciekawy, zresztą obecność rodziny Radziwiłłów na terenach dzisiejszej Litwy była w wieku XIX niewielka.

Widziałem na wystawie kielich mszalny księcia Mikołaja Krzysztofa Sierotki, który pan ściągnął z Jerozolimy, z bazyliki Grobu Pańskiego. Pana przodek miał gest.

To była bardzo ciekawa postać. Gdy chorował, złożył przysięgę, że w razie ocalenia odwiedzi Ziemię Świętą.

Co to była za choroba?

Może lepiej pominęmy.

Ale to będzie w tekście.

Nie, no nie jest tajemnicą, że wtedy taką plagą był syfilis, który nękał wiele ważnych osób i miał ogromny wpływ na historię – na tę chorobę zapadli Zygmunt August i Jan III Sobieski, to była prawdziwa plaga.

No i Mikołaj Krzysztof się wyleczył. Który to był rok?

To był rok 1581 i wybrał się właśnie do Ziemi Świętej.

Niedługo po bitwie pod Lepanto, gdzie świat Zachodu wygrał z islamem.

Dokładnie 10 lat po bitwie.

Gdzie się zdobywało wiesz na takie wyjazdy?

Turcy nie pozwalali chrześcijanom tam jeździć ani pielgrzymować. Niemniej Mikołaj Krzysztof zwany Sierotką otrzymał specjalne zezwolenie od sułtana.

Taki dokument nazywa się firman.

To był rodzaj paszportu i mój przodek rzeczywiście odwiedził z nim Ziemię Świętą, a później także Egipt.

Egipt to już turystycznie, tak?

Bardziej turystycznie. Sierotka był niesamowicie dobrze wykształcony jak na tamte czasy. Priorytetem było jednak wypełnienie przysięgi, którą potraktował bardzo poważnie.

Nic dziwnego, że wręczył franciszkańskim opiekunom Grobu Świętego jako wotum kielich. A kiedy pan się dowiedział, że franciszkanie mają ten kielich?

Dopiero kilkanaście lat temu polscy historycy sztuki, a konkretnie prof. Przemysław Mrozowski, zidentyfikowali kielich, który został złożony przez Radziwiłła jako wotum właśnie w kościele Franciszkanów przy Grobie Pańskim.

No i co, zgodzili się go wysłać do Wilna?

Zgodzili się, a władze izraelskie dały stosowne zgody.

Polscy franciszkanie pomogli?

Tak. Kielich był częściowo rekonstruowany w wieku XIX, złota część na górze, natomiast tzw. koszyczek i podstawa są oryginalne i pochodzą z wieku XVI, więc był to może najbardziej – nazwijmy to – egzotyczny eksponat.

A teraz eksponat najbardziej przyciągający uwagę, buława radziwiłłowska. Jak pan podejrzewa, własność księcia Janusza. Ozdabia go 200 turkusów. Gdzie pan to znalazł?

To jest akurat przedmiot o szczególnej dla nas wartości, bo w rodzinie jest praktycznie cały czas od 400 lat. Znajdował się w skarbcu w Nieświeżu do roku 1812, kiedy to Moskale spustoszyli Nieśwież.

Mszcząc się za to, że książe Dominik poparł Napoleona?

Właśnie tak. Natomiast kilkadziesiąt lat później kolejna właścicielka Nieświeża Marie de Castellane-Radziwiłłowa wybrała się do ostatniego cara Rosji i poprosiła go o zwrot zrabowanych przedmiotów. Wtedy ok. 500 takich przedmiotów wróciło do rodziny. Oczywiście późniejsze losy spowodowały, że wiele tych przedmiotów ponownie zostało utraconych, ale na szczęście buława pozostała w rodzinie.

Jak przetrwała wojnę?

Była własnością Stanisława Radziwiłła, bohatera wojny z bolszewikami w roku 1920.

Czy to ten, którego grób udekorował marszałek Piłsudski w 1926 r. na spotkaniu w Nieświeżu?

Tak, ale po jego śmierci wdowa po nim przeniosła się do Francji i dwa lata temu odkupiłem tę buławę od wnuczki tegoż bohatera wojny 1920 r.

O cenę nie pytam nawet.

Cena była w miarę przystępna, bo wnuczka bohatera walki o niepodległość była świadoma tego, że ten przedmiot powinien wrócić do Polski.

Trzeci eksponat, który przykuwał uwagę – chorągiew Radziwiłłów, którą układano groby najbardziej znamienitych poległych albo zmarłych członków rodziny.

Ta chorągiew ma wartość głównie rodzinną, a nie tylko muzealną. Od wielu pokoleń trumny ze zmarłym Radziwiłłem czy Radziwiłłową kładzie się na ziemi owinięte tą flagą. Chorągiew pochodzi z czasów konfederacji barskiej z typową ornamentyką z tego okresu, czyli z jednej strony krucy-

fiks, z drugiej – Matka Boska. Ciekawszym historycznym eksponatem jest właśnie obraz Matki Boskiej Radziwiłłowskiej czy, jak kto woli, Nieświeskiej.

Odnaleziona na polu bitwy po wiktorii wiedeńskiej?

Tak.

Kto ją tam porzucił?

To było kilka dni po bitwie wiedeńskiej, hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski, dowódca husarii wszystkich bitew Sobieskiego – to taka osoba pozostająca w cieniu Sobieskiego, ale bardzo ważny wojownik – patrolował okolice obozu i znalazł w zrujnowanym przez Turków pałacu obraz Matki Boskiej Loretańskiej. Nie byłoby w tym nic specjalnego, gdyby nie łacińskie napisy przy tym wizerunku: „W tym wizerunku Maryi zwyciężysz, Janie”.

Obraz przejął król Jan Sobieski?

Król woził go ze sobą na różne kampanie wojenne, m.in. wyprawy mołdawskie, następnie umieścił go w swojej ukochanej rezydencji w Żółtkwi. W kolejnych pokoleniach, kiedy rodzina Sobieskich wymarła, Żółtkiew trafiła w ręce Radziwiłłów, którzy byli najbliższymi krewnymi Sobieskich, jako że siostra króla wyszła za mąż za Michała Kazimierza Radziwiłła ordynata nieświeskiego. Z racji legendy króla Jana III już w wieku XVIII obraz był pieczętowiec przechowywany przez kolejne pokolenia Radziwiłłów, jeszcze w 1740 r. przeniesiono go z Żółtkwi do Nieświeża i tam wisiał z krótkimi przerwami w kaplicy zamkowej aż do roku 1939, kiedy do zamku zawitali Sowietzi i aresztowali właścicieli. Na szczęście niania synów ostatniego właściciela wiedziała, że ten obraz ma ogromną wartość rodzinną i uratowała go. Po wojnie przekazała go z powrotem rodzinie. Moja żona i ja jesteśmy już 10. pokoleniem strażników tego cennego obrazu, który ma wielką wartość historyczną. Można zobaczyć go na obrazie pt. „Bitwa pod Wiedniem” Matejki, który znajduje się w muzeum watykańskim. Na płótnie trzyma go w rękach kapelan króla Marek z Aviano, obok stoi król, który wysłał do papieża słynny list, w którym napisał: „Veni, vidi, Deus vincit”.

Litwini, definiując swoje odrodzenie narodowe, raczej podkreślali obudzenie drobnej szlachty i inteligencji o korzeniach chłopskich. Aristokraci litewscy byli spolonizowani. Większość sygnatariu-

szy litewskiej niepodległości z 1918 r. pochodziła z małych zaścianków, np. Antanas Smetona czy Stanisław Narutowicz, brat Gabriela.

Tak było, choć nie do końca. Część mojej rodziny mieszkała w przedwojennej Litwie i odgrywała tam pewną rolę. Na przykład Janusz Radziwiłł, właściciel majątku Towiany, był komendantem honorowym Pułku Huzarów Litewskich im. Janusza Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, którego u nas nazywa się zdrajcą, a na Litwie do dziś jest bohaterem narodowym.

Od pani ambasador Urszuli Doroszewskiej usłyszałem anegdotę, jak to kiedyś w kontekście wileńskiej wystawy „Radziwiłłowie” opowiedziała o panu jednemu z polityków litewskich. Ten zareagował tak: „Ciekawe... Co za zbieżność nazwisk!”. Zna pan tę opowieść?

Często ktoś mnie pyta: „Czy pan jest potomkiem Radziwiłłów?”. Odpowiadam wtedy, że nie jestem potomkiem Radziwiłłów. Jestem Radziwiłłem po prostu. Naszą rodzinę cechuje silna ciągłość pokoleń. A oni na Litwie przez dłuższy czas szcze-

wystawa jest takim nawiązaniem do tych korzeni. Litwini wcześniej np. zapraszali chętnie Paula Sanguszkę, który mieszka w Brazylii i niewiele wie o historii. Sanguszkowie zresztą są rodziną, która pochodzi tak jak Czartoryscy od wielkiego księcia Gedymina, ale przenieśli się jeszcze w XV w. na tereny Ukrainy i właściwie przestali być rodziną litewską. Myślę, że udało się przekonać Litwinów, by zapraszać na różne spotkania raczej przedstawicieli tych rodzin mieszkających w Polsce, bo oni lepiej przechowują pamięć historyczną niż nasi krewni z USA, Wielkiej Brytanii czy Brazylii.

Jak wyglądało pana spotkanie z prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką?

Miałem z panem prezydentem krótkie spotkanie w Nieświeżu, z okazji otwarcia zamku.

Zamek jest pięknie odnowiony?

No, można mieć pewne zastrzeżenia, ale trzeba doceniać to, co jest robione,

Bez przesady, moja działalność jest tylko małą kroplą, która draży kamień. Cieszę się, że Litwa i Białoruś zaczęły nawiązywać do historii Wielkiego Księstwa. Jak spojrzysz pan na mapę tych dwóch krajów, jest to dokładnie terytorium Wielkiego Księstwa z czasów po unii lubelskiej.

A kiedy dojdzie do wystawy o Radziwiłłach w Polsce?

Nie widzę wielkiego zainteresowania polskich muzealników. Może to efekt licznych zmian personalnych w najważniejszych muzeach polskich. Na pewno jednak postrzeganie Radziwiłłów na Litwie czy na Białorusi jest inne niż w Polsce. Mam jednak nadzieję, że kiedyś taka ekspozycja powstanie. Cokolwiek by się powiedziało o rodzinie Radziwiłłów – rozumiem, że różne mogą być oceny – jest coś w tej rodzinie unikalnego, skoro jako jedyna utrzymywała się na szczycie życia politycznego i ekonomicznego od XV aż do wieku XX.

Jednak ten wiek XIX pominął pan trochę na tej wystawie.

Tak jak mówiłem wcześniej, dla Litwinów ten wiek już nie jest ciekawy. Radziwiłłowie wtedy niewiele mieli wspólnego z tą częścią, która dzisiaj należy do Litwy, natomiast w Polsce na pewno ta ciągłość byłaby rozszerzona, ja zresztą zrobiłem kilka wystaw związanych z Radziwiłłami.

Na przykład?

W Nieborowie dwa lata temu czy np. w Białej Podlaskiej, też starej radziwiłłowskiej miejscowości. Oczywiście dla mnie szczególne znaczenie mają działania na Litwie i Białorusi, ponieważ mają szerszy wymiar budowania ożywczych relacji z tymi krajami. Mam nadzieję rozpoznać podobną działalność na Ukrainie. Na Białorusi to pokazywanie wspólnej historii i jej wielkości Białorusinom, która przyciąga ich do Polski. Na Litwie to pokazywanie splendoru czasów Wielkiego Księstwa, co pomaga odchodzić od koncentrowania się na Litwie etnicznej, a pokazuje, że można różnie tę historię oceniać, ale że to była mimo wszystko historia wspólna. I myślę, że te moje działania są zauważane także przez polską dyplomację.

Jako odtwarzanie tych starych więzów na linii Wilno – Mińsk – Warszawa?

Tak. Te więzi są niesłychanie ważne i dzisiaj. To nie jest żaden sentymentalizm, tylko Realpolitik.

Często ktoś mnie pyta: „Czy pan jest potomkiem Radziwiłłów?” Odpowiadam wtedy, że nie jestem potomkiem Radziwiłłów. Jestem Radziwiłłem

gólną wagę przywiązywali do linii kalwińskiej na Birżach oraz Dubinkach i do dziś czczą postacie z tej linii: Mikołaja Rudego, Barbarę Radziwiłłównę, kolejnych hetmanów, m.in. Janusza Radziwiłła, Bogusława. Ja pochodzę od Mikołaja Czarnego, który dla nich jest jeszcze ważniejszy, ale jego potomkowie w wiekach XIX i XX na Litwie już nie odgrywali większej roli. Centrum rodziny przeniosło się bardziej na tereny dzisiejszej Białorusi czy Rzeczypospolitej, a nawet do Berlina.

Nie każdy na Litwie wie, że rodzina Radziwiłłów dotychczas istnieje. „Odkryto” nas tam parę lat temu, gdy zaczęliśmy tu od ok. 2008 r. działać.

Wtedy Litwini zobaczyli, że mamy cały czas zachowaną tradycję pochodzenia litewskiego, że to dla nas jest ważne, że jest pewna ciągłość, i to dobrze się wpasowało w renesans pamięci o Wielkim Księstwie na Litwie.

Rodziny wywodzące się z Litwy, takie jak Czartoryscy, Sapiehowie, ale przede wszystkim Radziwiłłowie, oczywiście są dzisiaj spolszczone. Nie zapomnieli jednak o swoich korzeniach i właśnie ta

i cieszyć się z tego. Na tych terenach nie jest łatwo tworzyć muzea czy odbudowywać zamki, bo po prostu elita kulturalna tych krajów była wielokrotnie niszczone. Jestem szczęśliwy z tego, co tam zostało zrobione, a krytykować jest bardzo łatwo. Prezydent Łukaszenko nie jest moim bohaterem, nie byłby na pewno bohaterem mojej młodości z czasów, kiedy byłem antykomunistycznym rewolucjonistą, ale trzeba doceniać to, co robi.

A co robi?

Władze białoruskie mimo ograniczonych środków ratują dużo cennych zabytków związanych z Wielkim Księstwem Litewskim. Odbudowali zamek w Nieświeżu i Mirze, odbudowują bezcenny kościół w Nieświeżu, teraz zabrali się za pałac Sapiehów w Różanach. Dla porównania na Ukrainie, gdzie tych zabytków jest mnóstwo, niestety niewiele się dzieje. I te zabytki niszczeją.

No dobrze, czyli krótko mówiąc, łączy pan swoją osobą Polskę, Białoruś i Litwę. Nawet dostał pan Krzyż Oficerski Orderu „Za Zasługi dla Litwy”.

Jak wychować wierzące dziecko



FOT. ADRIAN STOK



Z Piotrem Wołochowiczem, teologiem, dyrektorem Fundacji Misja Służby Rodzinie
rozmawia Agnieszka Niewińska

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: „Skąd się biorą wierzące dzieci?” – pyta pan w tytule książki, którą napisał wraz z żoną. Czy odpowiedź nie jest oczywista? Wierzący rodzice wychowują wierzące dzieci.

PIOTR WOŁOCHOWICZ: Nie jest oczywista. Sam z tradycyjnie katolickiego domu nie wyniosłem wiary. W wieku 10 lat przestałem chodzić na religię, modlić się. Nawróciłem się dopiero, gdy byłem studentem.

Z moją śp. żoną Mariolą (zmarła w 2016 r.) 10 lat temu zwróciliśmy uwagę na to, że dzieci naszych znajomych – trwających w wierze, zaangażowanych w Kościele – często mają z wiarą problemy, odchodzą od Kościoła, kiedy są nastolatkami czy młodymi dorosłymi.

Jakie są powody odejścia młodzieży od wiary?

Zewnętrzna presja na porzucanie wiary jest ogromna w obecnych czasach postmodernizmu, seksualizacji życia i nowych technologii.

Od strony rodziny jedną z przyczyn jest przekazywanie niewłaściwego obrazu Boga. Zamiast kochającego Ojca przedsta-

wianie Go jako automat do realizowania naszych życzeń albo jako Wielkiego Brata, który ukarze dziecko, jeśli ono zrobi coś nie tak. Ja z religii wyniosłem obraz Boga jako groźnego milicjanta – bo to były lata 60. – który jedynie kontroluje, czy czegoś nie przeskrobałem. Taki Bóg nie był dla mnie atrakcyjny.

W rozwoju wiary może przeszkodzić także zbytne rozbudowanie modlitw domowych.

Dzieci się uprzedzą do kontaktu z Bogiem?

Jeśli są zmuszane do form i liczby modlitw, do których jeszcze nie dorosły, może się u nich wytworzyć obraz Boga opresyjnego.

Innym powodem odejścia od wiary może być kiepski obraz życia rodziców. Jeśli często się kłóca, narzekają, to dziecko zaczyna się zastanawiać nad tym, czy jego życie będzie wyglądać podobnie, jeśli będzie wierzące. Usłyszysz o jakiejś ideologii, nowym pomysle na życie i może wydać mu się to bardziej atrakcyjne. Rodzice, którzy chcą przekazać

dzieciom wiarę, muszą pokazywać im cudowną przygodę życia pełnego pasji dla Boga.

Bywa, że także w rodzinach, które bardzo starają się przekazać wiarę dzieciom, te w wieku nastoletnim się od niej dystansują.

Rodzic nie może podjąć decyzji wiary za dziecko, ale może stworzyć takie środowisko przekazu, żeby zwiększyć szanse, że ono kiedyś będzie człowiekiem wierzącym. Zadawaliśmy sobie z żoną pytanie: Co takiego było w naszym domu, że troje naszych dorosłych już dzieci doszło do dojrzałej wiary bez większych problemów? Analizując to, zaproponowaliśmy sześć punktów, których realizacja może bardzo zwiększyć szanse na to, że dzieci pozostaną blisko Boga.

Od czego zacząć?

Mamy wielki kryzys wychowania jako takiego, coraz większą bezradność rodziców. Tracą nadzieję, mówią: „Takie są czasy” i uważają, że grzeczne dziecko się trafia lub nie. Na warsztatach o wychowaniu, które prowadzi Misja Służby Rodzinie, tłumaczymy im, że dzieci się nie „trafiają”, ale są takie, jak je wychowamy.

Rodzice powinni wrócić do tradycyjnego modelu wychowania, nie ulegać

ideologii wychowania bezstresowego czy innym współczesnym teoriom. Dzieci potrzebują też widzieć w domu kochających się rodziców i jedność między nimi. Nie może być tak, że jeden na coś pozwala, a drugi nie. Do tego dochodzi 100 proc. bezwarunkowej miłości i 100 proc. dyscypliny. Dziecko musi wiedzieć, że władzę w domu ma rodzic, to on wychowuje je na odpowiedzialnego człowieka. Rodzic zaś mieć świadomy program wychowania dziecka w ogóle i jego rozwoju duchowego.

Przejdźmy zatem do porad dla rodziców chcących wychować wierzące dziecko.

Pierwsza kwestia to systematyczna modlitwa za dzieci. Nie tyle odmawianie modlitw w ich intencji, ile wylanie serca przed Bogiem, indywidualne przedstawianie Mu dzieci. Należy mówić Bogu o każdym dziecku z osobna, czekać na to, co On nam odpowie.

Druga kwestia to autentyczność życia chrześcijańskiego w rodzinie. Każdą sytuację życia codziennego trzeba przeżywać w kontekście wiary. Zgodność tego, co się mówi, z tym, jak się żyje. Dzieci natychmiast zauważą, gdy rodzic mówi jedno, a robi drugie – i to zniweczy przekaz.

Trzecia kwestia to wieczorne czytanie dzieciom. Uświadomiliśmy sobie, jak wielkie znaczenie miało to w wychowaniu naszych dzieci.

Ma pan na myśli czytanie dzieciom Biblii?

Biblię czytaliśmy podczas modlitwy. A kiedy dzieci były już w łózkach, wybieraliśmy książki pokazujące historie dzieł misyjnych, zaangażowanych chrześcijan, którzy w różnych miejscach służyli Bogu. Czasami były to powieści chrześcijańskie, innym razem lektury szkolne czy nawet książki o Mikołajku, których też można użyć jako narzędzie przekazywania wartości. W czasie czytania zatrzymywaliśmy się nad niektórymi fragmentami, omawialiśmy je. W efekcie dzieci zasypiały wypełnione bożymi treściami i to w nich pracowało. Zastanówmy się: Co w naszych dzieciach pracuje, gdy idą spać? Boże treści czy wątpliwe seriale?

Czwarta kwestia, na którą wskazaliśmy, to życie atrakcyjne i radosne.

Wielu rodziców wręcz przesadnie dba o atrakcje dla dzieci.

Nie chodzi nam o to, by dziecko miało do dyspozycji najnowsze konsole, tablety itp., tylko o twórcze życie, robienie cze-

goś wspólnie. Kiedy wygłaszam wykład na ten temat, ilustruję go zdjęciami igloo, które w zimie budowaliśmy z dziećmi przed domem, czy dmuchanego baseniku z wodą, w którym dzieci pluskały się na balkonie. Kiedy pojawiły się pierwsze sale zabaw, biegaliśmy tam razem z nimi, w przeciwieństwie do wielu innych rodziców, którzy siedzieli i patrzyli.

W przypadku starszych dzieci rola rodziców jest mniejsza, skoro same mogą zgłębiać wiarę?

Rodzice mają za zadanie umacniać dziecko w wierze i pilnować, by w niej wzrastało. To piąta z naszych rekomendacji. Dopilnować osobistej relacji dziecka z Bogiem, żeby poznawało ono Pismo Święte – zaczynając od Biblii dla dzieci. Także tworzyć wokół niego środowisko wierzących rówieśników z innych rodzin.

Szóste zalecenie może niejedną osobę zaskoczyć.

A jest bardzo ważne. Jednym z kluczowych czynników sprzyjających przekazywaniu wiary jest przebywanie z dziećmi, czyli przede wszystkim ważne jest to, żeby mama była z małymi dziećmi w domu. Księga Powtórzonego Prawa 6,7 mówi à propos Bożych słów: „Wpóisj je twoim synom, będziesz o nich mówił, przebywając w domu, w czasie podróży, kładąc się spać i wstając ze snu”. Od lat jedno z kluczowych haseł Misji Służby Rodzinie brzmi: „Mamo, zostań ze mną w domu – to najlepsze dla mojego rozwoju!”. W książce „Skąd się biorą wierzące dzieci?” temat ten omawiamy bardzo szeroko.

Ekonomiści zwróć uwagę na konsekwencje dla kobiet: niższa emerytura, trudności w wejściu na rynek pracy.

A ja zadam pytanie: Co jest dla nas ważne? Czas, kiedy mamy małe dzieci, nie trwa wiecznie. Pierwsze sześć lat życia to najważniejszy okres w rozwoju. Kiedy dziecko pójdzie do szkoły, mama może wrócić do pracy. Błędne jest przekonanie, że kobieta, która idzie do pracy, robi coś wartościowego, a ta, która zostaje w domu, się marnuje. 40 lat temu wskazywał na to Jan Paweł II w adhortacji „Familiaris consortio”. Nie doceniamy wagi, którą mają długofalowe owoce obecności rodzica z dzieckiem w domu. W pracy pensję dostaje się od razu, a nagroda za bycie w domu przychodzi po 20



MARIOLA I PIOTR WOŁOCHOWICZOWIE
„SKĄD SIĘ BIORĄ WIERZĄCE DZIECI?”
ESPRIIT 2018

latach. Myśmy z Mariolką tego doświadczyli.

Nie każda rodzina jest w stanie żyć z jednej pensji.

To jest wyzwanie. Moja żona wychowywała dzieci w domu i wielu rzeczy musieliśmy sobie odmawiać. To kwestia priorytetów: ceną był niższy standard życia, ale kształtowaliśmy nasze dzieci my, a nie przedszkole.

A gdyby to tata został z dziećmi w domu?

Oczywiście może to być tata.

Część rodziców – nawet tych, którym zależy na przekazaniu dziecku wiary – aktywizuje się dopiero, kiedy zbliża się pierwsza komunika. Kiedy zacząć mówić dzieciom o Bogu? Od kiedy zabierać je do kościoła?

Już do maluszka możemy mówić, że jesteśmy wdzięczni Bogu za niego, że Bóg go kocha i ma wobec niego plany. Kiedy widzimy piękno przyrody, mówmy dziecku, że stworzył ją Bóg. Jeśli coś dobrego wydarzyło się w rodzinie, pokazujmy w tym Bożą rękę. Nie może być tak, że żyjemy zwyczajnie, a co pewien czas robimy dzieciom duchowe kazanie. Cały czas żyjmy w bliskości z Bogiem. To treść życia, a nie dodatek.

Co do zabierania dzieci do kościoła: dwu-trzylatkowi trudno będzie tam wytrzymać przez godzinę. Nie musimy jednak czekać, aż skończy siedem lat. Kiedy dziecko jest coraz bardziej świadome, tłumaczmy mu, że w kościele jest szczególny czas spotkania z Bogiem i oddawania Mu chwały. Nie straszmy dzieci, że jeśli nie będą chodzić do kościoła, to spotka je kara. Ku żywej wierze mamy dzieci pociągnąć, a nie popychać.

Dawid powiedział do Goliata: „Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem, ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów [...]. Ponieważ jest to wojna Pana, On więc odda was w nasze ręce” (1 Sm 17, 45, 47). Wierzący rodzice też walczą za swoje dzieci w imię Pana Zastępów. To jest wojna Pana i On da zwycięstwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Wołochowicz – wraz z żoną Mariolką Wołochowicz zmarł w 2016 r. jest autorem wielu książek dotyczących życia małżeńskiego, rodzinnego, wychowania dzieci.



Piotr Gociek

„Outsider” to ekscytująca ekranizacja przeciętnej powieści mistrza horroru. Stephen King już się nie uczy nowych sztuczek. Filmowcy – owszem

Stephen King pisze, bo lubi. Pieniądzy ma już tyle, że i tak nie zdąży ich wydać do końca życia, swój ślad na piaskach historii także już zdążył odcisnąć. Żadna z książek wydanych w ostatniej dekadzie nie zapisze się w historii literatury popularnej tak mocno, jak „Lśnienie”, „Smętarz dla zwierzków”, „To” czy „Bastion”. Stary mistrz horroru z Maine wypuszcza jednak na rynek wciąż nowe książki (ku uciechu czytelników i własnej), flirtuje z kryminałem, wraca do własnych pomysłów sprzed lat, pomaga synom w ich literackich projektach. Wciąż mu się chce.

Powieść „Outsider” (2018) to typowy przykład późnego Kinga – nie jest wybitna, ale za to zręcznie napisana, łącząca klasyczną intrygę kryminalną z elementami nadprzyrodzonymi, sygnalizująca także miejscami wspólnotę z innymi dziełami Kinga, w tym jego opus magnum, serią „Mroczna wieża”. Autor „Carrie” nie jest pierwszym pisarzem, który uległ pokusie łączenia za wszelką cenę wszystkich swych dokonań w jeden wspólny wielki gobelin, dziś mówi się „wspólne uniwersum”.

KLUCZ DO KINGA

O ile trudno się zgodzić z wydawcami, którzy obwieszczają, że mamy do czynienia ze szczególnie owocnym okresem twórczości Kinga (ale oni tak muszą), o tyle bezwzględnie żyjemy w czasach szczególnie owocnych, jeśli chodzi o ekranizacje jego dzieł. Dwuczęściowa kinowa wersja powieści „To” okazała się wielkim kasowym sukcesem, kinowy „Doktor Sen” według bardzo słabej powieści kontynuującej „Lśnienie” wyszedł dużo lepiej od literackiego oryginału, podobnie było z serialem „22.11.63”, przewyższającym jakością powieść. Ciekawe były telewizyjne „W wysokiej trawie” i „1922”. Oczywiście nie zawsze się udawało („Mroczna wieża” okazała się porażką), ale można powiedzieć, że filmowcy wreszcie znaleźli klucz



Kwestia sumienia

do tego, co z Kingiem na ekranie zrobić, jak wykorzystać jego mocne strony.

Klucz leżał na ulicy, wszyscy go widzieli, wystarczyło się schylić i skorzystać, czego dowodem jest serial „Outsider”, gwiazdorska produkcja HBO emitowana właśnie w Polsce (jesteśmy w połowie dziesięcioodcinkowej opowieści). Kto przypomni sobie, jak ciekawymi filmami były „Misery”, „Zielona mila” czy „Skazani na Shawshank”, ten pojmie w lot, że właściwym podejściem do twórczości Kinga było zapomnienie o fakcie, że to król horroru, a przypomnienie sobie, że jest świetnym obserwatorem codziennego życia Ameryki i mistrzem tworzenia ciekawych postaci. Znów wróć do najnowszej wersji „To”, którą w dwóch częściach nakręcił Andy Muschietti. Tam, gdzie popisywali się spece od efektów specjalnych, gdzie było krwawo, potwornie i dosłownie, tam ziewałem znudzony, cze-

kając co dalej. Tam, gdzie obserwowaliśmy interakcje dobrych aktorów, którzy dostali do interpretacji ciekawe, pełnokrwiste postacie, tam robiło się naprawdę ciekawie, a momentami pasjonująco.

Twórcy telewizyjnego „Outsidera” doskonale pojęli tę lekcję. W efekcie powstał serial, który od pierwszego odcinka wciągnął nawet tych, którzy zazwyczaj na hasło „ekranizacja Kinga” reagowali odruchem Pawłowa: „Nie lubię, bo nie lubię horrorów”. Klimat przypominający pierwszy sezon „Detektywa”, bardzo interesująca obsada, hipnotyzujący rytm opowieści i od pierwszych ujęć sekrety, wiele sekretów. I żadnych tanich efektów, żadnego tandetnego straszenia masarnią!

ZŁO UCIELEŚNIONE

Spójrzmy na główne figury. Detektyw Ralph Anderson rozpoczyna dochodze-

W roli detektywa Andersona
błyszczą Ben Mendelsohn
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



nie w sprawie odrażającego morderstwa. Ofiarą jest dziecko: zmasakrowane, zgwałcone. Rzecz dzieje się w niewielkim mieście, gdzie wszyscy wszystkich znają. Także rodzinę Petersonów, których syn Frank właśnie zginął. Detektyw Anderson szybko gromadzi zeznania świadków, jednoznacznie wskazujące na sprawcę. To trener dziecięcego baseballa, nauczyciel, Terry Maitland. Ktoś widział go, jak zakrawiony wychodzi z parku, gdzie zginął mały Frank. Ktoś widział, jak chowa w furgonetce rower ofiary. Ktoś inny był świadkiem, jak w nocnym klubie szuka łazienki, żeby pozbyć się ubrania i przebrać w świeże. Są też taśmy z monitoringu. Są odciski palców. Wszystko wydaje się oczywiste. Ponure, zaskakujące, lecz oczywiste. Detektyw Anderson wysłał policjantów, by aresztowali trenera Maitlanda. Ci zaś zakładają podejrzanemu kajdanki w trakcie meczu małej ligi, głośno informując, w związku z jaką zbrodnią jest zatrzymywany. Anderson pytany później przez adwokata, dlaczego nie zatrzymał Maitlanda osobiście i dlaczego nie zrobił tego dyskretnie, odpowiada z głuchą nienawiścią: „Bałem się, że go zatłukę”.

W roli detektywa Andersona błyszczą Ben Mendelsohn, w ostatnich latach ceniony za rolę w serialu Netflix „Bloodline”, ale wykorzystywany często jako aktor charakterystyczny idealny do wcielania się w osobników złowrogich. Taki jest w „Ready Player One” Spielber-

ga, taki był w filmie „Gwiezdne wojny: Łotr 1”. Tutaj ma okazję stworzenia postaci wielowymiarowej, o której od pierwszej chwili wiemy, że nosi w sobie tajemnice, że zmagając się z własnymi demonami i że kto wie, może zadawanie innym cierpienia jest sposobem na zagłuszanie cierpienia własnych.

Jako trenera Maitlanda widzimy Jasona Batemana. To też ciekawy wybór. Aktor lubiany za rolę w serialu „Bogaci bankruci” przez lata kojarzył się głównie z różnej jakości komediami, często całkiem kasowymi („Raj dla par”, „Szeffowie wrogowie”, „Wieczór gier”). Jednocześnie przejawiał ambicje na innym polu, wyreżyserował dwa niewielkie filmy, w których także wystąpił: „Szkoła życia” (2013) i „Rodzina Fangów” (2015) – obydwa ukazały się w Polsce na DVD. W pełni swój talent pokazał w serialu „Ozark”, świetnym kryminale stworzonym dla Netflix. Bateman był tu aktorem, reżyserem, producentem. Z tak dobrym efektem i tak daleko od komediowego emploi, że HBO powierzyło mu nie tylko rolę Maitlanda w „Outsiderze”, lecz także reżyserię pierwszych odcinków.

Scena szybko zaludnia się innymi interesującymi bohaterami. „Outsider” jest bowiem jednocześnie historią dochodzenia, jak i opowieścią o druzgocącym skutku, jaki śmierć małego Franka będzie miała dla społeczności Cherokee City. Kolejne ponure wydarzenia nadejdą szybko i z druzgocącym efektem. Tymczasem detektyw Anderson staje szybko przed nierozwiązywalną zagadką: alibi oskarżonego o morderstwo Maitlanda jest zadziwiająco spójne. Jak to możliwe, że w czasie gdy świadkowie widzieli go na miejscu morderstwa, jednocześnie mnożą się przesłanki, że był zupełnie gdzie indziej, gdzie także są oczy świadków, zapisy kamer? O cóż zatem w tym wszystkim chodzi?

Kryminał zamienia się w opowieść o sprawach nadprzyrodzonych, która okaże się powikłana i dotycząca większej liczby osób, niż moglibyśmy z początku się spodziewać. Nie przywiązując się za bardzo do trenera Maitlanda, w kolejnych odcinkach pojawiają się następne zagadki. Morderstwo, o które go oskarżono, wywoła jednak wir, w którym kręcą się rozmaite ambicje, interesy i... pokusy. Ambitny prokurator życzy sobie jak najszybszego procesu, detektyw walczy sam ze sobą: Czy kiedy jest się przekonany, że złapało się właściwego człowieka, to

zasługuje on jeszcze na przywilej wątpliwości? No tak, ale czy sam Anderson jest pewien, że ma właściwego człowieka?

Zło, jak to zwykle u Kinga, okaże się mieszkając nie tylko w ludzkich sercach, ale także wystąpi ucieleśnione. Tajemnicza postać w kapturze początkowo zdaje się Andersonowi jedynie przywidzeniem, lecz jest inaczej. Pojawiają się kolejne zagadki. Czytelnicy powieści znają już na nie odpowiedzi, widzowie serialu będą musieli jeszcze kilka odcinków poczekać.

POPKULTUROWA ŚREDNIA

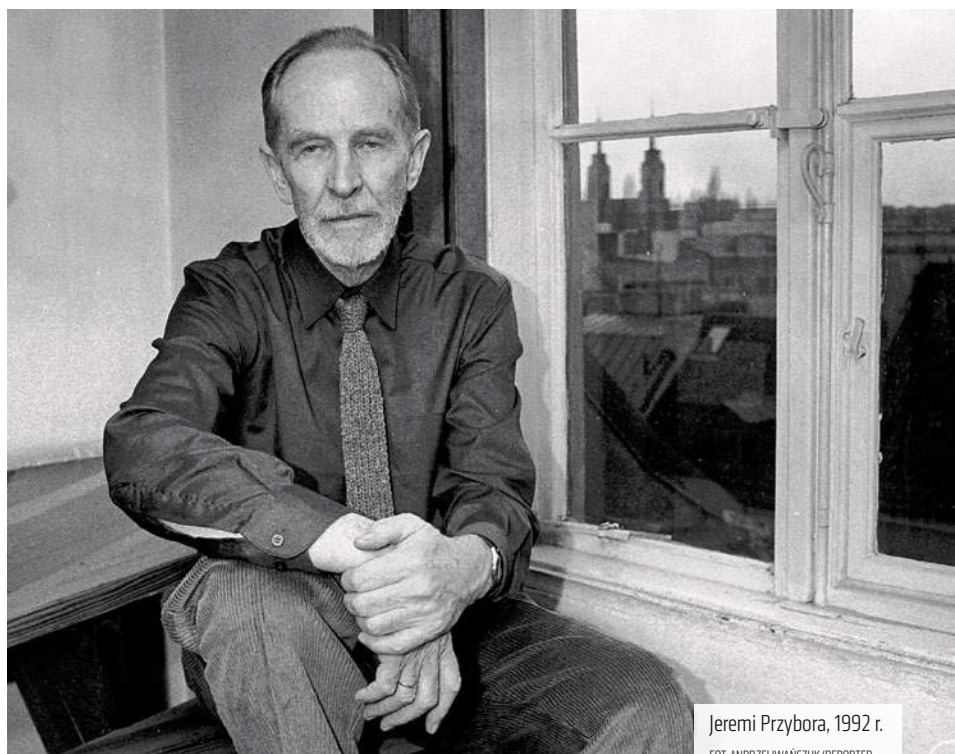
„Outsider” jest bez wątpienia kolejnym sukcesem HBO i dowodem na to, że strategia inwestowania w gwiazdy się opłaca. To nie tylko adaptacja bestsellera Stephena Kinga, nie tylko reżyserskie zdolności Jasona Batemana, lecz także talent literacki Dennisa Lehane’a, którego zatrudniono do napisania dwóch odcinków, a jest to przecież twórca wybitny, autor „Rzeki tajemnic” i wielu innych znakomych powieści. Wreszcie sam Richard Price, który za serialową adaptację odpowiada, sroce spod ogona nie wypadł. To człowiek, który napisał wiele cenionych powieści i scenariuszy (w tym dla Martina Scorsese), wymyślił dla Michaela Jacksona teledysk „Bad”, zaś w HBO stworzył kultowy serial „Prawo ulicy” i jedną z najlepszych produkcji ostatnich lat w tej stacji, czyli „Kroniki Times Square”.

Jednocześnie jestem przekonany, że jego „Outsider” aż tak długiego żywota jak „Prawo ulicy” czy przywołany wcześniej „Detektyw” Nica Pizzolatto miał nie będzie. To produkcja dużo lepsza od średniej powieści Kinga, fakt, ale jednocześnie najbardziej nawet doszlifowany scenariusz i mistrzowskie zdjęcia czy obsada nie są w stanie wznieść jej ponad popkulturową średnią. Cieszymy się więc perfekcyjną telewizyjną rozrywką, zaś za resztę wińmy jednak samego Kinga, który lubi się przedstawiać jako znawca ludzkiej duszy, ale który takim znawcą nie jest, bo kwestie metafizyczne są mu obce. Gdybyśmy tak mogli pożenić talent mistrza podglądania amerykańskiej prowincji z przenikliwością ja wiem... Grahama Greene’a, byłoby o czym rozprawiać przez dekady. King tymczasem to tylko King. Złote dziecko literatury pop, z której sam się zrodził i którą sam niesłuchanie wzbo-gacił. Reszta jest kwestią zrzeczności, a tej twórcom serialu „Outsider” nie brakuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego po opowieści o Jerzym Wasowskim, opublikowanej w roku 2005, na biografie Jeremiego Przybory musieliśmy czekać aż 14 lat?

DARIUSZ MICHALSKI: Pierwotnie „Starszy Pan B.” miał się ukazać kilka miesięcy później. W podobnej objętości i szacie graficznej, żeby na biblioteczną półkę współgrał ze „Starszym Panem A.”. Pomysł na dwie książki „bliźniaczkę” wyszedł od Andrzeja Bareckiego (grafika dbającego o estetykę moich prac – za co mu serdecznie dziękuję – drukowanych przez wydawnictwo Iskry). Przygotowując opowieść o Wasowskim, wielokrotnie rozmawiałem z wdową po nim – Marią Wasowską, swoistą centralą informacyjną, przy tym osobą serdeczną, życzliwą, mądrą, chociaż niekiedy uszczypliwą. Pytałem ją nie tylko o męża, lecz także o jego współnika. Po wieczorze promocyjnym „Starszego Pana A.” nie kryła zadowolenia – a trudno było sprostać jej oczekiwaniom – lecz kiedy ujawniłem, że pracuję już nad książką o panu Jeremim, spojrzała mi w oczy i rzekła: „Panie Dariuszu, jeszcze nie teraz”. A potem powiedziała mi coś okrutnego, co musi robić wrażenie: „Wszystko, co panu przekazałam, jest oczywiście do publikacji. Ale po mojej śmierci”. To mnie sparaliżowało, więc zarzuciłem projekt i właściwie dobrze zrobiłem, ponieważ od tego czasu – rok 2005 – spuścizna Przybory doczekała się odkryć, nowych interpretacji, nagród, a Magda Umer ułatwiła mi napisanie mej książki, bardzo szczerze relacjonując wszystko, co działo się w pamiętnym roku 1989, gdy powstało przedstawienie „Zimy żal”, mające premierę na Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Tak kolosalnego powodzenia tego widowiska nikt się nie spodziewał. Wtedy Przybora został przywrócony pamięci Polaków, bo spektakl trafił na szklany ekran. A – jak mawia Andrzej Strzelecki – kogo w dzisiejszych czasach nie ma w telewizji, ten nie istnieje. Umer kilka lat temu doprowadziła też do edycji korespondencji Przybory i Agnieszki Osieckiej. Tom zatytułowany „Listy na wyczerpanym papierze” zyskał miano bestsellera, doczekał się adaptacji teatralnej, stając się dla mnie źródłem dodatkowych tropów. Niemniej klucz do opowiedzenia o Przyborze znalazłem przede wszystkim w jego twórczości. Znaczonej fenomenalną, prestidigitatorską wręcz znajomością języka polskiego, a jednocześnie obrazującej przeżycia i stany emocjonalne autora.



Jeremi Przybora, 1992 r.

FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER



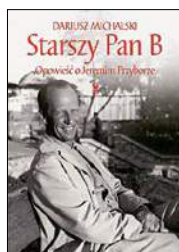
Z Dariuszem Michalskim, autorem książek biograficznych rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Szlakiem Starszego Pana

Przyborę znacznie bardziej kojarzono z małym ekranem, chociaż trampolinę kariery artystycznej stanowiło dlań radio.

To jest tak, że ludzie telewizji traktują go jak swego, a osoby związane z radiofonią uważają, iż jednak więcej zdziałał w eterze. Skłaniam się ku tej drugiej wersji, bowiem teksty Przybory działają na wyobraźnię, o wiele bardziej wyczuwalną za sprawą magii fal radiowych. Ekran dla tak wysublimowanego humoru bywał niekiedy zbyt dosłowny. Kabaret Starszych Panów wiele zyskiwał dzięki wyśmienitym interpretacjom aktorskim. W teatryku radiowym Eterek zresztą też miały one miejsce (wspomnijmy kreacje:

Ireny Kwiatkowskiej, Adama Mularczyka oraz Tadeusza Fijewskiego). Dodajmy, że Przybora terminował w Polskim Radiu – jako spiker! – jeszcze u schyłku II Rzeczypospolitej, po wojnie zrazu związał się z radiofonią bydgoską, gdzie powstała audycja satyryczna „Pokrzywy nad Brdą”, w której jego muzycznym współpracownikiem był Kazimierz Serocki, później wybitny kompozytor tzw. muzyki poważnej. Bohater mojej książki już w radiu stał się przewodnikiem i kreatorem kulturowym radiosłuchaczy. O ile dobrze pamiętam, w chwili premiery Kabaretu Starszych Panów – rok 1958 – zarejestrowano w Polsce 85 tys. odbiorników. Jeżeli przyjmiemy, że



**DARIUSZ
MICHALSKI**
**„STARSZY PAN B.
OPOWIEŚĆ
O JEREMIM
PRZYBORZE”**
ISKRY 2019

programy oglądały całe rodziny wraz z sąsiadami, to liczba widzów obcujących z pierwszą – jak się później okazało – częścią serii pt. „Popołudnie Starszych Panów” nie przekroczyła miliona. Nowe medium z roku na rok stawało się popularniejsze, podobnie jak Starsi Panowie, kształtujący przez osiem lat gust telewizyjnej widowni. Wkład tego literacko-muzycznego tandemu w ukulturalnianie Polaków jest nie do przecenienia.

Akces Przybory do Polskiej Partii Robotniczej wynikał z koniunkturalizmu czy lęku? Bo chyba nie z przekonania?

Nie wiem, czy był przekonany członkiem „jedyną siłą sprawczą narodu”. W memuarach ujawnia, że do PPR wstąpił na prośbę swego mentora, szefa rozgłośni bydgoskiej, który uważał, iż „zaczłonkowanie w partii” pomoże Przyborze – „obciążonemu niesłusznym pochodzeniem klasowym” – w działalności artystycznej. Niebawem nastał socrealizm i nie dał się weń wprzęgnąć. Nie piętnował kułaków, bumelantów, dzolców czy imperialistów, nie wychwalał przodowników pracy ani sztandarowych budowli epoki. Ba, tworzył teksty dalekie od obowiązujących schematów. Weźmy „Pryśły zmysły” z roku 1950, pierwsze wykonanie Wierzy Gran. Trzeba było być umysłowym strażnikiem, aby napisać wtedy słowa piosenki tak silnie tchnącej erotyzmem, mogło to zakończyć jego przygodę z mikrofonem. Albo rumba „Manilla”, powstała cztery lata później, traktująca o bananach, patatach, kokosach i innych dobrach w owym czasie dostępnych w PRL wyłącznie na ilustracjach.

Może cenzura nie zareagowała właśnie z uwagi na czerwoną legitymację towarzysza Przybory, składaną zwróconą po 12 latach. A jak pan ocenia jego udział w bizantyjskich rewiach TVP pod egidą Macieja Szczepańskiego?

Ogląda się je dziś z niesmakiem i ze znużeniem właśnie z racji rozpasania. Feerii kolorów, blichtru kostiumowo-dekoracyjnego, przemokniętych tabunów roztańczonych girls. Xymena Zaniewska zwróciła mi uwagę, że kiedy pod koniec lat 70. przyszła propozycja kontynuacji Kabaretu Starszych Panów, wszyscy byli zachwyceni, ufając w możliwość reinkarnacji programu w zmodernizowanej technologii i bogatszej oprawie. Tymczasem owe elementy zaszkodziły – forma przytłoczyła

treść. Odrębna kwestia, czy nie rozminięto się z potrzebami publiczności.

Po lekturze książki uznałem, że główną cechą Starszego Pana B. była kochliwość. Słusznie?

No nie, to chyba pana męski punkt widzenia. Określiłbym Przyborę mianem człowieka romansowego. Przez jego życiorys przewinęła się niejedna niewiasta, a burzę uczuć nim targających uwiecznił piórem. Miał trzy żony. Z pierwszą, Marią Burską, przez dekadę śpiewającą w siostrzanym tercecie, doczekał się córki Marty, modelki i prezenterki. Z drugą, Jadwigą Berens, dziennikarką radiową, miał syna Konstantego, dziś rekina rynku reklamy. Ukojenie znalazł dopiero u boku scenograf, Alicji Wirth.

On był z przeszłością, ona po przejściach, że posłużyć się słowami autorstwa obiektu bodaj największej namietności bohatera książki...

Niespełna trzyletni związek z Osiecką wydał piękny plon. Mam na myśli zarówno zawarte w ich listach pastisze własnych tekstów, jak i piosenki nowe, pokazujące temperaturę tej relacji, okupionej przez Przyborę huśtawką nastrojów. Spod jego ręki wyszły: „Nie zakocham się tej wiosny”, „Bez ciebie jestem tak smutny” (inny tytuł „Wyznanie”), „Podła” oraz puentująca uczucie „W kawie kawałek sułtan”. Ona poświęciła mu song „Na całych jeziorach ty”, nagrodzony na festiwalu opolskim.

Jako mąż sprawdził się dopiero w trzecim małżeństwie, jako ojciec nigdy?

To był jego życiowy dramat. Sam się zastanawiam, czemu okazał się niecułym tatą i nie potrafił zapanować – nie zadbać, bo pieniędzy mu nie brakowało – nad rodziną. Przypuszczam, że odeszło się tu własne dzieciństwo, szybko przerwane najpierw rozwozem rodziców, potem śmiercią ojca. Nie znalazł wsparcia ani w znacznie starszym rodzeństwie, ani w matce czy macosze. Braku ciepła ogniska domowego nie rekompensowały samochód z szoferem tudzież folwark. Bo pochodził z zamożnego rodu, niczego mu nie brakowało. Raz jeszcze się okazało, że pieniądze to nie wszystko. Nie poznałszy wzorca szczęśliwej rodziny, tym bardziej nie umiał jej stworzyć.

Miejscem na ziemi opisywanym przez ponad trzy dekady był Pacew. Urlopowalem dosłownie

przez płot, więc pamiętam jego spacer z psem Packiem (rasy mix), zakupy u jarzynowej plan-tatorki Renaty Mackiewicz, korzystanie z usług lokalnej „złotej rączki” Kazimierza Rutki, wyprawy do rolników po mleko i nabiał...

Uroki tej mazowieckiej wsi położonej na nadpiliczej skarpie, skąd rozpościera się zapierający dech w piersiach widok na bezkresne łąki, nierzadko pokryte kołdrą mgły, odkrył u progu lat 70. dzięki wypoczywającemu tam już wcześniej znajomemu małżeństwu scenograficzno-architektonicznemu: Tula Popławska – Jan Muniak. Pani Alicja i pan Jeremi zakochali się w Pacewie od pierwszego wejrzenia i postanowili uwić tam sobie gniazdo. Dom z kominkiem i werandą, otoczony zagajnikiem oraz pieczętowanym przez gospodynię ogrodem, stanowił ich przystań od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Bywali tam i zimą. Choćby 13 grudnia 1981 r., która to data kończyła chyba aktywność twórczą gospodarza.

Stan wojenny podciął skrzydła jednemu twórcy, lecz na pewno nie jemu. Od polityki trzymał się z daleka. Czuł się już wówczas i spełniony, i wypalony. Rockowy boom, który nastał, zupełnie go nie pociągał, a zapotrzebowanie na typ humoru przezeń prezentowany zdawało się przemijać. Na dodatek trzy lata potem przedwcześnie odszedł Wasowski.

A jak to się stało, że Przybora został starostą kutnowskim?

„Kutno okrutno” – napisał kiedyś w piosence, co mieszkańcy tego ważnego węzła kolejowego zapamiętali. Skojarzenie może nie było szczególnie sympatyczne, niemniej w jakimś sensie reklamowało miasto. Gdy przywrócono mu rangę powiatu, pojawił się pomysł nadania Przyborze tytułu honorowego starosty. Przyjął go z miłym zaskoczeniem. Piętnaście lat temu narodził się festiwal Stacja Kutno, oddający hołd patronowi poprzez przypomnienie jego dorobku. A że był niemały, jest co „odkurzać”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dariusz Michalski – dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny, od półwiecza wytrawny kronikarz polskiej piosenki. Autor wielu książek, takich jak „Poletko pana Fogga”, „Jam jest Alina”, „Kalina Jędrusik”, „Krzysztof Klenczon, który przeszedł do historii”, „Historia polskiej muzyki rozrywkowej”.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZĘŚMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Niech się babcia cieszy



★★★★★
REŻ. LULU WANG
„KŁAMSTEWKO”
(„THE
FAREWELL”)
USA 2019

wyst. Awkwafina,
Shuzhen Zhou,
X Mayo

Ludzie chcą być oszukiwani, więc kłamać trzeba. Inaczej sprawy idą w złym kierunku i wszystkim jest przykro, jak w „Dzikiej kacze”. Prawda szczególnie szkodzi chorym. Gdy lekarze zdiagnozują u starszej pani nowotwór, bliscy podejmują decyzję, by jej o tym nie informować.

Chcąc jak najdłużej utrzymać emerytkę w stanie błogiej nieświadomości, należy ją czymś zająć. Na przykład przygotowaniem wypaszonego wesela wnuka. Babcia – wulkan energii – będzie w swoim żywiole, zaś rozproszona po świecie rodzina skorzysta z okazji, by po 25 latach spotkać się i złożyć seniorce zbiorowy hołd. Jedno kłamstwo pociąga za sobą następne, w dodatku rzecz dzieje się w Chinach, gdzie szczerść wciąż jest towarem deficytowym.

Familiorny zjazd nie odbywa się bez zgrzytów. Młode pokolenie słabo mówi po mandaryńsku i uległo zachodniej indoktrynacji. Zwłaszcza Billie z kółkiem w nosie ma problem z ukrywaniem uczuć, bo wyjechała za ocean jako sześciolatka. Nie jest jednak dla ojczyzny zupełnie stracona: Chiny kojarzą się jej z wyidealizowanym dzieciństwem.

„Kłamstewko” ma kilka warstw. Pierwsza jest sentymalna, pozostałe intrygują. Przypadkowo wychodzi na jaw, że babcia Ting za młodu walczyła w komunistycznej partyzantce. Jej znajomi piastowali wysokie stanowiska i pewnie nadal wiele mogą. Seniorka nie żałuje starych domów, których miejsce zajmują koszarne bloki. Chętnie wygłasza życiowe mądrości typu: „Nie wolno krytykować Chin”.

Gdy jeden z synów oznajmia, że skoro od tylu lat mieszka w Stanach, to chyba jest Amerykaninem, natychmiast zostaje ustawiony do pionu. Wnuczek, żeniąc się z Japonką, popełnia faux pas. Jeśli myślicie, że wasze życie należy do was, to błąd. Na wschodzie jednostka musi podporządkować się społeczności, w przeciwnym wypadku jest zwykłym szkodnikiem.

O polityce się tu nie wspomina, co najwyżej o różnicach w stylu życia. Chińskie miasto przypomina mrówisko i ludzie też są jak mrówki – każdy ma swoje zadanie, zaś wysiłek narodu koordynuje partia. Czasem coś szwankuje (jak winda w świeżo zbudowanym hotelu), lecz generalnie kraj się rozwija. Nawet jeśli jednym z objawów tego rozwoju jest porażający, nowobogacki kicz, zaś wścibski recepcjonista być może pracuje na drugim, niejawnym etacie.

W USA wcale nie jest tak fajnie, mamy wiele problemów – przynajmniej skruszeni emigranci. Sugestia jest oczywista: wracajcie, w Chinach łatwiej się wzbogacić i skończyć się wasze wyrzuty sumienia. „Kłamstewko” Oscara nie dostanie, co dobrze świadczy o patriotyzmie Amerykańskiej Akademii Filmowej. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „UKRYTE ŻYCIE”

Najnowszy film współczesnego mistrza kina Terrence’a Malicka („Badlands”, „Niebiańskie dni”, „Cienka czerwona linia”). Rzecz o austriackim więźniu sumienia z czasów drugiej wojny światowej. Franz Jägerstätter za odmowę służby w niemieckiej armii został uwięziony i stracony. Kościół katolicki

uznał go za męczennika i wyniósł do grona błogosławionych (dekret wydał w 2007 r. papież Benedykt XVI). ©

Piotr Gociek

• „Ukryte życie” („A Hidden Life”),
reż. Terrence Malick,
wyst. August Diehl, Valerie Pachner,
Maria Simon, USA/Niemcy 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Marianne i Leonard: Słowa miłości”,
reż. Nick Broomfield,
USA 2019
- „Ptaki nocy”,
reż. Cathy Yan,
USA 2020

To przez Shakirę

Dzieci w zabijaniu potrafią być lepsze od dorosłych. Do takiego wniosku doszli nie tylko terroryści z ISIS i Boko Haram. Małolatów wcielała w swe szeregi również Armia Bożego Oporu, walcząca o władzę w Ugandzie, oraz kolumbijska FARC, której marzyło się powtórzenie sukcesu Fidela Castro.

Arabska kinematografia leży i kwiczy, podobnie afrykańska. Bulwersujący temat podjął więc Latynos i nie przejmując się budżetową mizerią, nakręcił film o kocujących w górach smarkaczach, którym guerillas powierzają los lekarki porwanej z miasta oraz opiekę nad krową Shakirą. Przypadkowa śmierć tej drugiej uruchamia mechanizm autodestrukcji, tkwiący w każdej organizacji,

a coż dopiero tak młodej jak Monos, czyli Małpy.

Uzbrojony w maczety i karabiny oddział, w składzie Wilk, Lady, Rambo, Yeti, Bum-Bum, Smerf, Szwedka oraz Pies, pozostawiony sam sobie z dnia na dzień dziczeje. Marzeniem Szwedki jest zatańczyć w telewizji, Lady robi za puchar przechodni, a chłopcy dowiadują się, że władza smakuje lepiej niż alkohol i grzybki halucynogenne.

★★★★★

REŻ. ALEJANDRO LANDES

„MONOS. ODDZIAŁ MAŁP” („MONOS”)

KOLUMBIA/ARGENTYNA/URUGWAJ/HOLANDIA/NIEMCY/SZWECJA 2019

wyst. Sofia Buenaventura, Julian Giraldo, Karen Quintero

Landes jest uczciwy. Nie próbuje przekonywać, że wyjście z lasu byłoby dla tych zdemoralizowanych wyrostków końcem koszmaru. Skazuje więc „Monos” na niszowość. Uzasadniony pesymizm sprzeczkuje się bowiem znacznie gorzej niż magiczny realizm. ©©

Wiesław Chęłmicki



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPCY I DZIEWCZYNA

Max, Lucas i Thor mają po 12 lat i są najlepszymi kumplami. Właśnie trafili do klasy VI, gdzie czekają ich pierwsze wyzwania dorastania: piwo i dziewczęta. Źródłem komizmu w filmie Stupnitsky'ego jest to, że niewinne i słodkie w gruncie rzeczy dzieciaki są kompletnie nieprzygotowane na to, co je spotka w absurdałnej odysei, której celem jest odzyskanie ojcowskiego drona (by nie być uziemionym, by pójść na „dorosłą” imprezę i by po raz pierwszy pocałować dziewczynę). Niektóre z żartów są „grube” (szczególnie na temat erotycznych zabawek z sypialni rodziców), część nadmiernie powtarzalna. Na plus za to trzeba zapisać charyzmę młodych aktorów, którzy są równie uroczy jak dziecięca ekipa ze „Stranger Things”. Ani przez chwilę nie wąpimy, że grani przez nich bohaterowie mają złote serca. Ten film mógłby być świetnym odciśnięciem dobrego serialu komediowego, w wersji półtoragodzinnej jest nazbyt rozciągnięty.



★★★★★

REŻ. GENE STUPNITSKY

„GRZECNI CHŁOPCY” („GOOD BOYS”)

USA 2019, DYSTR. FILMOSTRADA

wyst. Jacob Tremblay, Keith L. Williams, Brady Noon

KŁOPOTY Z KOMENDANTEM

Zaczyna się od znakomitej sceny w więzieniu, gdzie rosyjscy lekarze debatują nad uwięzionym Piłsudskim, a jego towarzysze organizują śmiałą ucieczkę. Tyle że samej ucieczki już nie widzimy. To symboliczny skrót całego filmu, który wiele obiecuje, ale niewiele dostarcza. Nawet słynna scena napadu na pociąg w Bezdanych jest zaskakująco bezbarwna. Reżyser nie wie, jaką historię chce opowiedzieć, czy jego Ziuk ma być śmiałym wizjonerem, terrorystą, romantykiem, czy tyranem. Macza palce we wszystkich farbках, lecz ciekawy obraz się z tego nie wyłania. W dodatku między poszczególnymi scenami dostajemy plansze informujące, co się tymczasem wydarzyło. Traktuję to jako wyraz bezradności i braków w budżecie oraz – niestety – obciachu i kłopotów ze spójnym scenariuszem. Żal aktorów, którzy robią, co mogą, ale mogą niewiele, bo materiał wyjściowy pełen jest sprzecznych wskazówek. ©©



★★★★★

REŻ. MICHAŁ ROSA

„PIŁSUDSKI” POLSKA 2019, DYSTR. AGORA

wyst. Borys Szyc, Magdalena Boczarska, Jan Marczewski

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „COMMANDOS 2: HD REMASTER”

Godziny planowania akcji. Skradanie się za plecami palących papierosy niemieckich wartowników. Cały zespół w gotowości, z palcami na spustach i nożami w rękach. A potem sygnał do precyzyjnego i idealnie skoordynowanego ataku. Który oczywiście nie wychodzi tak, jak powinien, bo

cała gra jest tak piekielnie trudna, że misję trzeba kolejny raz zaczynać od nowa. Jeśli ktoś nie doświadczył podobnych emocji, grając w słynną serię taktycznych skradanek „Commandos”, to nadarza się najlepsza okazja, żeby nadrobić zaległości. Gra powraca w wersji HD, z usprawnionym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sterowaniem i interfejsem. Klasyka się nie starzeje. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: Strategiczna
- Platforma: PC/XONE/PS4/Switch
- Producent, dystrybutor: Yippee!/Kalypso Media
- Klasyfikacja PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czar PGR

Prawie 900-stronicowy leksykon „Z polskiego na nasze” to zaledwie wybór z ogromnego materiału gromadzonego latami przez matkę znanego pisarza Antoniego Kroha – Zofię Lechnicką-Kroh, a po jej śmierci przez niego samego i współpracującą z nim, też już nieżyjącą Barbarę Magierową. I tak powstał zapis – jak czytamy – „słów i zwrotów odwilżowych, marcowych, grudniowych, sierpniowych. Studenckich, cinkciarских, kolejkowych, urzędniczych. Zasłyszanych, przeczytanych”.

„Język mówiony jest zmienny, ulotny. Nawet najcelniejsze sformułowania są odrzucane lub zmieniają znaczenie, gdy odwróci się sytuacja, która je stworzyła. Dziś mówimy inaczej niż kilka lat temu. Można poznać, kto przez pewien czas mieszkał za granicą, bo wypadł z obiegu, choćby w niewielkim stopniu. Na przykład nie wiem, co to jest reklamówka, jak można zrobić coś dla jay i co zawiera puszka z Pandorą” – wprowadza w tematykę leksykonu Antoni Kroh.

Oczywiście najbardziej surrealistyczne są hasła odnoszące się do najdawniejszej z epok tu przedstawianych, a więc okresu tużpowojennego, kiedy to m.in. wpajano Polakom przymusową miłość i szacunek do Sowietów. Oto trafiamy na taki zapis: „Na budynkach pegeerów pojawiają się hasła: »Walczy my o lepsze jutro«, »Tylko socjalizm zwycięży biedę«, »Precz z kapitalizmem i zimnowojennym imperiaлизmem«. Również tak absurdalne, jak to wywieszone w jednym z powiatów województwa koszalińskiego: »Koni polski, bierz przykład z konia radzieckiego«”.

Karierę robiły utrzymane w stylistyce epoki tytuły głośnych artykułów Jerzego Borejszy: „Primadonna jednego sezonu”



FOT. GRAŻYNA WYSŁIŃSKA/FORUM

– o Stanisławie Mikołajczyku, wykorzystany następnie w kampanii opluskwiającej Marka Hłaskę, czy „Orły wracają do gniazd” – z okazji mianowania Konstantego Rokossowskiego marszałkiem Polski. (Po większej wódce, i naturalnie w swoim gronie, śpiewano wówczas: „Wołga Wołga, mać radna ja, / Wołga russkaja rieka, / Nie widziała, kak nad Wisłoj / Kostia struga Poliaka”.

Odwoływano się nie tylko do wzorców sowieckich. Pod hasłem: „Chiński przodownik pracy” czytamy oto: „Wiesz, jak się mówi po chińsku »przodownik pracy«? »Ciong Ciulu Ciong«. A kilka stron dalej jakoś chińskiej herbaty potwierdza objaśnienie: „Najpierw jakiś Wsuń Chuj Wczaj ładuje to do wagonów, potem Ruskie parzą sobie herbatę, suszą fusy i wywożą do Polski”.

Stosowne hasła w rodzaju „Szał PGR” opisują najtańsze wina, pamiętane też jako „Czary PGR”, alpagi i zwykłe bełty. W ogóle te nasze powojenne,

PRL-owskie dzieje to był jeden wielki „Czar PGR”. W którym – dajmy na to – dni bezmięsne przypadały w środy i piątki, a zatem nabyć cokolwiek z chabaniny, którą sporadycznie „rzucano” do sklepów, można było jedynie we wtorki, w środy i czwartki. O niedzielach handlowych czy wolnych sobotach nikt wtedy nie słyszał.

Nie trzeba jednak sięgać tak głęboko w przeszłość. Na początku lutego 1989 r. w Tarnobrzegu młodzież demonstrowała pod hasłami: „Siarka naszym oknem na tamten świat” i „Siarka do nieba, ludzie do ziemi”. Później nastąpiła wolność, a wraz z nią era lumpeksów i szmateksów. A w 1993 r. w Krakowie zasłyszano: „Trzy białe śmierci to sól, cukier i mąka. A wiesz, że jest czwartka? – służba zdrowia”.

À propos... „Polityka” w 1995 r. informowała: „Ogromna większość chorych trafiła do szpitala na podstawie skierowań od lekarza rejonowego bądź przywozi ich tam pogotowie. Taki pacjent, jeśli świadomy obyczajów panujących na danym oddziale, szybko wysyła do ordynatora kogoś z rodziny, który załatwia sprawę. Nieświadomy – czeka bezskutecznie na diagnozę, w czasie obchodu bywa przez ordynatora pomijany, na pytanie wprost: dlaczego? – uzyskuje równie prostą odpowiedź: – Rodzina u mnie jeszcze nie była”. A skądinąd dowiadujemy się, co to znaczy „Pokierować sprawę”: „Lekarz laryngolog powiedział mi, że »pokieruje sprawę« do odpowiedniej kliniki, gdzie osobiście zoperuje dziecko. Zapytałam wprost, co to znaczy – odpowiedział bez zażenowania: »500 złotych dla mnie!«. Laryngolog czy torakochirurg – jaka różnica?”

No to zmienia się nam Polska czy nie zmienia? ©



★★★★★

**BARBARA
MAGIEROWA,
ANTONI KROH
„Z POLSKIEGO
NA NASZE, CZYLI
PRYWATNY
LEKSYKON
WSPÓŁCZESNEJ
POLSZCZYZNY”
ISKRY 2019**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Latający Terry Jones

Pewnego razu żył sobie pies, który potrafił wykonać najbardziej niezwykle sztuczki.

Umiął stać na głowie i wyszczekać psi refren, zonglując ośmioma piętami tylnymi łapami i grając na skrzypcach przednimi. To była jedna z jego sztuczek. Inna polegała na tym, że zagryzał własny ogon i przetaczał się po całym podwórzu niczym koło, utrzymując w pionie dwie długie tyczki – na jednej z nich balansowała Krówka Daisy,

a na drugiej Stary Lob Koń Pociągowy – i opowiadając wymyślane na bieżąco, zabójczo śmieszne dowcipy”. Tym cytatem, pomyślałem, pożegnam Terry’ego Jonesa, filar grupy Monty Pythona (wszyscy byli jej filarami, więc i on), który zmarł 21 stycznia.

Z Terry’ego Gilliana wyróżł tęgi reżyser, John Cleese był z tej ekipy najlepszym aktorem, Terry Jones zaś najlepszym pisarzem. Nie mam tu na myśli jedynie tekstów skeczy (panowie się w nich ścigali) czy zabawnych relacji z podróży (takich jak te, które pisze Michael Palin). Terry Jones pozostawił po sobie obfitą i zaczął spuściznę literacką, która w Polsce praktycznie pozostaje nieznaną. Oprócz pozycji okołopythonowskich (scenariusze i zbiorowa autobiografia) wydano u nas tylko powieść „Krażownik »Titanic«”

dodającą nowe przygody do cyklu Douglasa Adamsa „Autostopem przez Galaktykę” oraz jedno opowiadanie. Cytat, który przytoczyłem, jest owego opowiadania początkiem („Gwiazda podwórza” w antologii „Wielka księga fantastycznego humoru”, 2011).

Terry Jones, oprócz pracy dla telewizji, oprócz reżyserowania filmów („Żywno Briana”, „Wiking Eryk”) i pisania scenariuszy tudzież popularnych (choć kontrowersyjnych) książek o historii,

był bowiem niesłychanie utalentowanym bajarzem. Sprawdział się zatem w formie najstarszej i najtrudniejszej, biblioteczne piwnice pełne są przecież nowoczesnych baśni, bajek i bajeczek,

które starzały się szybciej, niż atrament wysychał na ich rękopisach. Nie znamy Jonesa pisarza, ale może poznamy, czekając na przełożenie nie tylko jego „Fairy Tales” i „Fantastic Stories”, lecz także inne zabawne i często cudnie ilustrowane książeczki. Nie wszystkim się będą podobały. Terry Jones, tak jak inni pythoni, był obrazoburczy, bezczelny, anarchizujący i... cóż, jak rekomendował Kogut Karol swego przyjaciela w „Gwieździe podwórza”: „Pies Stanisław ma więcej talentu w prawej tylnej łapie niż wszystkie te lwy razem wzięte!”. ©©



FOT. MYUNG JUNG KIM / PA IMAGES / FOTOFEST

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Przemysłowcy, letnicy, agenci bezpieczeństwa, sportowcy, elity władzy oraz artystyczne, prywatna inicjatywa, czyli rzecz o tym, jak nie udało się Zakopanego przerobić na kurort w pełni socjalistyczny. Są ilustracje.



JERZY KOCHANOWSKI
„WOLNE MIASTO ZAKOPANE 1956-1970”
ZNAK

Najnowsza powieść kanadyjskiej pisarki, autorki bestsellerów „Para zza ściany” i „Niechciany gość”. Modne w ostatnich latach połączenie thrillera, kryminału i powieści obyczajowej.



SHARI LAPENA
„KTOŚ, KOGO ZNAMY”
ZYSK I S-KA

Cztery tomy w jednym woluminie, wznowienie pracy historycznej popularnego pisarza, uczestnika „jednego z najtragiczniejszych ustępów z dziejów porzecznych Polski”, jak sam pisał o powstaniu styczniowym.



WALERY PRZYBORSKI
„OSTATNIE CHWILE POWSTANIA STYCZNIOWEGO”
GRAF_IKA

Józefa Cypka stracono w 1952 r. Udowodniono mu dokonanie zabójstwa i obarczono winą za wiele innych zbrodni. Kim był: seryjnym mordercą, ofiarą pomyłki sądowej, a może kozłem ofiarnym dla władz PRL? ©©



JAROSŁAW MOŁENDA
„RZEŹNIK Z NIEBUSZEWA”
REPLIKA

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Donald Tusk „Szczerze” (Agora)** – gdy polityk obiecuje szczerść, wiemy, że będzie odwrotnie. Co nie przeszkadza czytelnikom wspomnień byłego premiera.
2. **Harlan Coben „O krok za daleko” (Albatros)** – nowa powieść mistrza thrilleru. Biały kochanek z Wall Street ratuje uzależnioną od narkotyków córkę.
3. **Olga Tokarczuk „Bieguni” (Wydawnictwo Literackie)** – efekt Nobla działa jeszcze w empikach, gdzie indziej Tokarczuk od tygodni przegrywa z Sapkowskim.
4. **Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć” (Wydawnictwo Feeria)** – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” – głosi podtytuł poradnika.
5. **Christel Petitcollin „Jak lepiej myśleć” (Wydawnictwo Feeria)** – logiczny ciąg dalszy wywodów z poprzedniego (patrz wyżej) poradnika. W ogóle warto myśleć.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 7 do 19 stycznia 2020 r.)

Polacy lubią rap

Ale jeszcze bardziej Dawida Podsiadłę. Jego „Małomiasteczkowy” drugi rok z rzędu jest najczęściej kupowanym w Polsce albumem muzycznym. Związek Producentów Audio-Video przygotował roczne zestawienie najlepiej sprzedających się płyt fizycznych. „Małomiasteczkowy” cieszył się niesłabnącym zainteresowaniem przez cały ubiegły rok. Notowany był we wszystkich 51 tygodniowych zestawieniach OliS, co udało się jeszcze tylko jednemu albumowi – soundtrackowi do filmu „A Star Is Born” (Lady Gaga, Bradley Cooper), który zajął drugie miejsce w zestawieniu rocznym OliS.

Jeśli chodzi o pierwszą dwudziestkę tej listy, to „A Star Is Born” jest jedynym – obok „Greatest Hits” Queen (ósme miejsce) – albumem zagranicznym. Cała reszta to muzyka polska. Jak zauważa Związek Producentów Audio-Video: „W 2019 r. całkowita liczba



sprzedanych płyt z pierwszej setki zestawienia rocznego OliS wyniosła 1 652 489 egzemplarzy, przy czym polskich tytułów sprzedano 1 073 824. W setce tej znajduje się 60 płyt polskich wykonawców, co odpowiada za 65 proc. całego wolumenu sprzedaży płyt z Top 100 zestawienia”.

W polskiej muzyce dominują mężczyźni. W Top 20, oprócz Lady Gagi współtworzącej filmowy soundtrack, kobietom przypadły jeszcze tylko dwie pozycje: 19. dla Roksany Węgiel oraz 20. dla Darii Zawiałow.

To pewnie dlatego, że nad Wisłą najchętniej kupowane są płyty raperów, którzy zdominowali najwyższe



lokaty ubiegłorocznej sprzedaży. Po „Małomiasteczkowym” i „A Star Is Born” podium zamyka pierwszy solowy album Sokoła zatytułowany po prostu „Wojtek Sokół”. Polski hip-hop w Top 10 to także: KęKę z albumem „Mr KęKę”, „Instrukcja obsługi świrów” (O.S.T.R.), „Afirmacja” (Kamerzysta), „Widmo” (PRO8L3M), „Pocztówka z WWA, lato '19” (Taco Hemingway).

Podobne trendy występują w serwisach streamingowych. Tylko w radiu inna moda – w Top 100 najczęściej granych w ubiegłym roku piosenek tylko 28 to utwory polskich wykonawców. © ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Kiedy trądzik znika z twarzy

Patointeligencja” wywołała medialną dyskusję o tym, co wiemy, a raczej czego nie wiemy o młodzieży z dobrych domów. Jedni byli zszokowani, drudzy udowadniali, że o upadku przyszłości narodu dawno pisano, rapowano i go filmowano. Dzięki zamieszaniu Mata stał się gorącym towarem na rynku muzycznym.

Problem z debiutanckim albumem Michała Matczaka polega na tym, że „Patointeligencja” (20 mln odsłon w miesiąc) jest najciekawszym utworem na płycie. Reszta jest dziennikiem dojrzewającego licealisty. Z jednej strony pozującego na młodocianego mizogina, w czym wspomaga się wulgaryzmami, a z drugiej asekuruje się stwierdzeniem: „[...] mój fiut ma czternaście i pół centymetra”. Ten ograny chwyt

pozwala Macie płynnie przechodzić od twardziela do marzyciela z trądzikiem na twarzy. Pomiedzy mamy szkołę i narkotyki, gry komputerowe i Hannah Montanę, bryki i smakołyki, seks i wypadki do Francji... Jest jeszcze tęsknota za niewinnością dzieciństwa, co jest nietypowe dla zbuntowanych raperów.

Jeśli chodzi o sprawy czysto muzyczne, to jest słabo, by nie powiedzieć – trywialnie.

„M-A-T to skrót od matola” – dowiadujemy się na początku płyty, a na jej końcu okazuje się, że M-A to jak mama i T-A to jak tata. Do tego zdeprawowany nieudacznik jednak zdał maturę. Czyli wiele hałasu o nic. Sequel będzie zapewne o ciemnych stronach studiowania i o problemach ze sławą. Tylko kogo, za rok, to zaszokuje? © ©



★★★★★
PET SHOP BOYS
„HOT SPOT”
X2

Brytyjski duet, supergwiazda sprzed 20 lat, nagrał 14. album w słynnym berlińskim studiu Hansa. Ostre inwokacje, elektro-popowe rytmy, przenikające się melodie i świetna produkcja sprawią, że starzy fani będą zadowoleni. Młodzi mogą być jednak niewzruszeni.



★★★★★
EMINEM
„MUSIC TO BE
MURDERED BY”
INTERSCOPE

Lepszy album od żalostnego „Kamikaze”. W „Darkness” Eminem, wcielając się w snajpera mordercę, pokazuje nawet pazur, ale w większości kawałków użala się nad sobą. Dzięki pomocy m.in. Dr. Dre płyta brzmi zacie, ale po dniach chwały mało pozostało. © ©



★★★★★
MATA
„100 DNI
DO MATURY”
SBM

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Przeżyłam piekło
– szokujący wywiad
z więźniarką
Auschwitz

Piotr Cywiński – **Fabryka śmierci**
Piotr Zychowicz – **Eksperymenty doktora Mengele**
Mikołaj Iwanow – **Sowieckie psy kamikadze**
Grzegorz Janiszewski – **Wywiad II RP kontra Abwehra**
Jochen Böhrer – **Zabójcza machina Waffen-SS**
Sławomir Koper – **Swawole Cata-Mackiewicz**
Leszek Lubicki – **Krwawe porachunki Kazimierza Wielkiego**
Tomasz Stańczyk – **Spór o mordy rytualne dzieci**
Sławomir Cenckiewicz – **Polska wiktoria 1920**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Z prof. Johnem Mearsheimerem,
amerykańskim politologiem, znawcą geopolityki
rozmawia Piotr Zychowicz

Polska z bronią nuklearną



PIOTR ZYCHOWICZ: W książce „Tragizm wielkich mocarstw” napisał pan, że konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Chinami może zamienić się w otwartą wojnę...

PROF. JOHN MEARSHEIMER: To bardzo prawdopodobne.

... i że Stany Zjednoczone będą próbowały wciągnąć do koalicji antychińskiej Rosję. To również prawdopodobne.

Co to oznacza dla Polski?

To świetna wiadomość dla Polski. Bo jeżeli Rosja znajdzie się w koalicji przeciwko Chinom, to skupi się na dalekiej Azji. A nie na Europie Wschodniej.

Niekoniecznie. Może również powtórzyć się sytuacja z roku 1945. Ameryka w zamian za przystąpienie Związku Sowieckiego do wojny przeciwko Japonii zapłaciła Stalinowi Europą Wschodnią. Może teraz

Ameryka w zamian za przystąpienie Rosji do wojny z Chinami zaoferuje Putinowi to samo.

To się nie stanie. Rosjanie wcale nie chcą bowiem zdominować Polski i państw bałtyckich. Musieliby oszaleć, żeby zrobić coś podobnego! Oni już u was byli, już raz to zrobili. I przyniosło to opłakane skutki. Imperium sowieckie załamało się i przestało istnieć. Rosjanie doskonale rozumieją, że wzięcie pod okupację Polski, Litwy, Łotwy i Estonii to pewny przepis na kolosalne kłopoty.

Ale Ukrainę Rosjanie zaatakowali.

Bo zostali do tego sprowokowani przez Zachód. To Zachód ponosi odpowiedzialność za obecny kryzys ukraiński. Wiem, że to pogląd niepopularny w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Polacy i Amerykanie obwiniają o to, co się stało na Ukrainie, wyłącznie Moskwę. Ale to

fundamentalny błąd. To nie Rosjanie są winni. To Zachód, a szczególnie Stany Zjednoczone są winne.

Dlaczego?

Już od połowy lat 90. Rosjanie wielokrotnie mówili, że dla nich rozszerzenie paktu północnoatlantyckiego na wschód jest nie do zaakceptowania. Mimo to Amerykanie uparcie forsowali tę strategię. Kolejne państwa, które niegdyś znajdowały się w sowieckiej strefie wpływów, były zapraszane do przystąpienia do NATO. Amerykanie wywoływali również antyrosyjskie „kolorowe rewolucje” w krajach postsowieckich. W Gruzji – rewolucję róż. A na Ukrainie – rewolucję pomarańczową. Chodziło o stworzenie przyczółków NATO tuż przy granicach Federacji Rosyjskiej – w kluczowych, strategicznych punktach. Amerykanie

ATAK NA POLSKĘ OZNACZAŁBY DLA ROSJI KOŁOSALNE PROBLEMY



rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, stał się nagle portem wojennym NATO.

Z perspektywy Rosjan to byłaby katastrofa.

Oczywiście. Dlatego zupełnie nie winię Rosjan za działania, które podjęli na Ukrainie. Są one zgodne z ich interesem narodowym. To, co robią Rosjanie, ma sens strategiczny. Amerykanie, zachodni Europejczycy i Polacy wykazali się wręcz niebywałą naiwnością, gdy liczyli na to, że Ukraina i Gruzja znajdują się w NATO. Efektem tych iluzji jest poważny kryzys w Europie Wschodniej, który nie leży ani w interesie Ameryki, ani w interesie Europy Zachodniej, ani w interesie Polski.

Zaraz, ale co z Ukraińcami i Gruzinami? Co z ich opinią? Mieszkańcy tych państw chcą być w NATO, a nie pod rosyjskim butem. Nie mają prawa o tym sami decydować?

Gruzini i Ukraińcy muszą zrozumieć, że żyją tuż obok mocarstwa. A jeżeli żyjesz tuż obok mocarstwa, to w twoim interesie nie leży jego antagonizowanie. Bo mocarstwo – jeżeli je sprowokujesz – może zachować się wobec ciebie bezwzględnie. Czy nam się to podoba, czy nie: tak działa świat. Tak działają mocarstwa. Gdy ich interesy są zagrożone, przystępują do akcji i robią to brutalnie. To dotyczy wszystkich mocarstw.

Stanów Zjednoczonych też?

Oczywiście. Stany Zjednoczone nie są żadnym wyjątkiem. Gdyby Meksyk i Kanada chciały przystąpić do antyamerykańskiego sojuszu wojskowego i zaprosiłyby do siebie chińskie oddziały, reakcja Ameryki byłaby dokładnie taka sama jak reakcja Rosji na Ukrainie i Gruzji. Identyczna. Opinia publiczna Stanów Zjednoczonych odebrałaby to jako ruch całkowicie zrozumiały. Jako obronę konieczną. Dlaczego wobec Rosji stosuje się inne kryteria? Wystarczy przypomnieć kryzys kubański z 1962 r. Wówczas Ameryka nie dopuszczała możliwości, żeby sowieckie rakiety nuklearne znalazły się na Kubie. Nie dopuszczała również możliwości, żeby Sowietci zbudowali na Kubie bazę morską. Z tego powodu świat stanął wówczas na krawędzi wojny. Nie ma się więc co dziwić, że Rosja nie życzy sobie NATO na swoim progu.

Czy Polska też znajduje się na progu Rosji?

Nie. Już nie. Pierwsza dobra wiadomość dla Polski jest taka, że obecnie

w Europie Wschodniej znajduje się wiele krajów, które oddzielają was od Rosji, i to o nie toczy się obecnie gra.

Druga dobra wiadomość dla Polski jest taka, że Rosja nie jest już tak potężna jak Związek Sowiecki. Mało tego, cały czas słabnie i będzie słabnąć. To proces nieodwracalny wypływający z przyczyn demograficznych i gospodarczych. I wreszcie trzecia – najważniejsza – dobra wiadomość dla Polski: w Europie stacjonują amerykańskie wojska. Polska jest częścią NATO.

Sam pan jednak powtarza, że jeżeli wybuchnie wojna Stanów Zjednoczonych z Chinami, to Amerykanie będą musieli się wycofać z Europy i skupić na Dalekim Wschodzie. A gdy zniknie amerykański żandarm – w Europie znowu zacznie się rywalizacja mocarstw. Tak jak przed pierwszą i drugą wojną światową. Rosja może to wykorzystać, żeby poszerzyć swoją strefę wpływów na Zachód. Włączyć do niej państwa bałtyckie i Polskę.

Powtarzam – to bardzo mało prawdopodobne. Rosja nie jest na tyle silna wojskowo, by podbić te państwa. A nawet gdyby to zrobiła, dopiero wówczas rozpocząłby się dla niej prawdziwy koszmar. Rosjanie doskonale pamiętają, co się stało, gdy najechali Afganistan. Wiedzą, w jakie kłopoty wpakowali się Amerykanie po zajęciu Afganistanu i Iraku. Nacjonalizmy w dzisiejszych czasach są tak potwornie silne, że okupacja obcego państwa jest niezwykle trudna dla siły okupującej. Są ludzie, którzy uważają, że zajęcie Krymu i obecne działania Rosji w Donbasie to tylko początek. Pierwsza faza, po której ma przyjść okupacja całej Ukrainy. Zupełnie nie zgadzam się z tym poglądem! Rosjanie musieliby być idiotami, żeby zająć całą Ukrainę. Połknęliby rybę tak dużą, że rozsadziłaby im brzuch. Z tego samego powodu Rosja nie zagraża Polsce. Atak na Polskę oznaczałby dla niej kolosalne problemy polityczne...

... i finansowe.

Właśnie. Rozmawiałem wiele razy z przedstawicielami rosyjskiej elity. Oni są zgodni, że nowy wyścig zbrojeń z Zachodem na dłuższą metę zrujnuje gospodarkę Rosji. Tak jak zrujnował gospodarkę Związku Sowieckiego. Oni boją się, że Rosja wkracza właśnie na drogę do katastrofy. Na drogę do powtórki roku 1991. Według nich Rosja zamiast na zbrojenia powinna wydawać pieniądze na inwestycje, aby

liczyli na to, że Rosja jest słaba i uda im się to przeforsować. Kluczowy był szczyt NATO, który w 2008 r. odbył się w Bukareszcie. Zapowiedziano na nim, że Ukraina i Gruzja zostaną przyjęte do NATO. Rosjanie od razu, jasno i głośno, odpowiedzieli: to się nie stanie.

I zamienili słowa w czyn.

Właśnie. Nie przez przypadek to właśnie w 2008 r. doszło do wojny w Gruzji. A w 2014 r., po prozachodniej rewolucji na Ukrainie, Rosjanie anektowali Krym. Z perspektywy Rosji to są działania w pełni zrozumiałe i racjonalne. Żadne mocarstwo nie może sobie pozwolić na to, żeby sojusz militarny – który został stworzony jako jego śmiertelny wróg – znalazł się tuż przy jego granicach. Moskwa nie mogła dopuścić do tego, żeby Sewastopol, macierzysty port

■ zreformować swoją archaiczną, opartą na sprzedaży surowców, gospodarkę.

Ale jedno jest pewne – USA nie będą mogły jednocześnie walczyć z Chinami i utrzymać wojsk w Europie.

Wszystko zależy od tego, jak silne będą Chiny. Jeżeli utrzymają swój dotychczasowy fantastyczny wzrost gospodarczy – co wcale nie jest takie pewne – to będą stanowiły dla Stanów Zjednoczonych olbrzymie wyzwanie. I Stany Zjednoczone rzeczywiście będą musiały wycofać się z Europy.

I to jest zła wiadomość dla Polski.

Tak. Dla Polski byłoby lepiej, żeby Amerykanie w Europie pozostali.

Ale czy rzeczywiście możemy liczyć na US Army? Może Amerykanie wcale nie będą chcieli umierać za Białystok? Tak jak Francuzi i Brytyjczycy w 1939 r. nie chcieli umierać za Gdańsk.

Tak jak powiedziałem – nie sądzę, żeby Amerykanie musieli bronić Polski przed Rosją. Polacy przeceniają siłę Rosji i zagrożenie płynące ze Wschodu. Ale gdyby takie zagrożenie jednak się pojawiło – myślę, że Ameryka będzie was bronić.

Mam co do tego poważne wątpliwości. Jaki miałaby w tym interes? My, Polacy, mamy bardzo złe doświadczenia z wiernością sojuszniczą Anglosasów.

Obecna sytuacja jest zupełnie inna niż ta, która istniała w trakcie podpisywania porozumień jałtańskich. Istnieje NATO, którego Polska jest pełnoprawnym członkiem. Obowiązkiem paktu północnoatlantyckiego jest bronić Polski.

No cóż, papierowe sojusze. W 1939 r. Polacy również mieli mocne sojusze. A konaliśmy w osamotnieniu.

Przypominam, że po ataku Niemiec na Polskę – 3 września 1939 r. – Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę III Rzeszy. A więc dotrzymały słowa. Wypełniły swoje zobowiązania sojusznicze. Nie przyszły wam z realną pomocą wojskową, bo nie miały takich technicznych możliwości. A Stany Zjednoczone takie możliwości obecnie mają. Zresztą sytuacja Polski jest przecież obecnie znacznie bardziej korzystna, niż była w 1939 r.



JOHN J. MEARSHEIMER
TRAGIZM
POLITYKI
MOCARSTW
UNIVERSITAS,
2020

Dlaczego?

Bo nie leżycie już pomiędzy potężną III Rzeszą a potężnym Związkiem Sowieckim. Nie ma ani Wehrmachtu, ani Armii Czerwonej, która stoi na waszej granicy. Zamiast tego macie z jednej strony bezzębne, słabe militarnie Niemcy. Niemcy, które już nigdy nie będą potężne, nigdy nie odbudują swojej imperialnej potęgi. Populacja Niemiec się kurczy w szybkim tempie. Z drugiej strony macie słabnącą Rosję oddzieloną od was Ukrainą i Białorusią. Życie w zupełnie innym świecie niż wasi przodkowie.

Polscy realisci – do których się zaliczam – uważają jednak, że prawa geopolityki są niezmiennie. Historia uczy nas, że Polska nie może liczyć na odległych sojuszników. Takich jak Wielka Brytania czy USA. Polska musi wybierać między Niemcami a Rosją.

OK, wyobraźmy sobie taką hipotetyczną sytuację. Ameryka porzuca Europę i porzuca Polskę. I nagle Polska znajduje się w poważnym zagrożeniu.

Sytuacja taka wydaje mi się dość prawdopodobna.

No cóż, obawiam się, że wówczas będziecie mieli tylko jedno wyjście.

Jakie?

Polska będzie musiała pozyskać broń nuklearną.

Gdy to mówię w Polsce – wszyscy się śmieją.

Śmieją się teraz, bo żyją pod bezpiecznym parasolem rozpiętym nad Polską przez Stany Zjednoczone. Jeżeli ten parasol zniknie – to przestaną się śmiać. Jeżeli Ameryka opuści Europę, a Polska poczuje się zagrożona – to pański rząd natychmiast rozpocznie prace nad pozyskaniem broni jądrowej. Nie będzie miał innego wyjścia. Stany Zjednoczone mają broń nuklearną i nie widać, żeby zamierzały się jej pozbyć. To samo dotyczy Brytyjczyków czy Francuzów. Dlaczego? Bo wszyscy doskonale wiedzą, że broń nuklearna to znakomita broń odstraszająca. Krajów posiadających taką broń się nie atakuje.

A czy Polska może wykorzystać słabnięcie Niemiec i Rosji do rozegrania wielkiej gry: powrotu do pozycji hegemonu Europy Wschodniej, którą zajmowała w XVI w.?

Nie. To jest niemożliwe. Bo wy również się kurczycie. Polki, tak samo jak Niemki, nie chcą rodzić więcej dzieci.

W dawnych wiekach odpowiedzią na skromny demograficzny potencjał Polski była unia z Wielkim Księstwem Litewskim. Może Polska powinna wrócić do tej polityki i stworzyć jeden organizm polityczny z Ukrainą, Białorusią i innymi państwami położonymi między Niemcami a Rosją?

Nie, to jest niemożliwe. Nacjonalizmy w tej części Europy są zbyt silne. To nie są czasy unii dynastycznych, to są czasy nowoczesnych narodów. Polacy pozostaną Polakami, a Ukraińcy pozostaną Ukraińcami. Litwini będą Litwinami, a Białorusini – Białorusinami. Nacjonalizm jest najpotężniejszą polityczną ideologią na planecie Ziemia. A nacjonaści wszystkich krajów chcą mieć własne państwa. Taka jest ich natura.

A Szwajcaria i Wielka Brytania?

Te kraje istnieją od dłuższego czasu. Zamieszkujące je narody mają długą tradycję współżycia w jednym organizmie państwowym. A mimo to Wielka Brytania przeżywa ostatnio wielkie napięcia i nie wiadomo, czy ostatecznie się nie rozpadnie. Wielka Brytania trzeszczy w szwach. W Europie można więc próbować utrzymać istniejące federacje, ale znacznie trudniej byłoby stworzyć nową. Gdyby Anglicy i Szkoci mieli dziś dwa odrębne państwa – nigdy nie zgodziliby się na połączenie i stworzenie jednego.

Czyli Polska nigdy już nie będzie odgrywała takiej roli w Europie Wschodniej jak przed wiekami?

Oczywiście możecie powołać w tej części kontynentu jakąś luźną unię państw. Ale nie będzie ona zbyt ścisła, a co za tym idzie – nie będzie silna. Niestety, wielonarodowej, potężnej Rzeczypospolitej nie da się już odtworzyć. Ten rozdział historii został dla was zamknięty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. John Mearsheimer jest amerykańskim politologiem, jednym z najwybitniejszych światowych znawców geopolityki. Twórca koncepcji realizmu ofensywnego, zwolennik Realpolitik. Napisał m.in. słynną książkę pt. „Izraelskie lobby i amerykańska polityka zagraniczna” (wspólnie ze Stephenem Waltem) oraz „The Great Delusion: Liberal Dreams and International Realities”. W Polsce nakładem wydawnictwa Universitas właśnie ukazało się jego opus magnum „Tragizm polityki i mocarstw”. Profesor Mearsheimer wyklada na Uniwersytecie w Chicago.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Życie według Rusłany

Swego czasu zatrudniałmy Ukrainkę, która – cóż za zaskoczenie – u nas sprzątała. Odwiedzała nas parę ładnych lat, a że była przemiła i niegłupia, więc trochę się zakumplowaliśmy.

Rusłana – bo tak miała na imię – była trochę jak dobry wojak Szwejk. Na każdą okazję miała historyjkę. Ale wszystkie te historyjki były na jedno kopyto. To znaczy były straszne, opowiadały o jakichś potwornych nieszczęściach, które dotyczą ludzi. Wystarczyło wspomnieć o lekkim drapaniu w gardle, a już odpalała wrotki i opowiadała o stryjence, której zapalenie gardła przerodziło się w strasliwą, nieuleczalną chorobę prowadzącą do śmierci w męczarniach. Zawsze miała w zanadrzu historie o alkoholikach katujących żony, dzieciach, które giną bez śladu, oszustach ograbiających całe rodziny, dzikich psach rozszarpujących niemowlęta, młockarniach ucinających ręce oraz inne członki. Trudno było się odezwać, żeby nie przypomnieć jej jakiejś makabry, której doświadczyli jej bliscy bądź znajomi. Nawet jej malutki piesek, taki hałaśliwy ratlerek, zginął w przerażający sposób, mianowicie został porwany przez drapieżnego ptaka podczas spaceru.

Do tych horrorów mieliśmy stosunek nieco pobłażliwy, a z opowieści o miniaturowym piesku porwanym przez jastrzębia to, wstyd się przyznać, nawet się podśmiewaliśmy. Bardzo nas dziwiło, że Rusłana – choć tylko troszkę starsza od nas – napatrzyła się na tak

wiele drastycznych sytuacji. Kolekcjonowała te historie ze specyficzną przyjemnością, ale kiedy pyaliśmy, czy aby na pewno są prawdziwe, przysięgała, że tak. Uznaliśmy, że cóż, na Ukrainie nieszczęścia widać przydarzają się częściej niż gdzie indziej.

Dzisiaj wyciągam nieco inny wniosek. Owszem, geografia miała tu pewne znaczenie, zwłaszcza gdy chodzi o tych mężów katujących żony. Ale nie bez znaczenia był jednak jej wiek. Może do pewnego momentu mniej zwraca się uwagę na ciemne strony życia i człowiek koncentruje się na jasnych. A może z każdym upływającym rokiem prawdopodobieństwo, że coś strasznego dzieje się naszym znajomym, sąsiadom i rodzinie, najzwyczajniej w świecie wzrasta. Na zasadzie, że im głębiej w las, tym więcej drzew.

W każdym razie albo za sprawą emigrantów zrobiło się u nas bardziej ukraińsko, albo ja dotarłem do tego właśnie wieku, bo nagle wokół mnie zaroilo się od ludzkich nieszczęść. Ci sami ludzie, którzy do niedawna na pytanie, jak leci, odpowiadali, że super, teraz opowiadają mi własne historie, jakby żywcem wyjęte ze zbioru Rusłany. Autyzm, asperger, alzheimer, depresja, tragedie, choroby, bezwzględne rozwody, oszustwa dokonane przez najbliższych, dzieci trafiające do aresztu, żony opuszczające mężów z kucharzami, mężowie zamieszkujący z kochankami piętro nad porzuconymi żonami...

Więc to tak wygląda wiek średni. Niezbyt krzepiące. © ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

W cieniu pandemii

Otym, że najwspanialsze wytwory ludzkiej cywilizacji mogą obrócić się przeciwko niej, na własne oczy przekonali się mieszkańcy Nowego Jorku, kiedy cuda techniki i elektroniki wykorzystano jako pociski do zniszczenia dwóch wież Centrum Handlu Światowego. Wydawać by się mogło, że również w odróżnieniu od naszych przodków jesteśmy bezpieczniejsi.

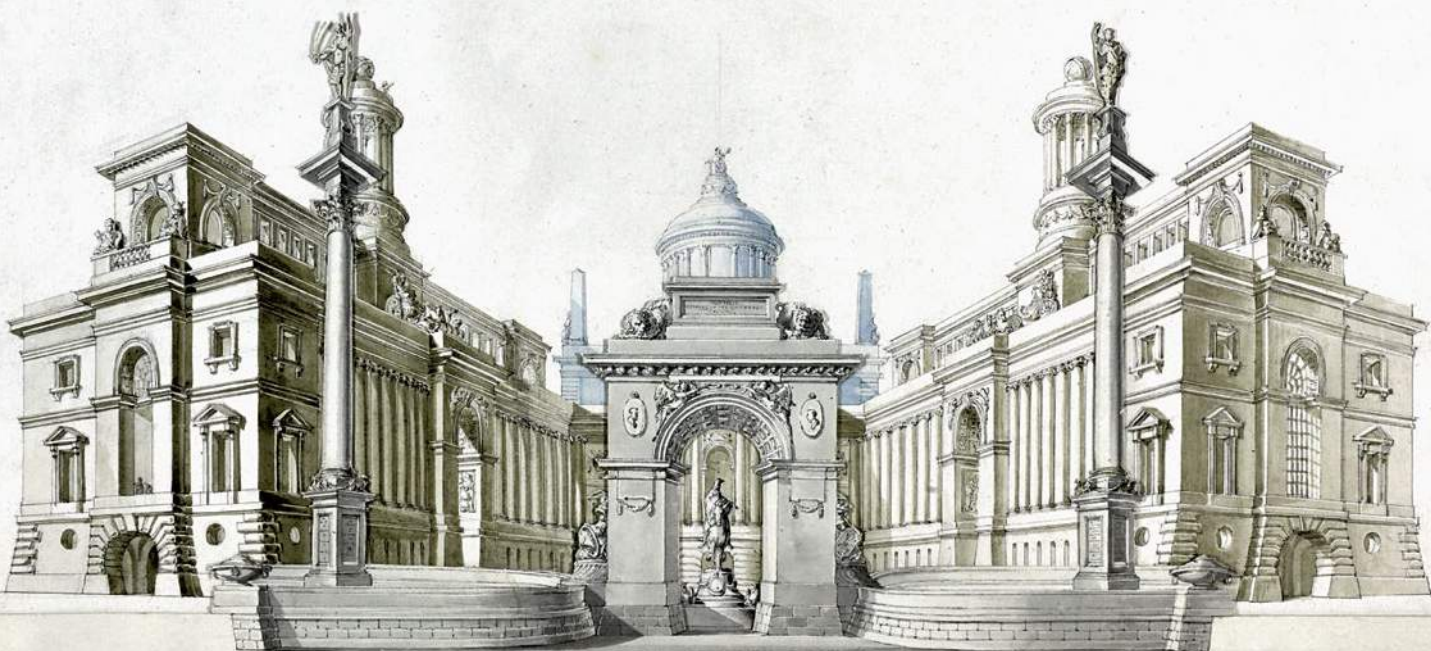
Spośród rumaków apokalipsy głód wyeliminowano, postęp medycyny był coraz bliższy pokonania śmierci, a wojny toczyły się jedynie na dalekich peryferiach. Co do wielkich epidemii przeważnie duszono je w zarodku – ostatnia wielka zaraza, której ofiary szły w miliony – hiszpanka – wybuchła wiek temu. Ostatni nawrót czarnej śmierci spustoszył Londyn w drugiej połowie XVII w., przy czym zniknięcia dżumy, nękającej cyklicznie świat od czasów antyku, bynajmniej nie zawdzięczamy ludzkim wynalazkom (sprawę załatwił szczur wędrowny, który po przybyciu do Europy wykończył szczura śniadego, w którego futrze egzystowały pchły – nosicielki pałeczek dżumy). Skądinąd w Londynie czasów Samuela Pepysa umierano równie szybko jak we Florencji Boccaccia czy w Bizancjum Justyniana. Na korzyść ludzi działały co najwyżej ograniczenia komunikacyjne. Pochód

czarnej śmierci przez Europę od czasu, gdy Mongołowie podczas oblężenia Kaffy na Krymie w 1346 r. użyli zarażonych trupów jako broni biologicznej, zajął zarazie dwa lata.

Dzisiaj wirus z Wuhan może dotrzeć do dowolnego zakątka świata w dwa dni. I żadne kwarantanny nie są w stanie temu zapobiec. Tym bardziej że kolejne mutacje odzwierzęcych wirusów są bardziej zjadliwie, bardziej śmiertelne i szybciej się przenoszą. Czy sama matka natura uznała że jest nas za dużo i wzięła się za regulację demografii na naszej planecie, czy ktoś dłużył w DNA wirusa w wojskowym laboratorium i ten mu się wymknął?

Mam nadzieję, że tym razem nie dojdzie do pandemii, przyjdzie wiosna i zaraza sama się cofnie. Jednak następnym razem... Czy jesteśmy w stanie w zglobalizowanym świecie z dnia na dzień uziemić samoloty, zakazać podróżowania? Obawiam się, że nie. I to nawet nie ze względu na koncerny, które muszą zarabiać. Bez transportu żywności, dostaw paliw i energii, których coraz mniej produkuje się lokalnie, całe połacie świata wymrą z głodu i chłodu. A i wojna też się pojawi jako konieczność.

I jak nie wierzyć przekleństwu Chińczyków: „Obyś żył w ciekawych czasach!”. Tu dodajmy z naszej perspektywy: „Możliwie daleko od Wuhan!”. © ©



Efraim Szreger, projekt przebudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, 1777 r., widok od strony Krakowskiego Przedmieścia. Rysunek tuszem i akwarelą, Gabinet Rycin BUW FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jedną z ważniejszych deklaracji o wymiarze narodowym z końca ubiegłego roku jest zapowiedź wzniesienia w Warszawie łuku triumfalnego. Ma upamiętnić wielki triumf polskiego oręża w bitwie z sowieckim najeźdźcą w 1920 r. i być zapewne także hołdem składanym marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Czy stanie na placu Na Rozdrożu? Jeśli tak, to będzie to powrót do pomysłu z drugiej połowy lat 30., który nie doczekał się realizacji z powodu tragedii drugiej wojny światowej. Niemal nazajutrz po śmierci Marszałka postanowiono upamiętnić jego postać w przestrzeni miejskiej Warszawy. Już 15 maja 1935 r. utworzono Stołeczny Komitet Budowy Pomnika Marszałka; na jego pierwszym posiedzeniu Bolesław Wieniawa-Długoszowski powiedział: „Potrzebę tę [uczczenia Marszałka] odczuwa cały kraj”. 1 lutego następnego roku rozpisano konkurs, w którego warunkach podkreślono, iż monument „ma być [...] godnym zwycięskiego Wodza, Twórcy Niepodległej i mocarstwowej Polski”. Konkurs zakończony w sierpniu 1937 r., do którego zaproszono tylko polskich artystów, nie przyniósł rozstrzygnięcia. Rozpisano zatem kolejny, a wśród artystów

Czas na łuk triumfalny



Jerzy Miziołek

Było wiele projektów łuków triumfalnych, które miały stanąć w Warszawie. Warto sięgnąć po jeden z nich, autorstwa Stanisława Noakowskiego, lub rozpisać konkurs na łuk nad Alejami Jerozolimskimi

dodatkowo zaproszonych znalazł się wybitny Chorwat, uczeń Rodina – Ivan Meštrović. Po wizji lokalnej – w maju 1939 r. – artysta napisał: „Zdałem sobie sprawę na miejscu, że tylko coś wielkiego i monumentalnego powinno tu

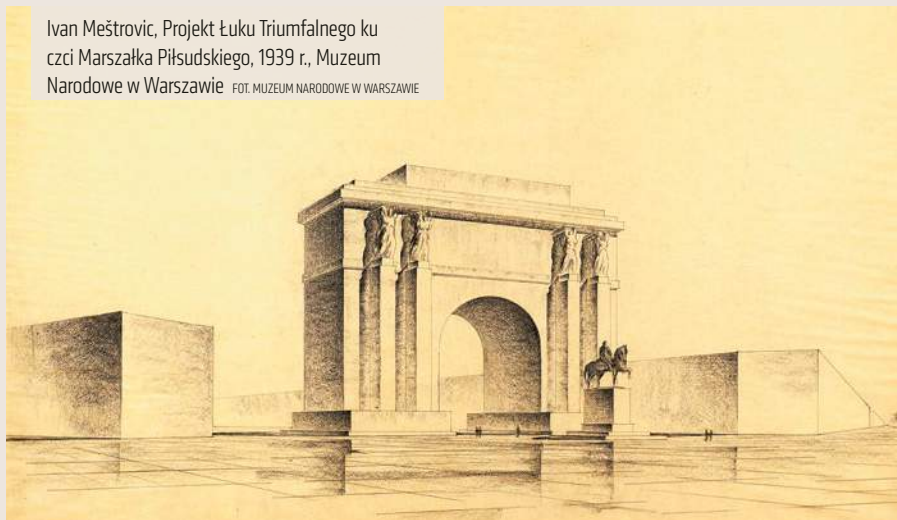
stać”. Niebawem, bo już 20 czerwca, przesłał projekt i fotografie makiet: na tle ogromnego łuku triumfalnego – miał być wysoki na 50 m – widnieje konny posąg Marszałka, odlany w brązie mierzący 25 metrów.

Nie jest dotąd wiadomo, czy mega-projekt Meštrovića – przypomniany ostatnio na wystawie w Królikarni – posłuży za inspirację dla pomnika, który ma uczcić 100-lecie Bitwy Warszawskiej. Zarówno artystyczna wizja chorwackiego artysty, jak i ogłoszony przez premiera Mateusza Morawieckiego pomysł stanowią zachętę do przypomnienia kilku faktów z dziejów łuków triumfalnych w Warszawie, bo niejednokrotnie planowano ich wznoszenie, a nawet je budowano, tyle że z nietrwałych materiałów i jedyną po nich pamiątką są ukazujące je ryciny i rysunki.

WARSZAWA JAKO NOWY RZYM

Łuki triumfalne kojarzą się przede wszystkim ze starożytnym Rzymem, w którym upamiętniały wielkie zwycięstwa takich cesarzy, jak August, Tytus, Trajan, Septymiusz Sewer i Konstantyn Wielki. Trzy z nich zachowały się do naszych czasów i służyły za wzory dla podobnych łuków, które w czasach nowożytnych i bardziej nam współczesnych wzniesiono m.in. w Paryżu, Londynie, Monachium i w wielu innych miastach. Warszawa, tak jak inne stolice europejskie, pretendowała do miana „nowego” Rzymu. Wyrażało się to przede wszystkim w tworzeniu projektów wpisanych w przestrzeń miejską. W jednym z listów z lat 70. XVIII w. wysłanych do marszałka Sejmu Stanisława Małachowskiego Hugo Kołłątaj pisał: „Rzeczpospolita musi mieć [...] swój Rzym, swoje pryncypalne miasto [...]. Wszystko to mówi za Warszawą, aby ją Rzeczpospolita Polska swoim obrała Rzymem, aby ją uczyniła siedziskiem wolnego, a powszechnego rządu”. Wszakże ambitny pomysł, aby z Warszawy uczynić „polski Rzym”, narodził się na długo przed napisaniem cytowanego listu, choć wydaje się, że przed Kołłątajem nikt nie sformułował tej idei expressis verbis. W połowie XVII w. powstał projekt – prezentowany obecnie na Zamku Królewskim w Warszawie, na wystawie poświęconej Wazom – który znakomicie zapowiadał oświeceniowe marzenie o wielkiej Warszawie. Król Zygmunt III miał prawdziwie mocarstwowe plany, a rządzone przez niego państwo miało bez mała milion kilometrów kwadratowych powierzchni. Utworzono wówczas w mieście stołecznym odpowiednią przestrzeń ceremonialną, a za króla Władysława IV zaczęto kreować forum – niejako na wzór Forum Romanum – z pomnikami chwały oręża. Rolę drogi triumfalnej odgrywało

Ivan Meštrović, Projekt Łuku Triumfalnego ku czci Marszałka Piłsudskiego, 1939 r., Muzeum Narodowe w Warszawie FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Łuk triumfalny na placu Trzech Krzyży w Warszawie, wystawiony w 1815 r., rycina FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Stanisław Noakowski, projekt łuku triumfalnego w Warszawie, rysunek, Muzeum Narodowe w Warszawie FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Łuk triumfalny na placu Trzech Krzyży w Warszawie, według projektu Jakuba Kubickiego, wystawiony w 1809 r., rycina
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

■ Krakowskie Przedmieście, forum zaś, z kolumną Zygmunta III pośrodku, znalazło swoje miejsce na dzisiejszym placu Zamkowym.

Kolumna Zygmunta III, niekwestionowany symbol Warszawy – ufundowana przez Władysława IV i ustawiona na jesieni 1644 r. – miała być jednym z trzech monumentów triumfalnych dynastii Wazów wzniesionych przed Zamkiem Królewskim. Kolejnymi pomnikami, podobnie jak kolumna nawiązującymi wprost do słynnych dzieł starożytnego Rzymu, miały być: wysmukły obelisk poświęcony Władysławowi IV i łuk triumfalny ku czci jego brata i następcy – króla Jana Kazimierza. Ten niezwykle na polskim gruncie zamysł nie został niestety w pełni zrealizowany, ale o tym, jak miało wyglądać warszawskie forum, daje dobre wyobrażenie rysunek włoskiego architekta i scenografa na służbie wszystkich trzech królów z dynastii Wazów. Zdobi on frontyspis dzieła zatytułowanego „Rozmaite rysunki architektoniczne wymyślone i wykonane przez Giovanniego Battistę Gisleniego – rzymianina, architekta Ich Mości królów i książąt Polski oraz Szwecji”, przechowywanego w John Soane’s Museum w Londynie. Kolumna, obelisk i łuk triumfalny miały upamiętniać m.in. wielkie zwycięstwa w wojnie z Turcją i Rosją – w tym odzyskanie Smoleńska, wkroczenie wojsk polskich do Moskwy i sprowadzenie do Warszawy carów Szujskich. Jednoprzelotowy łuk, z ustawionym na nim pomnikiem konnym Jana Kazimierza, miał zapewne upamiętniać zwycięstwo tego króla w bitwie pod Beresteczkiem w 1651 r.

Warto tu dodać, że triumfalny charakter miały też uroczystości zaślubinowe Władysława IV z arcyksiężniczką Cecylią Renatą. We wrześniu 1637 r. z prawdziwą pompą przewieziono przyszłą królową Krakowskim Przedmieściem do katedry św. Jana. Towarzystwo jej 20 kompanii piechoty i kilkuset jeźdźców. Na placu Bernardyńskim, dzisiejszym placu Zamkowym, ustawiono dwa wykonane z drewna polichromowane łuki triumfalne, przy których kapela królewska odgrywała powitalne hymny. Okazjonalne łuki triumfalne wzniesiono niemal w tym samym miejscu z okazji uroczystych wjazdów do Warszawy Jana III Sobieskiego w 1677 roku i Augusta III w 1734 roku. Obydwa były ogromne, trójpzelotowe, jak Łuk Konstantyna Wielkiego w Rzymie.

O głębokiej wiedzy na temat triumfów antycznych w Polsce i ich odbywaniu w Rzeczypospolitej już w XVI w. dobre pojęcie daje dzieło pt. „Księgi hetmańskie z dziejów rycerskich wszystkich wieków zebrane” żyjącego w czasach Stefana Batorego Stanisława Sarnickiego. W rozdziale zatytułowanym „O triumfiech i o tych rzeczach, które po zwycięstwie bywają” Sarnicki mówi nie tylko o wieńcach i rozmaitych pojazdach, lecz także o pomnikach upamiętniających triumfy, w tym m.in. o kolumnach, posągach konnych, obeliskach i łukach triumfalnych.

Pomysł zbudowania forum w Warszawie powrócił raz jeszcze w latach 70. XVIII w., w czasach ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Odnajdujemy go w pięknym, przechowywanym dziś w Gabinecie Rycin

Uniwersytetu Warszawskiego, projekcie Efraima Szregera przebudowy Zamku i przyległego do niego placu. Pomiedzy dwoma skrzydłami nowej rezydencji królewskiej widnieje jednoarkadowy łuk triumfalny (a więc podobny do łuku cesarza Tytusa i tego z projektu Meštrovicia), a w jego przelocie widoczny jest posąg konny Stanisława Augusta. Na pierwszym planie wznoszą się ku niebu dwie kolumny triumfalne. Do kolumny Zygmunta III dostawiono tu bliźniaczo podobny monument ku czci największego z polskich zwycięskich królów – Jana III Sobieskiego. Temu znakomitemu strategowi nie wystawiono łuku, który by przetrwał do naszych czasów (ten z 1677 r. znany jest tylko z opisu i ryciny Wojciecha Gersona), ale gdy popatrzymy na fasadę jego pałacu w Wilanowie, szybko dostrzeżemy w niej dwa łuki triumfalne. Na jednym z nich, od strony południowej, król występuje jako triumfator na rydwanie, a na drugim jego żona, Maria Kazimiera, jawi się jako Jutrzenka.

W dzieje warszawskich łuków triumfalnych wpisuje się też zabytek przechowywany obecnie w Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego. Dokument z 18 kwietnia 1785 r., zatytułowany „Explicacja z Meblów w Pałacu Ujazdowskim będących”, nie pozostawia wątpliwości, iż Stanisław August sprowadził do Warszawy nie tylko ryciny i obrazy, ale również modele dzieł antycznych wykonywanych z dębu korkowego. Czytamy w nim o „Modelu Wielkiego kolizeum [Koloseum] Rzymskiego robionego w Rzymie z drzewa korkowego”, o „Modelu małym Bramy Rzymskiej” i wreszcie o „Modelu małym Templum w Tivoli”. Owo templum to słynna Świątynia Sybilli, zaś „Brama Rzymska” to model Łuku Konstantyna; jego losy związane są z Warszawą od bez mała 250 lat.

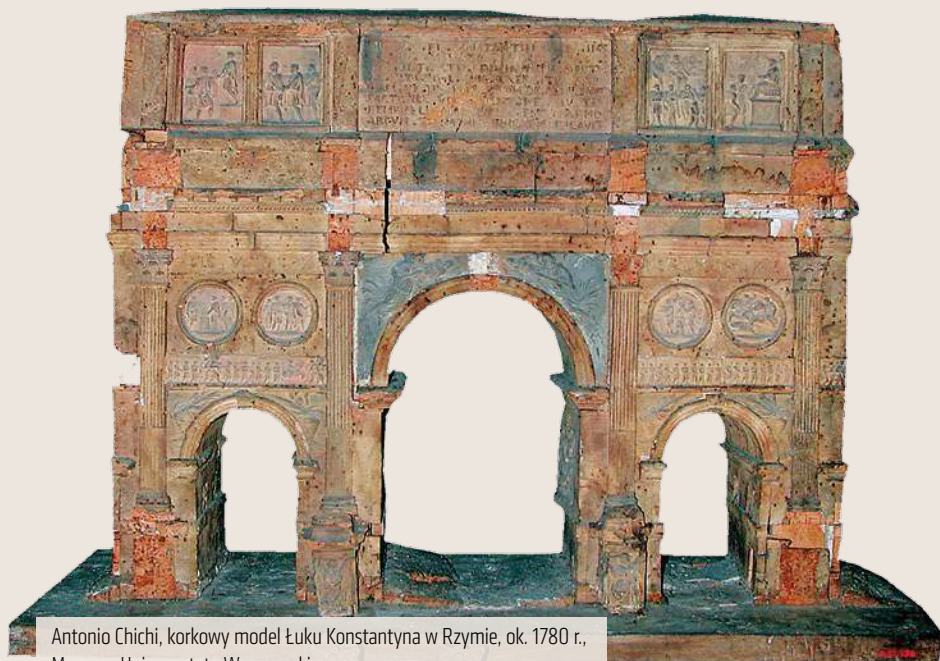
ŁUKI TRIUMFALNE NA PLACU TRZECH KRZYŻY

Czy model Łuku Konstantyna zainspirował któregoś z projektantów łuków triumfalnych w Warszawie w epoce napoleońskiej? Okazuje się, że tak jak w przypadku Meštrovicia preferowano raczej wersję łuku jednoprzelotowego, którego dostarcza łuk cesarza Tytusa. Chodzi o dwa łuki wzniesione nieopodal placu Na Rozdrożu, na placu Trzech Krzyży; jeden wystawiono po zwycięskich kampaniach roku 1809,

a drugi z okazji wjazdu do Warszawy Aleksandra I, cara Rosji i króla polskiego, co miało miejsce 12 listopada 1815 r. Obydwa były okazjonalne i wzniesione z materiałów nietrwałych.

Bitwa pod Raszynem i wyrwanie Krakowa Austriakom, kiedy to zabłysnęły zdolności strategiczne księcia Józefa Poniatowskiego, były bardzo ważnymi wydarzeniami dla Warszawy, wówczas stolicy Księstwa Warszawskiego. Łuk charakteryzuje się dobrymi proporcjami i interesującymi elementami dekoracyjnymi, na które składają się panoplia, profilowe portrety w medalionach, wiktorie ukazane w przyłuczach i biały orzeł w koronie ustawiony na attyce łuku, na tle pięciu chorągwi. Monument zdobiły też inskrypcje; ta na attyce głosiła: „WODZOWI Y WOJSKU ZWYCIĘSKIEMU WDZIĘCZNI OBYWATELE”; ta na gzymsie przywołuje pola bitewne, są to: „RASZYN, GROCHÓW, GÓRA”. W medalionach ukazane są popiersia dwóch hetmanów Stanisława Żółkiewskiego i Jana Karola Chodkiewicza. Klasycznej aury przydają temu pełnemu harmonii monumentowi ukazane po bokach kolumny zwieńczone różgami liktorskimi z toporami, ich fragmenty przetrwały do dziś.

Epoka napoleońska szybko się zakończyła, przepadł też monument upamiętniający jeden z jej epizodów. Wzniesiony sześć lat później łuk na cześć Aleksan-



Antonio Chichi, korkowy model Łuku Konstantyna w Rzymie, ok. 1780 r., Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego

dra I był mniej wyrafinowany w proporcjach, ale za to bardziej zdobny rzeźbami. W przyczółku widnieje rozbudowana scena składania hołdu postaci siedzącej w centrum; jest nią zapewne sam car – ukazany też w kwadrydze ustawionej na attyce – uchodzący za głównego pogromcę Napoleona. Co ciekawe, zachował się do dziś plan ustawienia formacji wojskowych na trasie od placu Trzech Krzyży do placu Saskiego (dziś Józefa Piłsudskiego). Istnieje też rycina przedstawiająca to tłumne wydarzenie; centralnymi postaciami są tu ukazani jako jeźdźcy – na tle łuku – Aleksander I i jego brat Konstanty. Niebawem po uroczystej paradzie drewniany, okazjonalny łuk postanowiono zamienić na łuk trwały, murowany. Sam Tadeusz Kościuszko przekazał na ten cel sporą na tamte czasy sumę tysiąca franków, zapewne z nadzieją na dobre traktowanie swoich dawnych towarzyszy i byłych żołnierzy z armii napoleońskiej. Ostatecznie car, okazując takt, dobrą wolę i dość liberalne nastawienie do polskich poddanych, poprosił, aby zamiast łuku wzniesiono kościół katolicki pod wezwaniem jego patrona, św. Aleksandra. I stało się tak, że zamiast łuku triumfalnego w ważnym punkcie stolicy mamy warszawską wersję Panteonu, bo kościół przy placu Trzech Krzyży jest wzorowany na tej właśnie słynnej rzymskiej świątyni.

PROJEKTY STANISŁAWA NOAKOWSKIEGO

Wspomnijmy na koniec liczne projekty łuków triumfalnych Stanisława Noakowskiego z lat 20. i 30. XX w. Jeden

z nich – upamiętniający wielki triumf polskiego oręza w 1920 r. – miał być wzniesiony w Alejach Ujazdowskich, nieopodal Muzeum Narodowego, jakby z widokiem na obszary, gdzie rozgrywała się ta jedna z najważniejszych bitew w dziejach Europy. Muzeum Narodowe do dziś przechowuje ten fascynujący projekt. Łuk w wizji Noakowskiego miał być ogromny i piękny, tak duży jak ten na placu Gwiazdy w Paryżu. Ozdabia go nie kwadryga, ale ukazane w niszach i na cokółkach posągi polskich królów, hetmanów i zapewne też księcia Józefa i marszałka Piłsudskiego. Istnieją też wersje łuku z warszawską Syreną z tarczą i z wzniesionym mieczem. Jak wiele innych projektów naszego znakomitego architekta i te pozostały tylko marzeniem niczym śniony od wielu pokoleń sen o potęgę.

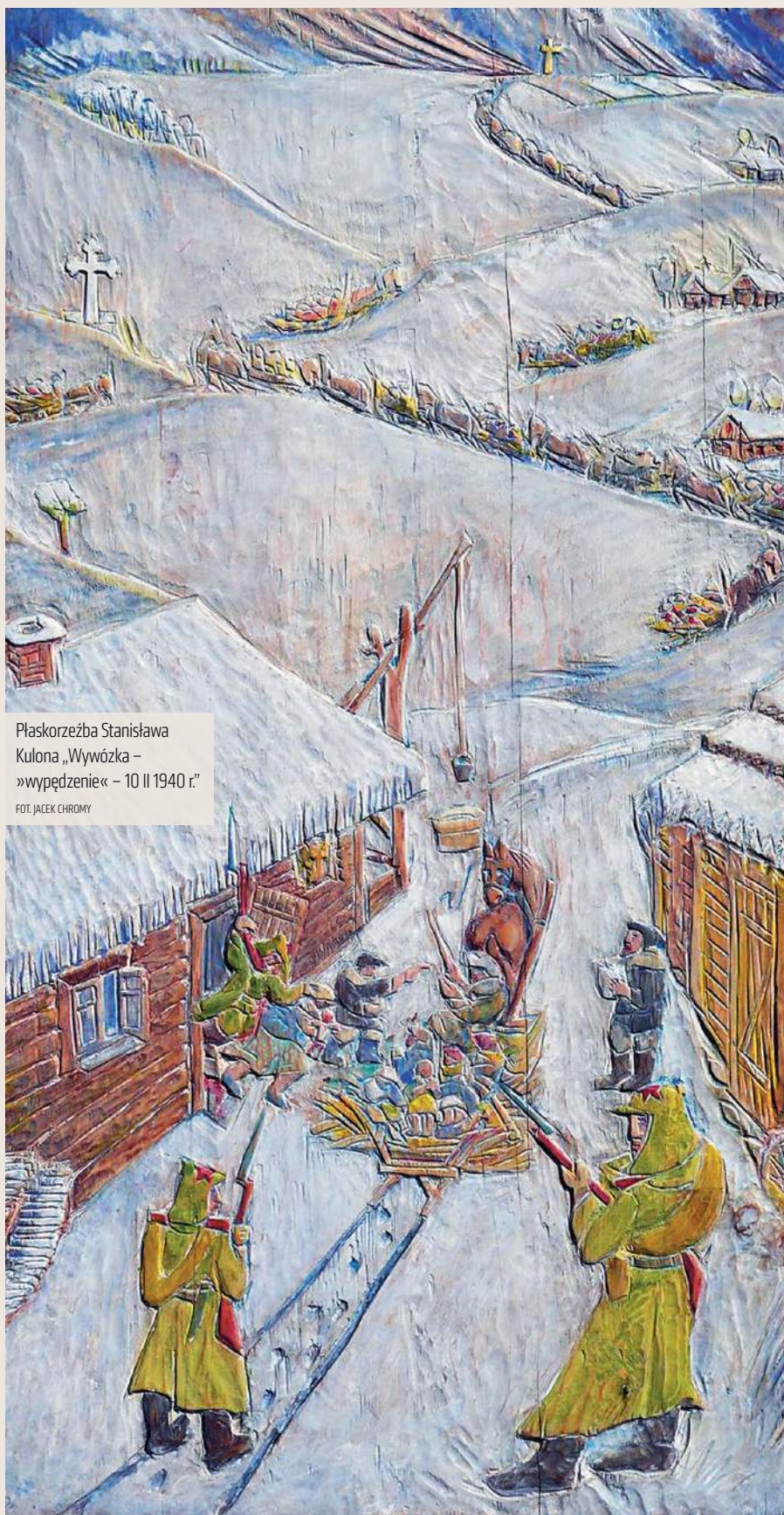
Już kilka razy, poczynawszy od 2003 r., proponowałem w rozmaitych publikacjach, by sięgnąć po jeden z projektów Stanisława Noakowskiego (lub rozpiąć konkurs na nowy projekt) wzniesienia obok MNW, nad Alejami Jerozolimskimi, monumentalnego łuku triumfalnego. Ta głęboko symboliczna struktura architektoniczna – czcząca największy z triumfów polskiego oręza – mogłaby też być pragmatycznie wykorzystana jako triumfalne wjechanie/przejście/wyjście do/z MNW. Usytuowanie łuku obok MNW – na osi wschód-zachód, nieopodal Wisły, wydaje się dużo lepsze niż wzniesienie go na placu Na Rozdrożu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem sztuki, profesorem nauk humanistycznych, byłym dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie.



Giovanni Battista Gisleni, widok Forum Wazów w Warszawie, ok. 1650 r., John Soane's Museum w Londynie



Plaskorzeźba Stanisława Kulona „Wypędzenie” – 10 II 1940 r.”

FOT. JACEK CHROMY



Monika Odrobińska

Na lekcji historii w sowieckim posiołku Stasiowi żal się zrobiło, że w Rosji tak zimno, a pan Lenin w podręczniku łysy, więc mu dorysował włosy. Mama całowała nauczyciela stopy, by ta nie doniosła naczelnikowi łagru. Bezskutecznie

Nocą Staś rozmyślał, czy skazał właśnie rodzinę na więzienie albo jeszcze gorzej: na Kamczatkę, a mama płakała. Skończyło się na rozmowie naczelnika z rodzicami – szkoda mu było pozbywać się ojca, który za dnia był kołodziejem, a nocami ostrzył piły potrzebne od rana skazańcom do wycinania tajgi. Na razie zostali więc w posiołku.

GWOŹDZIE JAK RÓŻANIEC

– Ojciec był legionistą, trzykrotnie odbijał Lwów z rąk bolszewików – wspomina 89-letni Stanisław Kulon, rzeźbiarz i emerytowany profesor ASP. – O zsyłkach roku 1940 – w lutym, kwietniu, czerwcu – i jeszcze jednej rok później mówił, że to zemsta Stalina za rok 1920. W tych czterech deportacjach, głównie z Kresów, wywieźli kilka milionów Polaków [dokumenty rosyjskie mówią o 320 tys., polski IPN – o 800 tys., polscy historycy – o 1,3 mln – przyp. M.O.], do ojczyzny – według szacunków ks. Zdzisława Peszkowskiego, opiekuna Rodzin Katyńskich, wróciło 6–8 proc.

Za walki tacy żołnierze jak ojciec pana Stanisława dostawali od odrodzonego państwa polskiego przydział 2,5 ha ziemi w osadach wojskowych. Skorzystawszy z darowizny, osiadł on w Sobiesko Siółko (dzisiejsza Ukraina), ożenił się i doczekał siedmiorga dzieci. Ostatnie nie zdążyło się urodzić, gdy ich wywieźli.

– Dwa tygodnie zdążyłem pouczyć się w II klasie, jak wybuchła wojna, a czerwonoarmijcy w naszej szkole urządzili sobie koszały – wspomina Stanisław Kulon. – „Wot, Polczy użę niet, nie ma co się polskiego uczyć” – powiedziałeli. Od 17 września gościńcem przez wieś, obok naszych domów, na zachód dniem i nocą ciągnął sznur radzieckich czołgów. Po dwóch tygodniach tą samą drogą, tyle że na wschód i poboczem drogi, „krasnyje

sołdacy” prowadziły polskich żołnierzy – czwórkami, z zerwanymi odznaczeniami wojskowymi. Niektórzy byli ranni, wszyscy mieli ręce związane z tyłu. Spoczywają dziś w lasach katyńskich.

Piękna to była zima 1940 r., śnieżna i mroźna – dzieci cieszyły się na jazdę na sankach, własnej roboty, rzecz jasna. – O czwartej nad ranem zbudziło nas walenie do okien – mówi rzeźbiarz. – „Matuszka, otwieraj!” – wrzeszczało dwóch sowieckich żołnierzy, którym towarzyszył Ukrainiec z dokumentacją. „Tu będzie wojna, dzieci ubieraj, wyjeżdżacie. Nic nie bierzecie, tam jest wszystko” – przekony-

zamiast toalety i piecykiem, na którym rozpuszczano śnieg do picia, wieźli ich ponad dwa miesiące – wyłącznie nocami.

– W wagonach były maleńkie okienka i tak zasłonięte – mówi pan Stanisław. – Kto miał szczyryk, wydlubał dziurę w deskach i zobaczył nazwę stacji czy Moskwę – całą obwieszoną balonami przeciwlotniczymi. „Przeciw komu te balony?” – zastanawiali się dorośli. Na zewnątrz –40 st. C, gwoździe w deskach wagonu oszronione – kobiety modliły się na tych gwoździach jak na różańcu. Słabych, chorych i zmarłych raz na dzień wyrzucano z wagonu prosto w śnieg – towarzyszył temu płacz

Były to „syberyjskie sołdacy”, które czekały na opuszczone bydłowe wagony.

– Odebrane nam dokumenty NKWD-ziści ułożyli w stos i spalili w ognisku, przy którym pili wódkę, krzycząc: „Wot, i nie ma już Polaczków” – wspomina Stanisław Kulon. – Dopóki była droga, wieźli nas żiłami, jak się skończyła – saniami. Po dwóch dniach podróży nimi dotarliśmy do posesiołka Baza, barak 30. Nazajutrz wszyscy powyżej 12. roku życia zostali leSORUBami – wyposażeni w siekiery wyrąbywali tajgę, by zasłużyć na 400-gramową kromkę chleba dziennie. „Kto nie robotajet, tot nie kuszajet”, dlatego niepracujący – dzieci, starcy, chorzy – otrzymywali głodową rację 200 g chleba.

WYŚCIGI PO KOŚCI

– W baraku mama urodziła nam bractwiska – Olusia. Tata, kołodziej, na polecenie naczelnika urządził sobie warsztacik obok szopy, w której odtąd zamieszkaliśmy. Mama nie miała pokarmu, Olus płakał, a mama błagała o mleko naczelnika, który miał jedyną krowę w obozie. Rosjanie mieli zakaz pomagania Polakom, więc starszy ode mnie o trzy lata Józek doił tę krowę po kryjomu. Jaki radosny zrobił się nasz Olus!

Żona naczelnika zorientowała się jednak, że krowa za mało mleka daje, i przyuważyła Józka. Strażnicy dotkliwie go pobili. Dwa tygodnie potem Olus zmarł. Na szczęście zdążyli go ochrzcić, bez księdza, tak tylko z wody. – Pochowaliśmy go w lesie – wspomina prof. Kulon. – Nie dla wrogów ludu cmentarze. Trumien nie było, wrzucało się zmarłych do dołów w ziemi albo w śniegu, czasem w prześcieradle. Ale dla Olusia tata wyprosił u naczelnika kilka desek na skrzyneczkę.

– Mamie z płaczu oczy ropiały, ze smutku się pogarbiła, ale pracować musiała. Poprosiła, bym jej pomagał, trzymając drugi

Utrwalaj, cośmy przeżyli

wali. Matka ukłękła przed obrazem Matki Bożej i płacząc, żarliwie się modliła. Żołnierze spojrzeli po sobie, wyszli i po chwili wrócili z kocami, kożuchami i płaszczami. Siedząc na saniach wiozących nas na stację w Podhajcach, płakaliśmy pod tymi cudzymi ubraniami. W piecu zostały chleby, w chlewie krowy i świnię. Do dziś mam w pamięci wycie psów, które po nas płakały.

Bydłymi wagonami, w których tłoczyło się po 60 osób, z dziurą w podłodze

najbliższych, a najgłośniejsze płakały osieroczone właśnie dzieci.

Na Uralu, na granicy Europy i Azji, skończyły się tory. Stacja Mołotow – wysiadka. Za cara to był Perm, a za czasów wojny – miasto naziemne, w którym próbowano żyć, i podziemne, w którym produkowano katusze – postrach Niemców. Gdy odsunięto drzwi wagonu, zesłańcom ukazał się szpaler wynędzniałych żołnierzy w uszatkach i onucach zamiast butów, z karabinami dyndającymi na sznurkach.

REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję wokół publikacji
**Solidarność Walcząca
1982-1990**
pod redakcją naukową
Sebastiana Ligarskiego
i Michała Siedziako

5 **LUTEGO (środa)**
godz. 17:30



Udział wezmą:

dr Witold Bagieński
Instytut Pamięci Narodowej

dr hab. Tytus Jaskułowski
Instytut Pamięci Narodowej

dr Łukasz Kamiński
Uniwersytet Wrocławski

Prowadzenie:
Igor Janke

Organizatorzy:

Patroni medialni:








Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

■ koniec piły. Raz, gdy osłabła, pilnujący nas żołnierz skopał ją. Starszą, kłęczącą kobietę! Rzucałem się na niego, a ten krzyczy: „Stój, bo ubiję jak sobaka!”. Mama stanęła między nami: „Mnie zabij, a jego zostaw!” – wrzasnęła. Dopiero się opanował.

Najstarszy syn Kulonów pracował w posiołku oddalonym o 20 km i postanowił ściągnąć tam rodzinę. Pożyczonym od chłopca wozem jechały najmłodsze dzieci z mamą, pozostali szli. Po kilku kilometrach ojciec zasnął – poprosił żonę, by jechała z dziećmi dalej, a jego została. Dziesięcioletni Staś zapamiętał jego błądą mimo zarostu twarz i resztkę sił wykonany gest pożegnania. Usiadł na mchu przy źródle i zastygł jak rzeźba.

Po przyjeździe do nowego posiołka mama źle się poczuła. – Miesiąc spędziła w szpitalu, z którego ją nam przywieźli, mówiąc, że są bezradni. Chudła w oczach, przestała wstawać z pryczy, a po kilku dniach zmarła. Piękna to była kobieta, miała kasztanowe włosy i tylko 39 lat – wspomina Stanisław Kulon.

Władek całą noc heblował sosnowe deski na „trumnę” dla mamy, z Józkiem wykopali grób na pobliskim cmentarzu. Gdy ją pożegnali, Władek poszedł do polskiej armii. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 r. Stalin zgodził się na utworzenie armii z polskich łagierników i zesłańców – na froncie przydawali się wszyscy. Im samym dawało to szansę wydostania z tego piekła siebie i rodzin.

We wsi zostali tylko: kobiety, starcy, chorzy i dzieci, w tym Kulonowie: 14-letni Józek, 11-letni Staś, ośmioletni Kazik, sześciolatnia Zosia i trzyletni Miecio. Zastanawiali się nad odebraniem sobie życia, ale że nie wiedzieli, jak to zrobić, by nie bolało, zaczęli żebrać. – Zazwyczaj nas przeganiali, ale Rosjanek, która dała mi jajeczko, zapamiętam do końca życia – mówi pan Stanisław. – Potem zabrali nas do radzieckiego domu dziecka Pesznigorod 7 km od Kudymkaru – oprócz Kazika, którego wzięli do szpitala. Raz z tego szpitala przyszły szczepić nas pielęgniarki i pytają: „Twoja familia Kulon? Czy ty miałeś braciszka w Kudymkarze?”. – „Mam braciszka” – sprostowałem, a gdy usłyszałem: „Wot, on użе nie żywiot”, nikt nie mógł mnie uspokoić.

Kiedy tylko trafili do domu dziecka, posadzono ich przy stole i dano kromkę chleba. Ani się obejrzel, jak inne dzieci im go ukradły. A po posiłkach kucharki urządziły zawody: wyrzucały na podwórko kosteczki z kurczaka, a dzieci ścigały się



Stanisław Kulon został zesłany na Syberię 10 lutego 1940 r. FOT. MONIKA ODROBIŃSKA

po nie z psami. Po obiedzie Staś podkraść z kuchni najgrubsze obierki z ziemniaków i podpiekał je potem w szopie. Smakowały jak ciasteczka czekoladowe.

USTA STALINA

Pewnego dnia wychowawczynie wzięła Stasia na bok i powiedziała, że w Moskwie zawiązał się Związek Patriotów Polskich – co z tego, że komunistyczny, skoro ma utworzyć polskie domy dziecka. Poradziła, by z rodzeństwem próbował dostać się do tego w Rostowie, bo to już bliżej Polski. Po „spisku” [zaświadczenie – przyp. M.O.] Staś szedł do Kudymkaru 7 km w śniegu. Przed budynkiem przywitani go ośmiometrowi Lenin i Stalin, aż strach było wejść. Osiem godzin czekał na „audiencję”, by usłyszeć: „Ty ruskiej czieławiek! Nie Polak!”. „Spisku” nie dostał.

Wychowawczynie poradziła, by poszedł raz jeszcze – tym razem z Józkiem – i powiedzieli, że „to prikaz Stalina” i że jak im „spisku” nie dadzą, to do tego Stalina napiszą. Zadziałało!

Z kawałkiem chleba wsiedli na statek, by rzeką Kamą dotrzeć do Mołotowa, po kilku dniach dostać się na transport do Moskwy, a stamtąd – do Rostowa. Gdy ujrzeli tabliczkę z napisem wyczekanej miejscowości, za nią ukazały im się same gruzy. Zdążył się już tamtędy przetoczyć front. Razem z opiekunami domu dziecka odgruzowywali budynek: wypalony, bez okien. Po kilku dniach odesłali dzieci do Malinkowa, gdzie także tworzył się polski dom dziecka.

– W tym Malinkowie wychowawczynią była pani Regina – mówi Stanisław Kulon. – Powiedziała, że zrobi wszystko, by nas zabrać do Polski, ale my i tak w to nie wierzyliśmy. Z powrotem uczyła nas polskiego, bo gadaliśmy już tylko po rusku, a w międzyczasie jeździła do polskiej

ambasady w Kujbyszewie. Latem pomagaliśmy w okolicznym gospodarstwie: ja pasłem krowy, konie i świnie – 60 sztuk na raz. Aż 8 maja 1945 r. gruchnęła wieść o końcu wojny. Gieroję Sowieckiego Sojuza wracały z frontu – pijane, hałaśliwe i obwieszone zdobycznymi zegarkami, bo w Rosji za zegarek można było wszystko.

Na wyjazd musieli jednak poczekać do marca 1946 r. Gdy czterdzieścioro dzieci zapakowało się wreszcie na wóz, a kierowca odpalił silnik, stanął przed nim wóz milicyjny. Milicjant bierze od wychowawczynie listę, wodzi po niej wzrokiem, wreszcie woła: „Stiopka!”. Stiopka się gramoli, a oni go cap! „Ty nie Paliak, ty Ukrainiec”. Ten w krzyk, że chce z polskimi dziećmi jechać, ale oni byli nieubłagani.

Granice przekroczyli w Medyce po dwóch dobach czekania, w Opolu nocowali w byłym obozie koncentracyjnym, a w Gostyninie – w szpitalu psychiatrycznym. Tam pani Regina ich pożegnała i zabrawszy kilkoro żydowskich dzieci, wyjechała do Palestyny. W Gostyninie też podzielili ich według wieku – Józek pojechał do Gdańska-Wrzeszcza, a Staś z Zosią do Sikorowa koło Inowrocławia – zamieszkali w byłym majątku gen. Sikorskiego.

W polskiej szkole Stanisław uczył się wierszy przyszłej noblistki Wisławy Szymborskiej o ustach Stalina, które są słodsze niż malina i o tym, jak to Wielki Ojciec Rewolucji nie śpi, tylko nocami na Kremlu obmyśla, czym by tu naród jeszcze uszczęśliwić. Na 70. urodziny generalissimusa uczniowie zakopiańskiego Liceum Technik Plastycznych musieli wyrzeźbić szachy – oczywiście w stylu socrealizmu. Pięć lat później – gdy był na pierwszym roku Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie [dzisiejsza ASP – przyp. M.O.], 5 marca 1953 r. cała uczelnia musiała pogryźć się w żałobie, bo „słońce ludzkości zgasło”.

Stanisław Kulon ma wrażenie, że duch Stalina dogania go nawet dziś: – Dwa lata temu podczas wernisażu prac, w których zamknąłem całą naszą tułaczkę, mówiłem, że Syberię przeżyliśmy tylko dzięki modlitwom naszych matek. Aż tu podchodzi do mnie mężczyzna i mówi: „Nie dzięki modlitwom, tylko dzięki Armii Czerwonej!”. Tak samo zabolowały mnie słowa Putina negujące to, co widziałem na własne oczy: ruskie tanki i jeńców katyńskich na naszym gościńcu we wrześniu 1939 r. Coraz częściej śni mi się mama, która płacze i prosi: „Utrwalaj, cośmy przeżyli: dłutem, pędzlem, ołówkiem, piórem. Utrwalaj”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Paszporty nadziei

Ta sucha liczba – 2987 – nie robi wielkiego wrażenia. Ale lista obejmująca 2987 nazwisk – to już coś zupełnie innego! Sporządzona drobnym drukiem zajmuje sto bitych stron.

Landau Gustav

Landauer-Schuster Gretel

Lande Sruł

Landner I.

Landsmann Fanny

Lange Alfred...

... i tak dalej – ciągnące się przez całe strony długie kolumny nazwisk. A każde z nich to jeden człowiek i jedna tragiczna historia. Dopiero przeglądając tę listę, można uzmysłowić sobie, o jak olbrzymiej grupie ludzi mówimy. A przecież to nie są jeszcze kompletne dane. Badania trwają.

Oco chodzi? O „Listę Ładosia”. Czyli listę Żydów, których próbowali uratować polscy dyplomaci akredytowani podczas drugiej wojny światowej w Szwajcarii. Poseł Aleksander Ładoś i jego współpracownicy na masową skalę wyrabiali Żydom znajdującym się pod niemiecką okupacją paszporty państw neutralnych. Paragwaju, Hondurasu, Haiti i Peru. Robili to, współpracując ściśle z miejscowymi organizacjami żydowskimi.

Jaki był cel tej akcji? Posiadanie „obywatelstwa” państwa neutralnego

oczywiście nie dawało stuprocentowej gwarancji przeżycia Holocaustu, ale znacznie zwiększało szanse. Niemcy liczyli bowiem, że będą mogli ich wymienić na obywateli niemieckich internowanych w państwach alianckich. W efekcie setki posiadaczy „paszportów Ładosia” dotrwały do końca wojny.

Wydana właśnie przez Instytut Pileckiego „Lista Ładosia” została opracowana przez niestrudzonego badacza i popularyzatora działań grupy berneńskiej – ambasadora RP w Szwajcarii Jakuba Kumocha. Człowieka, którego zasług w tej sprawie nie sposób jest przecenić.

Kumoch podkreśla, że do 2987 nazwisk, które znalazły się na liście, należy doliczyć jeszcze co najmniej 275 nieznanych z imienia członków rodzin, którym wystawiono paszporty. To daje już 3262 osoby. W sumie zaś polscy dyplomaci i ich żydowscy partnerzy podjęli próbę ocalenia nawet 8–10 tys. istniejących ludzkich.

Jest to doprawdy niebywała historia! Niebywałe jest również to, że do niedawna była w zasadzie nieznana. Całe szczęście – w dużej mierze dzięki Jakubowi Kumochowi – o sprawie tej jest coraz głośniejsze na całym świecie. Teraz pora na wielki hollywoodzki film. ©



★★★★★

RED. JAKUB KUMOCH

**„LISTA ŁADOSIA”
INSTYTUT
PILECKIEGO**



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Filmowcy i córki Koryntu

Wepoce PRL rozrywkowo usposobieni przedstawiciele świata kultury nie unikali kontaktów z zawodowymi prostytutkami, a niektóre z nich wręcz snobowały się na przyjaciółki artystów.

Z reguły były to panie pochodzące z nizin społecznych, a ich jedyny kapitał stanowiła

Jerzego Hoffmana „Gangsterzy i filantropi” (premiera: 15 lutego 1963 r.). Tańczyły w jednej ze scen na stole, co wyszło im całkiem dobrze.

Z upływem lat następowało coraz większe pomieszanie środowisk i zawodów, nieraz przy jednym stole zasiadali artyści, panie lekkiego prowadzenia i córki prominentów. Inna sprawa, że czasami trudno było odróżnić profesjonalistki od pań nieparających się nierządem. Podobnie zjawisko zaobserwował również Janusz Atlas w latach 70., bywając w klubie Stowarzyszenia Architektów Polskich przy ul. Foksal. Podobno wszystkiego winni byli jednak tamtejsi ochroniarze:

„[...] ustalali własną hierarchię ważności zapraszanych osób i bokiem wpuszczali do środka swoich znajomych, cinkciarzy i kobiety uliczne. Tym ostatnim niezwykle imponowało obcowanie z artystami i zdeprawowały się do tego stopnia, że odmawiały alfonsoświadczenia pracy, porywając na całe noce młodziutkich aktorów albo studentów szkoły filmowej. Po pół roku działania już dokładnie nie było wiadomo, która ze stałych bywalczyń SARP-u jest prostytutką, a która artystką. Tak się to wszystko przemieszało, że nawet dochodziło do zamiany ról: dobrze rozwinięte, ale pozbawione talentu aktorki szły na ulice i wiązały się z cinkciarzami, a córki Koryntu w stanie spoczynku zachodziły w ciążę z reżyserami filmowymi, urządały im mieszkania i odgrywały kreacje w ich debiutanckich obrazach”. ©

Niektóre z tych pań zagrały epizodyczne role w ówczesnych filmach

uroda. Najczęściej szukały za- możnego sponsora, w efekcie kończyły na ulicy.

„Zuzia Ping-Pong była jak Kate Moss – wspominała Ewa Frykowska – piękna głowa, długie nogi, nieumalowana twarz. Cudo. Chodziła w długim, opiętym swetrze i w sandałach, prowadząc psa spaniela. Zdaje się, że jej rodziców zamknięto za przestępstwa gospodarcze, więc ona wędrowała od faceta do faceta, szukając opieki. Dlatego nazywano ją Ping-Pong”.

Wyjątkowo urodziwa była również „Pascza” – wysoka i szczupła blondynka, córka dozorczy cmentarza na Bródnie, a jednocześnie osoba obdarzona dobrym gustem i ubierająca się w bardzo oryginalny sposób. Niektóre z tych pań zagrały nawet epizodyczne role w ówczesnych filmach, takich jak dwa słynne „Budynie” (Duży i Mały). Można je było oglądać w filmie



Trump na beczce prochu



Jacek Przybylski

Najbardziej proizraelski prezydent w historii USA przedstawił „umowę stulecia”, mającą przynieść pokój na Bliskim Wschodzie. „Historyczny” i „realistyczny” plan Trumpa chwali premier Izraela. Palestyńczycy mówią o farsie, hańbie i zdradzie

80 stron. Tyle liczy przedstawione w zeszłym tygodniu przez Donalda Trumpa „porozumienie stulecia”, którego celem jest ostateczne rozwiązanie

kwestii palestyńskiej. Jego opracowaniem od trzech lat zajmował się osobisty doradca prezydenta USA ds. bliskowschodnich, a prywatnie zięć amerykańskiego przywódcy – Jared Kushner.

Cyniczna propozycja amerykańskiego przywódcy – dla którego rację ma zawsze silniejszy oraz bogatszy – uwzględnia większość postulatów premiera Izraela i znikomą część żądań przedstawicieli Palestyńczyków.

W przypadku „umowy stulecia” diabeł nie tkwi w szczegółach. Na pierwszy rzut oka widać, że jest to propozycja, która pozbawia Palestyńczyków nie tylko prawa do ojczyzny, lecz także do wolności i godności. Prezydent USA, ignorując przepisy prawa międzynarodowego oraz rezolucję ONZ wzywającą Izrael do powrotu do granic z 1967 r., przewiduje

bowiem oficjalne potwierdzenie istnienia suwerennego państwa Izrael ze stolicą w „niepodzielonej Jerozolimie” oraz uznanie legalności żydowskich osiedli na nielegalnie okupowanym przez izraelską armię Zachodnim Brzegu Jordanu.

Jednocześnie zakłada wprowadzenie wstrzymanie na cztery lata żydowskiego osadnictwa na tym terenie, ale nie przewiduje prawa do powrotu kilku milionów palestyńskich uchodźców i ich potomków do domów zagarniętych pod koniec lat 40. XX w. przez żydowskich osadników. Izrael nie zgadza się na ich powrót, bo wówczas arabska mniejszość nagle stałaby się większością, a państwo żydowskie nie mogłoby dłużej w niehumanitarny sposób traktować Palestyńczyków. USA chcą rozwiązać problem uchodźców „poza



FOT. SHEILAH CONRICH/ADZIMA, PRESS/FORUM

Brzegu Jordanu Palestyńczycy otrzymaliby jedynie małe jego skrawki. Oprócz tego przypadłyby im Gaza oraz pustynne tereny przy granicy z Egiptem. Poprzez dzielane izraelskimi terenami ziemię palestyńskie miałyby być połączone skomplikowaną siecią tuneli, mostów, a także torami szybkiej kolei.

Stolica niepodległej Palestyny miałyby „zawierać między innymi tereny Jerozolimy Wschodniej”. W rzeczywistości władze Palestyny swą siedzibę miałyby mieć w 12-tysięcznym Abu Dis, czyli na bardzo dalekich przedmieściach świętego miasta. W 2004 r. miejscowość ta została odgradzona od Jerozolimy wysokim ogrodzeniem, a przez posterunki kontrolne izraelska bezpieka przepuszcza jedynie tych Palestyńczyków, którzy ukończyli 55 lat, oraz Palestynki w wieku powyżej 50 lat.

Prowincjonalna Palestyna miałyby być na wszelki wypadek zdemilitaryzowana, ale w zamian za wszystkie ustępstwa miałyby otrzymać pomoc gospodarczą o wartości 50 mld dol. W konflikcie dwóch stron Waszyngton jednoznacznie opowiedział się więc za prawami wyłącznej jednej z nich. Amerykańscy dyplomaci ostrzegli jednocześnie przedstawicieli Autonomii Palestyńskiej, że jeśli nie zgodzą się na plan przedstawiony przez Trumpa, to mogą się w zasadzie na zawsze pożegnać z marzeniami o jakimkolwiek własnym państwie. W tym planie nie ma miejsca na długie negocjacje. Krótka oferta biznesowa brzmi: sprzedajcie własny naród.

Pomysł prezydenta USA z ogromnym entuzjazmem przyjął izraelski premier Benjamin „Bibi” Netanjahu, uznając, że plan amerykańskiego przywódcy przedstawia „realistyczną ścieżkę” do osiągnięcia pokoju na Bliskim Wschodzie. – Stał się pan pierwszym światowym przywódcą, który uznał suwerenność Izraela nad obszarami Judei i Samarii, które są niezbędne dla naszego bezpieczeństwa i mają kluczowe znaczenie dla naszego dziedzictwa – dziękował Trumpowi śmiejąc się od ucha do ucha Netanjahu. Ogłoszony plan jest wielkim prezentem dla Izraela, a jednocześnie stanowi fantastyczną odskocznnię od zarzutów korupcji i defraudacji, które szefowi rządu Izraela postawiła niedawno krajowa prokuratura. Prokurator generalny wniósł akt oskarżenia do Sądu Okręgowego w Jerozolimie zaledwie kilka godzin przed tym, jak Trump ogłosił swój „historyczny” plan.

To zresztą kolejny wartościowy podarek Trumpa dla Bibiego, który jest pierwszym w historii Izraela szefem rządu oficjalnie postawionym w stan oskarżenia jeszcze podczas pełnienia funkcji. W grudniu 2017 r. prezydent USA jako pierwszy przywódca oficjalnie uznał Jerozolimę za stolicę Izraela, a następnie nakazał przenieść do niej amerykańską ambasadę. Jesienią 2018 r. Biały Dom ogłosił zaś – wbrew stanowisku ONZ – że nie zamierza uznawać za nielegalnych w świetle prawa międzynarodowego osiedli na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu Jordanu. Trump dał więc Netanjahu zielone światło na prowadzenie brutalnej polityki faktów dokonanych.

Na ratunek zagrożonemu długoletnim więzieniem Bibiemu pospieszył też prezydent Rosji, do którego premier Izraela poleciał prosto z Białego Domu. Władimir Putin podpisał dekret o ułaskawieniu obywatelki Izraela Naamy Issachar, w której bagażu na lotnisku Szeremietiewo znaleziono prawie 10 g haszyszu. – Dziękuję swojemu przyjacielowi prezydentowi Putinowi – ogłosił więc izraelski premier, który z Putinem omawiał szczegóły „porozumienia stulecia”.

Zaproponowany przez Trumpa plan rozwiązania kryzysu na Bliskim Wschodzie odwraca również przynajmniej częściowo uwagę mediów od impeachmentu. A także może przysporzyć mu głosów ze strony potężnego w Waszyngtonie żydowskiego lobby. Izraelscy negocjatorzy genialnie wykorzystali też ego amerykańskiego przywódcy, którego zaspokojenie daje interlokutorom prezydenta wielkie pole do popisu.

„Przez 35 lat pracy w rządzie nigdy nie widziałem amerykańskiego prezydenta, który oddawałby tak wiele, tak szybko, za tak niewiele” – zauważył William J. Burns, prezes Carnegie Endowment for International Peace.

Z nagrań, które wyłynęły przy okazji impeachmentu, wynika, że sztuczki tej próbowali też biznesmeni Lew Parnas i Igor Fruman, którzy dając amerykańskiemu prezydentowi prezent od naczelnego rabinu na Ukrainie i rabinów w Izraelu, porównali Trumpa do „mesjasza”, który zbawi cały świat. Genialne zagranie – tytuł mesjasza narodów bez trudu przebija bowiem spowszedniałą Pokojową Nagrodę Nobla Baracka Obamy.

Izraelem”, prawdopodobnie płacąc innym krajom arabskim za przyjęcie palestyńskich rodzin.

NA RATUNEK BIBIEMU

Skoro Izraelowi przypadłaby zarówno Jerozolima, jak i większość Zachodniego Brzegu Jordanu, to co w zamian dostaliby Palestyńczycy? – Logiczne jest, że muszą też dużo zrobić dla Palestyńczyków, bo inaczej byłoby to niesprawiedliwe – podkreślił prezydent Donald Trump.

Po czym ogłosił, że w ciągu czterech lat powstałoby „państwo palestyńskie”. W praktyce byłoby to jednak podzielone na kilka części minipaństwko, którego terytorium wygląda niczym pogryziony przez pustynne szczury kawałek sera.

Zamiast odzyskania większej części okupowanego przez Izrael Zachodniego

Nazywanie propozycji Trumpa „planem pokojowym” stanowiłoby obrazę zarówno dla procesu pokojowego, jak i dla poprzednich propozycji planów pokojowych.

NAJWIĘKSZA ZDRADA XXI W.?

Palestyńczycy, którzy od lat zmuszeni są do życia w dwóch niewielkich enklawach – na Zachodnim Brzegu oraz w Strefie Gazy – nie zostawiają więc na nowym amerykańskim planie suchej nitki. – Panom Trumpowi i Netanjahu mówię, że Jerozolima nie jest na sprzedaż. Nasze prawa także nie są na sprzedaż. Jak mamy zaakceptować plan, w którym Jerozolima nie będzie stolicą państwa palestyńskiego? – pytał retorycznie rozżalony przywódca Autonomii Palestyńskiej. Mahmud Abbas określił jednocześnie propozycję Donalda Trumpa mianem „spisku, który zostanie wyrzucony na śmietnik historii”.

Libański Hezbollah oznajmił, że nowy plan pokojowy ma zniszczyć Palestyńczyków. Przeciwno propozycji Trumpa wypowiedział się również rządzący w Gazie Hamas. Gwałtownie na plan amerykańskiego prezydenta zareagowali również zwykli Palestyńczycy. Zamieszki, podczas których palono izraelskie flagi, a także plakaty z wizerunkami Trumpa oraz Netanjahu, wybuchły na ulicach Gazy, a także miast na Zachodnim Brzegu Jordanu. W starciach z bezwzględnymi izraelskimi siłami bezpieczeństwa rannych zostało kilkadziesiąt osób. W takiej sytuacji nowego planu amerykańskiego prezydenta nie tylko nie chciały, ale nawet nie mogłyby poprzeć żaden palestyński przywódca. Takie poparcie byłoby bowiem równoznaczne z podpisaniem własnej dymisji.

Na propozycję Donalda Trumpa szybko zareagowały również kraje regionu. Najostrzej zareagowały władze w Teheranie, które „haniebny plan pokojowy ogłoszony przez Stany Zjednoczone” uznały za „największą zdradę XXI w.”.

Turcja określiła plan Trumpa jako próbę zaboru ziem palestyńskich i zniszczenie perspektyw na ustanowienie państwa palestyńskiego u boku Izraela. Władze Jordanii jasno oświadczyły zaś, że zaprowadzenie pokoju na Bliskim Wschodzie możliwe jest jedynie na podstawie granic państwa palestyńskiego z 1967 r.

Bardzo wyraźnie widać więc, że los Palestyńczyków – narodu, który od 70 lat nie może doprosić się własnego państwa – coraz mniej obchodzi nawet świat

arabski. Jeszcze niedawno na podobny pomysł oszukania narodu palestyńskiego zareagowały wielkimi demonstracjami od Maroka aż do Omanu. Tym razem władze Egiptu oficjalnie wstrzymały się od krytyki, wzywając jedynie obie strony do podjęcia rozmów. Ambasador Zjednoczonych Emiratów Arabskich w USA oznajmił na Twitterze, że jego kraj docenia wysiłki Waszyngtonu w celu doprowadzenia do porozumienia między Izraelem a Palestyną. Przedstawiciel ZEA w Waszyngtonie był też oficjalnym gościem w Białym Domu – obok ambasadorów Omanu



i Bahrajnu – podczas ceremonii ogłoszenia nowego planu bliskowschodniego. Tak jawne wsparcie dla tak niekorzystnego dla Palestyńczyków planu to nowość w dyplomatycznej układance w tym regionie i sukces administracji Trumpa. Palestyńczyków tylko powierzchownie wsparł też władca Arabii Saudyjskiej, robiąc to jednak w sposób, który pozwala mu zachować ciepłe relacje z zięciem Donalda Trumpa – Jaredem Kushnerem. Bojownicy Hezbollahu ogłosili już więc, że USA nie zdecydowałyby się na taką propozycję, gdyby nie „współudział i zdrada” ze strony wielu państw arabskich.

Doprowadzenie do tego, że USA, Izrael i niektóre kraje arabskie mają wspólne interesy, jest bez wątpienia warte zauważenia. Od dawna jest to bowiem jeden

z celów amerykańskiej polityki zagranicznej. Biorąc pod uwagę to, jak arogancko potraktowano Palestyńczyków, szanse, że jednostronny plan „pokojowy” Donalda Trumpa rzeczywiście się powiedzie i doprowadzi do przełomu w trwającym od dekad konflikcie, są bardzo niewielkie. Aby projekt tego typu się powiódł, nie wolno bowiem prowadzić negocjacji tylko z jedną ze stron. Kto jak kto, ale Polacy wiedzą, że nawet strasznie upodłone przez o wiele silniejsze mocarstwa narody mają swoją dumę i nie znoszą, gdy rozmawia się o nich bez nich. Błędem było także założenie, że wszystkich da się kupić. Gdyby tak było, wiele konfliktów – nie tylko izraelsko-palestyński – skończyłoby się już dawno. Dużo większe jest więc prawdopodobieństwo, że kolejna próba oficjalnego okradzenia Palestyńczyków z ich ojczystych ziem doprowadzi do krwawych starć lub nawet do wybuchu nowej intifady.

Taki rezultat nie był trudny do przewidzenia, zwłaszcza dla sztabu ekspertów w Białym Domu. Możliwe więc, że opracowując plan w sposób gwarantujący odrzucenie go przez Palestyńczyków, administracja Trumpa celowo zrezygnowała z próby zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie. Scenariusz, w którym Palestyńczycy łapią za broń, ułatwiłby bowiem Izraelowi użycie siły i umożliwił stosowanie brutalnej polityki faktów dokonanych. Przemoc mogłaby też zniechęcić do Palestyńczyków nawet ich ostatnich sympatyków.

Tak cyniczny plan pozbawia Palestyńczyków ruchu. Jego odrzucenie i brak jakiegokolwiek działania doprowadzą bowiem do szybkiej legitymizacji obecnego stanu rzeczy i formalnego uznania okupowanych terenów za historycznie ziemie Izraela. Jeśli bowiem chłodno spojrzeć na propozycję Trumpa, to dla Palestyńczyków niewiele się zmienia – od lat żyją oni przecież pod nielegalną okupacją Izraela. A ponieważ od wieków zwycięzców nikt nie sądzi, to prezydent USA może mieć rację, cynicznie sugerując: bierzcie to, co jest na stole, bo polityka faktów dokonanych sprawi, że potem nie będzie już szans nawet na niewielkie skrawki pseudo-Palestyny. Dopóki u władzy jest Mahmoud Abbas, dopóty taki argument nie pada jednak na podatny grunt.

Najbardziej prawdopodobny wariant zakłada więc, że plan Trumpa, podobnie jak wcześniejsza propozycja Busha, trafi na śmietnik historii jako „nieporozumienie stulecia”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



UDAWANY OFICER NATO

Pewien Szwed w 1999 r. został wydalony ze szkoły oficerskiej w Enköping. Sam więc podrobił sobie dyplom i wrócił z nim do armii. Tak zaczęła się jego wielka kariera wojskowa. Szybko awansował na kapitana, potem majora. Wysyłany był z misjami do Kosowa, Afganistanu. A w 2012 r. oddelegowano go do jednego ze strategicznych dowództw NATO w Belgii. Przez jakiś czas był oficerem łącznikowym z rosyjską FSB i szwedzkim wywiadem. Zdemaskowano go dopiero teraz, gdy na jego trop wpadli dziennikarze. Szef szwedzkiej armii nie potrafił wytłumaczyć, jak do tego doszło.

FOT. ADAM STOK

MOHAMMAD BIJE REKORD

W 2019 r. w okręgu Oslo najpopularniejszym imieniem nadawanym noworodkom płci męskiej był Mohammed – doniósł Norweski Urząd Statystyczny. Takie imię nadawano w tej części kraju statystycznie 19 noworodkom na tysiąc. W skali całej Norwegii imię Mohammad (lub jego warianty takie jak Muhammad, Muhammed itd.) nie jest jeszcze tak popularne – pozycjonuje się na 27. miejscu. Najpopularniejsze wśród imion dla chłopców jest Jacob/Jakob. Jeszcze.

ZA GRUBE NA DREAMLINERA

Personel linii lotniczych Thai Airways nie wypuścił do klasy biznes trzech Nowozelandek. Kobiety zmierzono specjalną taśmą i uznano, że są za grube – nie spełniają wymogów zawartych w regulaminie przewoźnika. Panie musiały podróżować w klasie ekonomicznej. Traf chciał, że pasażerki – mama i jej dwie córki – wracały akurat z wczasów odchudzających w Tajlandii. To może dużo mówić o skuteczności tego rodzaju turnusów.

LGBT, CZYLI SPOSÓB NA ALIMENTY

Pewien Rosjanin z Kurska od dawna nie płacił alimentów. W sumie jego dług osiągnął już w przeliczeniu 50 tys. zł. Nie stawiał się na wezwanie komornika, zniknął też z domu. Trafił na listę osób poszukiwanych i w końcu odnaleziono go w obwodzie moskiewskim. Okazało się, że teraz jest... kobietą. W Rosji zmiana płci jednak nie uwalnia go od zobowiązań. Został poinformowany o odpowiedzialności administracyjnej i karnej za unikanie wykonania orzeczenia sądu w jego sprawie.

AKTYWISTKA WYKADROWANA

Amerykańska agencja prasowa Associated Press opublikowała komunikat ze Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Okrasiła to zdjęciem młodych aktywistek. Szybko wyszło na jaw, że zdjęcie skadrowano tak, iż nie zmieściła się na nim jedyna czarnoskóra w tej grupie – młoda ugandyjska działaczka Vanessa Nakate. Agencja AP przeprosiła i zapewniła, że wyciągnie wnioski z tego „błędu”. ©©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kilka słów od de Tocqueville'a

Podatek cukrowy, który ma wejść w życie od kwietnia, ma służyć wychowaniu przez mądrą władzę głupiotkich obywateli, którzy nie wiedzą, co dla nich dobre. Tenże podatek cukrowy ma przynieść 2 mld zł rocznie. Czyli rząd chce zarobić na tym, że obywatele będą kupować coś, czego nie powinni kupować, bo jest ponoć strasznie niezdrowe. Skoro jednak jest tak strasznie niezdrowe, to dlaczego nie jest po prostu zabronione?

Cytat z „Dawnego ustroju i rewolucji” Alexisa de Tocqueville’a, często przytaczany w postaci zniekształconej, warto podać w całości: „Trzeba szczegółowo poznać historię administracyjną i finansową dawnego ustroju, by zrozumieć, do jak bezprawnych i nieuczciwych praktyk może brak pieniędzy skłonić rządy łagodne, ale działające tajnie i bez kontroli, kiedy czas ostatecznie usankcjonuje ich władzę i uwolni

je od strachu przed rewolucją, tą ostatnią ucieczką ludów”.

Nieco dalej de Tocqueville pisze: „W miarę jak rosły kłopoty finansowe, rodziły się wciąż nowe urzędy, wszystkie wynagradzane zwolnieniem od podatków albo przywilejami; a ponieważ decydowały o tym potrzeby skarbu, a nie administracji – doszło tym sposobem do powstania niewiarygodnej liczby funkcji całkowicie niepotrzebnych albo szkodliwych”. Nihil novi sub sole. ©©



Z dr hab. n. med. Katarzyną Pancer, mikrobiologiem z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny rozmawia Łukasz Zboralski

Koronawirusy przenoszą się ze zwierząt

ŁUKASZ ZBORALSKI: Co to są koronawirusy – bo znamy ich całą rodzinę?

KATARZYNA PANCER: To jest cała duża grupa wirusów, które wywołują zachorowania zwierząt i ludzi. Są to RNA-wirusy, których genom stanowi RNA [kwas rybonukleinowy – przyp. red.], które może być w specjalnych warunkach zakaźne.

Czym różni się od pozostałych z tej rodziny nowy wirus z Chin – 2019-nCoV? Z badań genomu ma wynikać, że ten na ludzi mógł przenieść się stosunkowo niedawno – pod koniec ubiegłego roku?

To jest normalna droga zakażeń – przechodzenie ze zwierząt na człowieka, gdy dochodzi do pewnych zmian, na ogół jest to wiele zmian w genomie bądź

kombinacja kilku genomów koronawirusów, i wówczas, gdy pasuje to do receptorów komórek ludzkich, może dojść do zakażenia. Wydaje się, że w przypadku tego wirusa z Wuhan właśnie to nastąpiło w ostatnich miesiącach. Według danych naukowców z Chin 2019-nCoV powstał z rekombinacji dwóch wirusów.

To nasuwa naturalny wniosek, że ten wirus może mutować...

To jest normalne. Wszyscy mutujemy. To rzecz najzwyklejsza w świecie. To podstawa ewolucji i wszystkich zmian.

Jak człowiek zaraża się koronawirusem?

Głównie drogą kropelkową. Chodzi o kontakt. Jeśli mamy brudne ręce i np. dotkniemy ust. Czasami także – tak jak

w przypadku koronawirusa MERS – przez niepasteryzowaną żywność. MERS zakażał wielbłądy i spożycie mleka pochodzącego od chorych wielbłądów, niepasteryzowanego, w kilku przypadkach było źródłem zakażenia człowieka.

Na świecie, a także w Polsce, ludzie poszukują w aptekach maseczek chirurgicznych. Tyle że ma to sens, gdy noszą je chorzy, a nie zdrowi, prawda?

Raczej powinni je nosić chorzy, bo z dróg oddechowych pochodzi aerozol – czyli kropelki, które zawierają wirusa. I te kropelki są na tyle duże, że na takiej maseczce się zatrzymają, nie rozsiewają się dalej i nie stają się źródłem zakażenia. Natomiast maseczka chirurgiczna nie zabezpiecza człowieka w 100 proc.



Personel ochrony mierzy temperaturę ludzi przy wejściu do metra w Pekinie

FOT. WU HONG/EPA/PAP

np. przed tym nowym chińskim koronawirusem czy SARS lub MERS. W szpitalu przy kontakcie z takim pacjentem trzeba zakładać maseczki chirurgiczne kategorii trzeciej, które chronią w znacznie większym stopniu. To są inne maseczki.

Jakie są objawy zarażenia koronawirusem z Wuhan?

Zgodnie z tym, co opisują Chińczycy, to najczęściej są gorączka powyżej 38 st. C, kaszel. Więcej niż połowa osób miała także duszność. Część osób miała biegunkę. Objawy są różne. U niektórych osób, szczególnie w starszym wieku, występowało powiększenie węzłów chłonnych.

Jaka jest dziś śmiertelność wśród zarażonych tym nowym wirusem? Z dostępnych danych

wynika, że obecnie umiera ok. 2–3 proc. ludzi, którzy zachorowali.

Wszystko jest kwestią tego, jak wiele osób jest zarażonych. Jeśli panuje grypa, to są miliony zakażeń i wówczas te 2 proc. umierających daje już dużą liczbę. Obecnie mamy ponad 4 tys. zakażonych koronawirusem Wuhan, a w chwili, gdy rozmawiamy, zmarło 106 osób. Te dane szybko się zmieniają. Musimy patrzeć na wszystko, uwzględniając grupę, która jest zarażona. Jeśliby się to bardzo szybko rozprzestrzeniło w populacji, to oczywiście będzie więcej poważnych przypadków i więcej zgonów.

Czyli na razie odsetek umierających nie jest wysoki. MERS i SARS zbierały większe żniwo...

SARS miał śmiertelność ok. 10 proc., a MERS na koniec ok. 36–40 proc. Na

Kronika koronawirusa 2019-nCoV

Nowy rodzaj koronawirusa odnotowano w grudniu w Chinach.

- **Wuhan** – to miasto, w którym stwierdzono pierwsze zachorowania wśród ludzi związane z nowym koronawirusem. Jest stolicą prowincji Hubei w środkowych Chinach, jednym z ważnych ośrodków gospodarczych. Mieszka tam ok. 11 mln ludzi. W Wuhan istnieje Instytut Wirusologii. Jego częścią jest otwarte w 2017 r. laboratorium, w którym bada się niebezpieczne patogeny – m.in. wirusa SARS i wirusa ebola.

Z badania opublikowanego w piśmie „Lancet” wynika, że spośród pierwszych 41 pacjentów z infekcją dwie trzecie było wcześniej na targu, na którym sprzedawano owoce morza oraz dziczyznę. Ujawniono również, że choroba może przebiegać bezobjawowo.

W związku z gwałtownym wzrostem liczby zachorowań miasto zostało objęte kwarantanną i odcięte od świata. Unieruchomiono transport publiczny, zamknięto lotniska i stacje kolejowe. Mieszkańcy nie mogą opuszczać miasta.

- **Chiny** – oprócz Wuhan władze Chin zablokowały również dojazd do kilkunastu innych miast, w których stwierdzono zachorowania. Na lotniskach wprowadzono m.in. kontrolę termowizyjną, by wykrywać osoby z podniesioną temperaturą ciała. Władze chińskiego okręgu Zhengding uruchomiły specjalne linie telefoniczne i wyznaczyły nawet nagrodę dla ludzi (100 juanów – w przeliczeniu to 56 zł) za informowanie o osobach z Wuhan, które przyjechały tam, ale nie zarejestrowały swojego pobytu. Pod koniec ubiegłego tygodnia (do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy”) w Chinach potwierdzonych było 7678 zachorowań. Zarażenia wirusem odnotowano prawie we wszystkich prowincjach w kraju. W sumie zmarło 170 osób, a 133 zostały wyleczone. Chińskie władze wysłały do prowincji Hubei setki dodatkowych pracowników medycznych i wojsko. Publiczne szpitale przeznaczono głównie do walki z epidemią. Rozpoczęto budowę licznych szpitali polowych.

ogół na początku epidemii, gdy nie wiadomo, jak reagować, jak diagnozować, i wszyscy są zaskoczeni, że coś nowego powstaje, jest większa śmiertelność.

Jednak tamte epidemie nie były chyba tak ogromne, jak to się zapowiada w tym przypadku, patrząc na rozprzestrzenianie się choroby?

No wie pan, przy SARS szacuje się, że zachorowało ponad 8 tys. osób. Tyle tylko, że Chińczycy blokowali informacje dotyczące tej epidemii, więc jak było naprawdę, nie wiemy, i to jest tylko szacunek. Ale nawet ten szacunek to więcej zachorowań niż w obecnej sytuacji.

Przy koronawirusach nie ma ukierunkowanego leczenia. Podaje się leki, które poprawiają stan ogólny człowieka

Dlaczego przy takich wirusach najbardziej zagrożeni są ludzie z obniżoną odpornością czy starsi?

Jest tak przy wszystkich wirusach i wszystkich bakteriach. Po prostu układ immunologiczny takich osób nie jest w stanie prawidłowo reagować i może dojść do poważniejszych schorzeń. Jest też tak, że te osoby mają często inne schorzenia i czasami nie umierają z powodu zakażenia, tylko często w wyniku komplikacji.

Wiemy, jak zwalczać część koronawirusów. Na obecny nie ma skutecznego leku, choć podobno są obiecujące próby ze środkami przeciw HIV.

Jeśli chodzi o leczenie, to przy koronawirusach w ogóle nie ma ukierunkowanego leczenia. Nie ma leku konkretnie na koronawirusy. Podaje się leki, które poprawiają stan ogólny człowieka, funkcjonowanie jego organizmu, zabezpieczają poszczególne układy, które – mówiąc kolokwialnie – „wysiadają”. Bo jeśli zaatakowane jest serce, to podaje się leki poprawiające krążenie. To jest tego typu działanie medyczne.

Czy obawy ludzi – w tym mediów – w sprawie chińskiego koronawirusa nie są wyolbrzymione? Z wirusem ptasiej grypy doprowadzono do epidemii, ale strachu. Okazało się, że nie jest tak

groźny. Teraz informacje o nim nie robią już na nikim wrażenia...

Odpowiem tak – opowiadano mi kiedyś o konferencji na temat wirusa ebola gdzieś w Europie. I wie pan, na 30 ekip dziennikarskich 28 było z Polski...

... czyli my w Polsce najbardziej interesujemy się tego typu sprawami?

No, na to wygląda.

Czy takie wirusy hoduje się w laboratoriach i bada, zanim zdarzą się zachorowania wśród ludzi?

Dopiero gdy zdarzają się zachorowania, to wtedy je opisujemy. Natomiast są różne prace, które mówią, że są wirusy zbliżone do tych, które powodują zakażenie u ludzi – np. że są takie u nietoperzy czy jakichś innych zwierząt – i w związku z tym naukowcy zwracają uwagę, iż jest to już dość bliska droga do tego, że mogą one ewentualnie przeskoczyć na ludzi. Ostatnio była taka praca dotycząca koronawirusa, który powodował biegunkę u świń. Zauważano, że jest duże zagrożenie przeniesienia na człowieka. Okazało się jednak, że wyskoczył nam zupełnie jakiś inny koronawirus. Są więc to tylko rozważania teoretyczne.

A czy w Polsce mamy takie laboratoria, w których te rzeczy się bada?

Koronawirusy również występują w Polsce. W sezonie zimowym ok. 20 proc. populacji – tych osób chorych na zapalenie górnych i dolnych dróg oddechowych – jest zakażone także koronawirusami, tylko tymi łagodnymi. Nie ma więc powodu, dla którego w Polsce mielibyśmy tego nie badać.

A systemowo jak się przed tym chronimy? Z doniesień lokalnych mediów wiemy, że w Polsce chorego, który wrócił z Azji i obawiał się możliwości zarażenia – miał jakieś objawy – odesłano z placówki do placówki, aż w końcu przyjął go szpital w Świeciu koło Bydgoszczy. Czy to odpowiednie procedury?

A to jest już pytanie do ministra zdrowia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. n. med. Katarzyna Pancer – mikrobiolog, kierownik Laboratorium BSL-3 i pracownik Zakładu Wirusologii Państwowego Zakładu Higieny.

• **Ewakuacja** – w Chinach, w tym w Wuhan, przebywa wielu obywateli innych krajów. Władze USA przewiozły już 240 osób na Alaskę, gdzie przechodzą badania. Ewakuację swoich obywateli rozpoczęła też Japonia. Do przewiezienia jest 650 ludzi przebywających w prowincji Hebei. Pierwszy samolot z 206 Japończykami wylądował w Tokio już w ubiegłym tygodniu. Kanadyjczycy także rozpoczęli ewakuację 160 osób, które złożyły wnioski w tej sprawie. Swoich obywateli planowały ewakuować również: Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia, Francja, Korea Południowa, Mongolia, Niemcy, Maroko i Holandia.

Na terenie Wuhan i w okolicznych miejscowościach przebywało ok. 30 Polaków. W kontakcie z nimi jest polska ambasada w Pekinie. Polacy są też wśród 6 tys. pasażerów statku wycieczkowego znajdującego się na włoskim wybrzeżu, którym zakazano schodzenia na ląd po podejrzeniu choroby u pasażera z Hongkongu.

• **Zarażenia na świecie** – do momentu zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” zachorowania związane z koronawirusem odnotowano poza Chinami: w Tajlandii (14), Japonii (11), Hongkongu (10), Singapurze (10), Tajwanie (8), Australii (7), Malezji (7), Francji (5), USA (5), Niemczech (4), Korei Południowej (4), Zjednoczonych Emiratach Arabskich (4), Kanadzie (3), Wietnamie (2), Kambodży (1), Finlandii (1), Nepalu (1), Sri Lance (1).

• **Polska** – do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie było jeszcze ani jednego potwierdzenia zachorowania w Polsce – choć było kilka osób, które po pobycie w Chinach i z objawami chorobowymi trafiły do szpitali. Wśród izolowanych są m.in. studenci z Politechniki Rzeszowskiej, którzy przebywali w Wuhan. Jeszcze w niedzielę (2 lutego) mieli zostać wypuszczeni ze szpitala.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski stwierdził, że koronawirus jeszcze do nas nie dotarł, ale jego zdaniem „na pewno dotrze do Polski”. Zwrócił uwagę, że znacznie większym zagrożeniem dla polskich pacjentów jest obecnie wirus grypy, przez który umierają ludzie z osłabioną odpornością i ze współistniejącymi schorzeniami. (luz) © ©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Niemcy mają świadomość, że nowy kryzys migracyjny może wybuchnąć w każdej chwili. W krajach graniczących z Syrią przebywa łącznie co najmniej 5,5 mln uchodźców z tego kraju, w tym ok. 3,5 mln znajduje się w Turcji. Ponadto pełzająca ofensywa syryjskich sił rządowych na kontrolowaną przez dżihadystów prowincję Idlib może spowodować ucieczkę setek tysięcy tamtejszych mieszkańców, którzy będą próbowali przedostać się do Turcji. Już obecnie przy granicy tureckiej koczuje 100–200 tys. osób, a cała populacja Idlibu to ok. 3 mln ludzi. A w Turcji jest też kilkaset tysięcy innych migrantów, głównie z Afganistanu, co łącznie daje liczbę ponad 4 mln. Turcja deklaruje, że nie może już przyjąć więcej uchodźców, i żąda większego wsparcia od Europy. Ponadto wojna domowa w Libii rodzi obawy nowego naporu migrantów afrykańskich szlakiem środkowo-śroziemnomorskim, który wiedzie z Trypolisu do południowych wybrzeży Włoch. Rzym jakiś czas temu zawarł układ z libijskim rządem w sprawie powstrzymywania nielegalnej migracji. Kilkanaście kilometrów na południe od centrum libijskiej stolicy jest już jednak Libijska Armia Narodowa gen. Khalify Haftara, który chce przegonić rząd Fajaza al-Saradzia. Na odsiecz trypolitańskim władzom chce przybyć Turcja. W szeregach armii Haftara walczą natomiast rosyjscy najemnicy. Dlatego kanclerz Merkel najwyraźniej uznała, że porozumienie między Moskwą a Ankarą będzie najlepszym gwarantem pokoju w Libii i przyczyni się do zahamowania presji migracyjnej. Trudno o większe szaleństwo.

SZANTAŻ ERDOĞANA

Niemcom rok 2019 przyniósł w kwestii migracji wiadomość dobrą i złą. Dobra była taka, że liczba wniosków azylowych składanych w Niemczech była w 2019 r. nieznacznie mniejsza niż w 2018 r. Problem

Szaleństwa pani kanclerz



Witold Repetowicz

Ostatnia aktywność międzynarodowa Angeli Merkel, w tym zorganizowana w Berlinie konferencja w sprawie Libii, a także wizyty w Moskwie i Stambule, pokazuje zadziwiającą wręcz konsekwencję szefowej niemieckiego rządu. Niestety, jest to konsekwencja w szaleństwie i specyficznym podejściu do europejskiej solidarności. Innymi słowy – aby uniknąć nowego kryzysu migracyjnego, Merkel podejmuje działania, które go gwarantują

jednak w tym, że niekoniecznie musi to oznaczać spadek całkowitej migracji do Niemiec, ale raczej zwiększenie liczby osób niepodejmujących próby legalizacji swojego pobytu. Prawdziwa zła wiadomość to zwiększenie się liczby nielegalnych przekroczeń granicy UE na szlaku wschodnio-śroziemnomorskim, czyli przede wszystkim z Turcji do Grecji. W 2017 r. trasą tą przedostało się 42 tys. nielegalnych imigrantów, w 2018 r. –

56 tys., a w 2019 już 82 tys. To spowodowało, że Niemcy przestraszyli się, iż zawarty w 2016 r. między Unią Europejską a Turcją deal przestał obowiązywać. Turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan jeszcze zwiększa te obawy, sugerując, że sytuacja się zmieniła i Europa musi dać więcej, jeśli chce, by Turcja dalej blokowała napływ migrantów. Przy czym główną grupą wśród tych migrantów nie są wcale Syryjczycy, ale Afgańczycy.

Kłopot w tym, że Turcja jest częścią problemu, a nie kluczem do jego rozwiązania. Odegrała ona kluczową rolę w syryjskiej wojnie domowej, wspierając różnej maści dżihadystów. Dokonała też trzech interwencji zbrojnych na terenie tego kraju, w których



FOT. UMIT BEKTAŞ/REUTERS/GETTY IMAGES

wyniku ponad 600 tys. osób musiało uciekać ze swoich domów. Erdoğan cały czas żąda zresztą przyzwolenia na kontynuowanie rozpoczętej w październiku ub.r. inwazji na zamieszkaną głównie przez Kurdów Syrię Północno-Wschodnią, co grozi kryzysem uchodźczym na skalę porównywalną z tym, jaki może nastąpić w Idlibie. Ponadto Turcja bynajmniej nie ponosi takiego ciężaru w związku z przebywającymi na jej terytorium migrantami i uchodźcami, jak to stara się przedstawiać. Tylko niewielka część spośród nich uzyskuje jakiekolwiek wsparcie. I wiele wskazuje na to, że turecki prezydent wcale nie chce się ich pozbyć.

W 2015 r., po tym jak kanclerz Merkel w szaleńczym porywie serca prawdziwej „Mutti” wszystkich migrantów ogłosiła, że drzwi do jej kraju stoją szeroko otwarte, turecki prezydent postanowił to wykorzystać i jego służby specjalne stymulowały napływ migrantów. W ten sposób Erdoğan wyłudził od Unii Europejskiej 6 mld euro, a żądał jeszcze zniesienia wiz, co – zważywszy na to, iż w samej Turcji jest coraz więcej osób pragnących uciec przed terrorem nowego sułtana – byłoby kolejnym szaleństwem. Lista żądań tureckiego przywódcy jest zresztą znacznie dłuższa, a jeśli Merkel będzie konsekwentna w swoich szaleństwach, to jeszcze się wydłuży. Gdyby Erdoğan rzeczywiście chciał rozwiązać problem uchodźców z Syrii, to naciskałby nie na Europę, ale na swego serdecznego przyjaciela z Kremla – Władimira Władimirowicza Putina. Obaj przywódcy robią ze sobą coraz więcej interesów, ale jakoś uchodźcy nie znajdują się w agendzie ich współpracy. Tymczasem problem ten można by bardzo łatwo rozwiązać, gdyby Rosja udzieliła gwarancji bezpieczeństwa powracającym do ojczyzny Syryjczykom i zmusiła Al-Asada do zgody na międzynarodowy monitoring nierepresjonowania ich. Na większości terytorium Syrii wojna już się nie toczy. Tyle że ani Rosji, ani Turcji nie zależy na rozwiązaniu tego problemu, tylko na wykorzystywaniu go do destabilizowania i szantażowania Europy.

BERLIŃSKA FARSA

Na Twitterze pojawiło się dość trafne porównanie ewentualnego powierzenia Turcji roli siły pokojowej w Libii do mianowania pedomila kierownikiem przedszkola. Tymczasem kanclerz Mer-

kel spokojnie stała sobie obok Erdoğan, w trakcie swojej wizyty w Stambule, gdy ten roztrzącał wizję „pokojowej” inwazji tureckiej na Trypolis. Nawiasem mówiąc, tureckie działania militarne w Syrii też określał mianem „pokojowych”. Wizyta Merkel w Stambule miała miejsce tuż po zakończeniu wielkiej farsy, która odbyła się w Berlinie. Do stolicy Niemiec przyjechali przywódcy lub szefowie dyplomacji Turcji, Rosji, USA, Egiptu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i wielu innych krajów, by obradować nad tym, jak zaprowadzić pokój w Libii. Przybyli też liderzy zwaśnionych stron: gen. Khalifa Haftar oraz Fajaz al-Saradż. Kilka dni wcześniej, 14 stycznia, w Moskwie Rosja i Turcja

Erdoğan będzie miał w swoim ręku już nie jeden główny szlak migracyjny, ale dwa, a Putinowi na Kremlu pozostanie chichot z głupoty europejskich przywódców

próbowały zmusić Haftara do podpisania porozumienia z Al-Saradżem, które de facto prowadziłoby do usankcjonowania tureckiej obecności militarnej w Trypolisie, a wpływy w Libii dzieliliby między Moskwę a Ankarę. Haftar jednak pośpiesznie odleciał z powrotem do Libii, nie podpisując żadnego dokumentu. Dla Putina był to policzek, bo już przehandlował z Erdoğanem Trypolis w zamian za nieprzeszkadzanie w rosyjsko-asa-dowskiej ofensywie w Idlibie. Tej samej, w związku z którą turecki prezydent wyciąga rękę z żadaniami większej kasy od Europy.

Erdoğan zresztą już przerzucił ok. 2 tys. syryjskich dżihadystów do Libii. Część z nich jednak uznała najwyraźniej, że lepsze są zasiłki w Europie od tureckiego żołdu, bo te pierwsze nie wiążą się z koniecznością brania udziału w cudzej wojnie, w której można w dodatku zginąć. Dlatego coraz więcej jest doniesień, że część z nich zamiast do czołgów wsia-da na łódki i płynie do Włoch, przy czym niektórzy z nich zaliczyli wcześniej „staż” w Państwie Islamskim lub Al-Kaidzie.

Po fiasku spotkania w Moskwie cała nadzieja przywódców Rosji i Turcji na to, że ich plan jednak dojdzie do skutku, spoczęła na niemieckiej kanclerz, która

zresztą odwiedziła również Putina na Kremlu trzy dni przed tym, jak pojawili się tam Haftar i Al-Saradż. Merkel wprost poparła tam rosyjsko-turecki plan „pokojowy” dla Libii. Tydzień później na konferencję w Berlinie nie zaproszono ani Grecji, ani Cypru, choć był nawet przedstawiciel Republiki Konga. W ten sposób Merkel nawiązała do kolejnej tradycji swojej polityki, tj. swoiście (delikatnie mówiąc) pojętej solidarności europejskiej.

Kilka dni po tym, jak Haftar odleciał z Moskwy, spotkał się w Atenach z premier Grecji, która bardzo jednoznacznie wyraziła swoje niezadowolenie z niezaproszenia jej do Berlina. Zapowiedziała też, że nie uzna żadnego porozumienia w sprawie Libii, jeśli nie będzie ono oznaczać unieważnienia paktu, który zawarł Erdoğan z Al-Saradżem w sprawie rozgraniczenia wyłącznych stref ekonomicznych we wschodniej części Morza Śródziemnego. Układ ten, nielegalny z punktu widzenia prawa międzynarodowego, narusza suwerenność Grecji i Cypru oraz ma na celu zagarnięcie przez Turcję cypryjskich złóż gazu. Prowadzi on również do zablokowania projektu gazociągu EastMed, który miałby pompować gaz ze złóż cypryjskich, izraelskich i egipskich na Morzu Śródziemnym do Grecji i dalej do Włoch. Projekt ten od dawna wspierany jest przez Unię Europejską, natomiast zagraża oczywiście interesom zarówno Rosji, jak i Turcji.

PO MYŚLI PUTINA

Jeśli Turcja wyśle swoje wojska do Trypolisu, to będzie mogła doprowadzić do wprowadzenia w życie swojego układu z całkowicie zależnym od siebie rządem Libii i przejąć de facto kontrolę nad całą wschodnią częścią Morza Śródziemnego. Oznaczać to będzie stordowanie planu EastMed, ale przecież Niemcy mają tradycję w „dbaniu” o bezpieczeństwo energetyczne Unii, jak widać na przykładzie Nord Stream. Nie można więc się dziwić, że również w przypadku EastMedu Merkel wspiera interesy Rosji i Turcji, a nie Unii.

Dzięki temu szaleństwu pani kanclerz Erdoğan będzie miał w swoim ręku już nie jeden główny szlak migracyjny, ale dwa, a Putinowi na Kremlu pozostanie chichot z głupoty europejskich przywódców. Na razie jednak turecko-rosyjskie plany zostały zablokowane w Berlinie, m.in. przez Francję, która po cichu wspiera Haftara.



Tsai Ing-wen udała się reelekcja

FOT. CHAN LONG HEI/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Na Tajwanie wygrała demokracja



Maria Kądzierska

Tsai Ing-wen ponownie z mandatem prezydenckim. Oznacza to jeszcze silniejsze zaostrenie relacji z Pekinem. Czy Tajpej może liczyć na wsparcie USA? I jak daleko posunie się Xi Jinping?

W większości krajów, jeśli chodzi o wybory na kluczowe stanowiska w państwie, to sprawy wewnętrzne stanowią decydujący czynnik przesądzający o zwycięstwie lub klęsce. Polityka zagraniczna

odgrywa drugorzędną rolę. Ta prawidłowość nie obowiązuje na Tajwanie.

Nasilająca się agresja ze strony Chin kontynentalnych, fala protestów w Hongkongu przeciwko władzy w Pekinie, a wreszcie poparcie Waszyngtonu dla demokratycznych aspiracji obydwu podmiotów przyczyniły się do zwycięstwa Tsai Ing-wen i jej Demokratycznej Partii Postępu (DPP) w ostatnich wyborach prezydenckich i parlamentarnych.

RAZEM PRZECIW ZJEDNOCZENIU

Wyścig między Tsai Ing-wen a Han Kuo-yu zakończył się 11 stycznia miażdżącym zwycięstwem przewodniczącej DPP, która uzyskała 8,2 mln głosów, równoważnych 57 proc. poparcia. Jej przeciwnik z Kuomintangu – Narodowej Partii Chin – uzyskał 5,5 mln głosów, odpowiadających 38 proc. poparcia.

Jeszcze rok temu niewielu spodziewało się takiego wyniku. Niektóre sondaże pokazywały, że Han ma przewagę nawet 30 punktów procentowych. Jednak DPP wygrała, zyskując także większość w tajwańskim parlamencie z wynikiem 61 miejsc przeciwko 38 dla opozycji.

W ostatnich sześciu wyborach prezydenckich sympatie Tajwańczyków przesunęły się tam i z powrotem między niepodległościowym zielonym obozem dowodzonym przez DPP a przyjazną Pekinowi niebieską grupą, na czele której stoi Kuomintang. Obecny wybór Tsai jest zaskakujący z uwagi na porażkę, którą poniosła w listopadzie 2018 r. w wyborach samorządowych. Partia Kuomintang wygrała wtedy głównie dzięki hasłom poprawy sytuacji ekonomicznej. Han przekonywał, że bliższe kontakty z Pekinem zaowocują napływem chińskich inwestorów, turystów i innymi korzyściami handlowymi. Natomiast Tsai uderzyła wtedy głównie w tony społeczne: program DPP obejmował reformy emerytalne i dodatkowe prawa pracownicze oraz postulat wprowadzenia kontrowersyjnego prawa legalizującego małżeństwa homoseksualne. Jednak Tajwańczycy pokazali jej, że mają poważniejsze sprawy na głowie, a popularność przewodniczącej DPP spadła w tamtym czasie do 24,3 proc. Komentatorzy polityczni wieszczyli zwycięstwo Han Kuo-yu również w wyborach prezydenckich.

FAŁSZ FORMUŁY „JEDEN KRAJ, DWA SYSTEMY”

Obecna prezydent i jej DPP dokonali niezwykle zwrotu w sondażach dopiero po tym, jak przywódca ChRL Xi Jinping oświadczył publicznie w styczniu 2019 r., że Tajwan musi zostać zjednoczony w ramach „jednego kraju, dwóch systemów”, a tym samym podzielić los Hongkongu. Odważna postawa i ostra odmowa Tsai spowodowała, że jej poparcie skoczyło o 10 punktów procentowych w ciągu trzech tygodni. Tajwańczycy zaczęli patrzeć na wydarzenia na ulicach Hongkongu niczym w szklaną kulę, która ukazywała ich przyszłość. Mieszkańcy wyspy zrozumieli, że formuła „jednego kraju, dwóch systemów” to jedynie okres przejściowy do pełnego zjednoczenia Chin pod przywództwem Pekinu.

Wsparcie Tsai dla protestujących w Hongkongu, w tym oferty przyjęcia uchodźców, wzbudziło otwarty gniew Komunistycznej Partii Ludowej, ale podbiły serca wielu mieszkańców Tajwanu,

w szczególności ludzi młodych. Pogłębiający się kryzys w Hongkongu jedynie zaostriżył nastroje antypekińskie na wyspie i spowodował, że wielu wyborców przeniosło swoje poparcie z KMT na DPP. W obliczu słabości przywódców Hongkongu zdolność premier Tsai do przeciwstawiania się naciskom ChRL stała się najważniejszą kwestią dla jej wyborców.

NAJWIĘKSZY PRZYJACIEL TAJWANU

Zacieśnienie stosunków między Waszyngtonem a Tajpej w sytuacji chińsko-amerykańskiej wojny handlowej również wzmocniło poparcie dla Tsai Ing-wen. Donald Trump jest prawdopodobnie najbardziej protajwańskim prezydentem od czasu Richarda Nixona, który odwiedził Chiny w 1972 r. Od momentu objęcia urzędu jako pierwszy prezydent zaostriżył politykę wobec Chin, otwarcie rzucając wyzwanie Xi. Rząd na Tajwanie, podobnie jak reszta świata, przecierał oczy ze zdumienia na widok tej zmiany kursu. W ubiegłym roku Donald Trump podpisał również hongkoński Akt o prawach człowieka i demokracji, który został zatwierdzony przez

amerykański Kongres głosami 417 do 1. Ponadto Trump podpisał kilka przyjaznych Tajwanowi umów handlowych, zatwierdził większą sprzedaż broni na wyspę i nakazał, by okręty amerykańskie częściej przepływały przez Cieśninę Tajwańską.

Jednak obywatele Chińskiej Republiki z niepokojem patrzą w przyszłość. Coraz twardsza polityka Pekinu prowadzi do handlowej alienacji Tajwanu. Odkąd w 2016 r. prezydent Tsai doszła do władzy, Chiny zwiększyły presję na Tajpej, odcinając formalną, dyplomatyczną komunikację, ograniczając liczbę turystów z kontynentu, blokując udział Tajwanu w organizacjach międzynarodowych oraz zmniejszając dyplomatyczne działania wyspy poprzez prowokacje wobec jej sojuszników.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

Nie ulega wątpliwości, że całkowite odcięcie Tajwanu od chińskiego rynku liczącego 1,3 mld konsumentów zdecydowałoby o gospodarczym upadku chińskiej republiki. Jednak plan Xi Jinpinga na kolejne 50 lat wprost zakłada wchłonięcie przez ChRL wszystkich chińskich podmio-

tów. Czy ten plan się powiedzie? Zależy to w dużej mierze od decyzji podejmowanych przez Stany Zjednoczone. Gdyby USA wycofały swoją obecność wojskową z regionu, Tajwan zostałby podbity kilka dni po Hongkongu przy pełnym poparciu Chińczyków z kontynentu, ponieważ marzenie o wielkim Państwie Środka zakłada istnienie tylko jednych Chin.

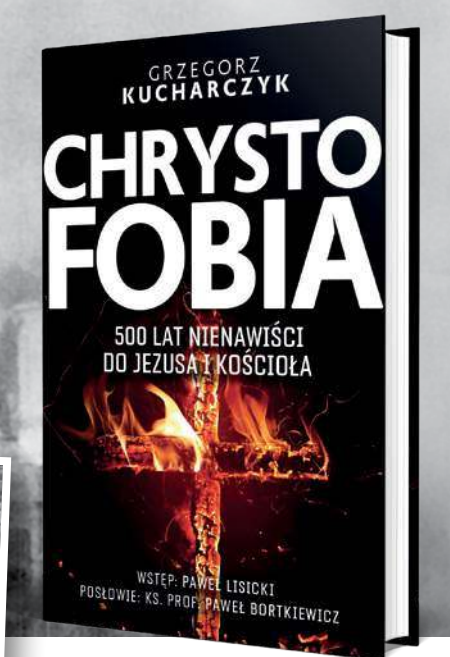
Wyniki wyborów na Tajwanie świadczą o realizmie politycznym obywateli wyspy, którzy po wydarzeniach w Hongkongu wyraźnie opowiadają się przeciw zjednoczeniu z kontynentem. Wcześniej duża część, szczególnie młodych, ludzi sympatyzowała z formułą „jednego kraju, dwóch systemów”. W czasie kolejnej kadencji Tsai Ing-wen przyjdzie im pewnie jeszcze mocniej zacisnąć pasa i utrzymać optymalne stosunki z Waszyngtonem.

Jak długo Tajwan wytrzyma, prowadząc tak niepewną grę? Nie wiadomo. Na pewno ponownie oddając władzę w ręce Demokratycznej Partii Postępu, odsunął widmo zjednoczenia o kilka lat. Nie ulega jednak wątpliwości, że cechą Pekinu jest wielka cierpliwość.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

500 LAT NIENAWIŚCI DO JEZUSA CHRYSTUSA I KOŚCIOŁA



PATRONAT MEDIALNY:



MARCIN MAKOWSKI: Polska Grupa Lotnicza – a wraz z nią LOT – ogłosiła 24 stycznia zakup niemieckich linii lotniczych Condor. To fuzja bez precedensu w skali rodzimego lotnictwa. Kiedy ta historia i negocjacje się rozpoczęły?

RAFAŁ MILCZARSKI: Nasze starania o zakup Condora rozpoczęły się krótko po tym, jak po upadku biura podróży Thomas Cook, dla którego linia latała, wdrożono procedury finansowego parasola ochronnego ze strony niemieckich władz. Negocjacje rozpoczęliśmy zatem już w październiku 2019 r.

Nie jest tajemnicą, że do wyścigu o Condora ruszyły również dwie inne spółki, ale poza PGL nie było innego operatora lotniczego. Dlaczego?

Nie chcę wypowiadać się w imieniu innych linii lotniczych, każdy ma swoje długodystansowe plany, ale było w Niemczech kilka kryzysów, m.in. z Air Berlinem i Germanią, które mogły zrazić potencjalnych nabywców. Poza tym nie wszystkim liniom charakterystyka działalności Condora pasuje, tak jak LOT. Z naszej perspektywy nie ma obszaru, który by się nakładał, zamiast tego obserwujemy efekt synergii. Jest jeszcze jeden powód takiego stanu rzeczy – nie każdy przewoźnik mógłby uczestniczyć w przetargu ze względu na sytuację konkurencyjną.

Powiedzmy wprost, chodzi o Lufthansę.

Nie chciałbym w tym momencie wymienić przewoźników, ale ze względu na zachowanie konkurencyjności niemieckiego rynku nie wszyscy mogliby występować w tym procesie.

Wspomniał pan o synergii, czyli wzajemnym uzupełnianiu się obydwu linii. Kancelaria premiera chwali się w infografikach publikowanych w mediach społecznościowych, że nowy nabytek PGL może wygenerować aż 90 mln euro zysku rocznie. Realistyczny scenariusz?

Na tym etapie wolałbym nie podawać konkretnych liczb, ale na pewno spodziewamy się wzrostów, inaczej byśmy Condora nie kupowali. Mamy do czynienia z wieloma zaawansowanymi systemami – na których działają obydwie linie – służącymi do rezerwacji biletów czy obsługi pasażerów i będziemy pracować nad ich zintegrowaniem, aby zwiększyć efektywność kosztową. Istnieje również synergia w obszarze pozyskiwania samolotów, utrzymywania sprawności floty i pozyskiwania części zamiennych. O tym wszystkim



Z Rafałem Milczarskim, prezesem Polskiej Grupy Lotniczej oraz PLL LOT

rozmawia Marcin Makowski

Kupiliśmy Condora, bo to atrakcyjny biznes



Rafał Milczarski, prezes Polskiej Grupy Lotniczej oraz PLL LOT (z prawej), z Ralfem Teckentrupem, prezesem Condora
FOT. RALPH ORLOWSKI/REUTERS/FORUM

znacznie wyższa. LOT ma duże doświadczenie w zakupie nowych maszyn i negocjacjach oraz świadomość ciężkiej pracy, którą musimy wykonać. Krytycy będą zawsze. A my się skupiamy na biznesie i na tej podstawie nasi pasażerowie i pracownicy nas oceniają. Owszem, boeingi 767 Condora są dosyć wiekowe i będą podlegać wymianie, podobnie jak w następnej kolejności modele 757, ale to nie jest coś, czego nie jesteśmy w stanie zrobić.

Na konferencji prasowej we Frankfurcie mówił pan, że zakup nie byłby możliwy, gdyby nie strategia zrównoważonego rozwoju wprowadzona przez premiera Morawieckiego i wsparcie polskich banków. Na czym ono polegało?

Ładnie pan to ujął, mówiąc o „wspieraniu” instytucji finansowych, ale one przede wszystkim finansują projekt, który musi się zwrócić. To normalny kredyt...

Wiadomo, że nie mówimy o altruizmie, ale pytam o sam mechanizm. Jak państwo polskie włączyło się w zakup Condora?

Tak jak komercyjny bank, który otrzymuje dobry biznesplan i chce zainwestować w pozytywnie rokujący projekt. Odnosnie do strategii zrównoważonego rozwoju być może nie odkryję wielkiej tajemnicy, ale to decyzja Mateusza Morawieckiego spowodowała, że Polska Grupa Lotnicza w ogóle powstała. Bez silnego i długoterminowego wsparcia struktur państwowych i pracy zarządu, aby uratować LOT, dzisiaj nie byłoby komu czego przejmować.

13 czerwca 2013 r. prezydent Bronisław Komorowski podpisał ustawę umożliwiającą sprzedaż większościowego pakietu akcji Polskich Linii Lotniczych LOT. Sytuacja mogła być dzisiaj odwrotna?

Patrzę na tę sytuację nie jako polityk i prezes, ale jako ekonomista. Od 2016 r. do końca 2017 r. wyciągaliśmy spółkę z ogromnych kłopotów. Wcześniej było niewiele gotówki na koncie oraz zobowiązania finansowe, których na dłuższą metę nie dawało się uregulować. W tej chwili mamy książkowy przykład tego, jak – gdy jest niezły plan i wyleje się dużo krwi, potu i łez – można uratować firmę przed widmem upadku. Gdyby nie te doświadczenia wyciągania spółki na prostą premier mógłby się nie zdecydować na utworzenie PGL, a my nie mielibyśmy pewności, że

w detalach będziemy mogli rozmawiać dopiero po pełnym przejęciu.

Czyli od kwietnia.

Zgadza się, ok. 15 kwietnia mamy zamknąć całą transakcję, a do tego czasu nie możemy wykonywać żadnych działań. Spodziewam się, że LOT w ciągu najbliższych trzech lat pozyska co najmniej dziesięć samolotów long-haulowych [dalekiego zasięgu – przyp. M.M.], a Condor dwadzieścia. Uważam, że procesy zakupowe obliczone na mniejszą liczbę maszyn byłyby mniej skuteczne niż na większą w przypadku dwóch połączonych firm.

Ile jest prawdy w teorii, że PGL przejmie niemieckie linie, ponieważ tym samym „ucieka do przodu” po problemach z maszynami Boeinga – MAX-ami i silnikami do Dreamlinera? Od kwietnia flota PGL powiększy się o airbusy A320 i A321 w barwach Condora.

Kupiliśmy te linie przede wszystkim dlatego, że są atrakcyjnym biznesem. Nie zmienia to jednak tego, że po przejęciu Condora będziemy operatorem wielu samolotów Airbusa, tracąc stygmat linii, która lata właściwie tylko na boeingach. Dzięki temu powaga rozmów z dostawcami samolotów zdecydowanie wzrośnie, a nasze negocjacje zyskają na wiarygodności, bo będziemy mogli płynnie wejść w jeden albo drugi typ samolotów.

Jak pan jednak odpowiada na pojawiającą się w mediach krytykę, że flota Condora jest stosunkowo stara – niekiedy 20-letnia, więc nie warto było w nią inwestować.

Dla mnie to, że w ciągu kilku lat będziemy w stanie wymienić flotę dalekodystansową, nie jest kwestią negatywną, tylko pozytywną. Wyobrażam sobie również, że gdybyśmy mieli tylko nową flotę, kwota przejęcia firmy byłaby

■ podobnie możemy zrobić z Condorem. W tym momencie, zarówno jako prezes LOT-u, jak i PGL jestem w stanie lepiej kierować wszystkimi spółkami, które wchodzi w skład tego organizmu.

Nagle dochodzi do niego jednak wymagająca marka z zupełnie innego rynku, z innymi wyzwaniami i swoją ponad 60-letnią tradycją.

Owszem, ale historia Condora to siła, z której mamy zamiar korzystać. Nie będziemy nagle przemalowywać samolotów i wszystkich ujednolicić, bo mówimy o marce niemal tak doświadczonej jak Lufthansa, która jest bardzo ceniona przez niemieckich pasażerów.

Również skala przedsiębiorstw pod względem tras (90 połączeń) oraz pasażerów (ponad 9 mln rocznie) jest porównywalna. Czy PGL jest w stanie z dnia na dzień wchłonąć porównywalną ze swoją strukturę? Istnieją obawy, że mogliście ukroić zbyt duży kawałek tortu i teraz trudno będzie go skonsolidować.

Nie zamierzamy się niczym zachłystywać, bo wiemy, na co się zdecydowaliśmy. Condor to działająca organizacja, która ma swój zarząd, dyrektorów i wyszkolonych pracowników. W okresie ochrony przed wierzycielami i udzielenia pożyczki państwowej spółka przeszła konieczną restrukturyzację i obecnie jest zdrowa. Nie zamierzamy jednak niczego niszczyć, tylko budować i poprawiać tam, gdzie trzeba.

Mówi pan o utracie części przywilejów socjalnych, ale nie jest tajemnicą, że LOT wyszedł niedawno z kryzysu wizerunkowego spowodowanego strajkami części załogi naziemnej i personelu lotniczego. Teraz ci sami ludzie będą widzieć, że pracownicy tej samej spółki z Condora za podobną pracę będą zarabiać w Niemczech więcej. Nie obawia się pan, że protesty wrócą?

Dla każdego rozsądnego człowieka różnica w średniej płacy między naszymi państwami jest oczywista. Ani my nie oczekujemy, że wynagrodzenie pracownika w Niemczech będzie się obniżało do naszych standardów, ani nie zakładamy, że nagle w Polsce urośnie. To są dwa inne reżimy rynkowe i podatkowe, zupełnie inne średnie ceny uzyskuje się na tych rynkach lotniczych i inne są koszty. Oczywiście, chcemy zmierzać powoli do zbieżności wynagrodzeń, bo zależy nam na tym, aby pensje w Polsce docelowo szły w górę, ale chcę podkreślić to jasno. LOT działa jako niezależna firma od Condora, a Condor od LOT-u. Elemen-

tem spinającym będzie Polska Grupa Lotnicza. Również ze względu na tę autonomię nie będzie jednego systemu wynagrodzeń czy dokumentacji. Brak zrozumienia dla odmiennych warunków rynkowych będzie najprostszym sposobem do doprowadzenia jednej z firm do bankructwa. Tutaj nie ma miejsca na emocje, tylko profesjonalne zarządzanie i na tym się skupimy.

Co zmieni się od kwietnia od strony pasażerskiej? W jaki sposób będzie wyglądała rezerwacja biletów na trasy obsługiwane przez nowy nabytek PGL, co z przesiadkami, cenami?

Jest dla mnie oczywiste, że po zakończeniu transakcji będziemy chcieli, aby nasi pasażerowie korzystali z połączeń obydwu firm, żeby mogli wybrać dwa razy więcej kierunków. Oczywiście docelowo będzie to oznaczało zwiększenie liczby rejsów między Warszawą a Frankfurt.

Czyli Frankfurt będzie trzecim, po Warszawie i Budapeszcie, hubem PGL?

Z Frankfurtu odlatują prawie wszystkie samoloty dalekodystansowe Condora, więc w naturalny sposób, jeśli będziemy chcieli umożliwić płynne połączenia do nowych destynacji, trzeba będzie to miasto potraktować jako port

Będziemy chcieli, aby nasi pasażerowie korzystali z połączeń obydwu firm, żeby mogli wybrać dwa razy więcej kierunków

przesiadkowy. Nie jest to jednak hub w klasycznym rozumieniu tego terminu, bo Condor wykonuje z tego portu loty właściwie tylko „z punktu do punktu”, nie mając rozwiniętego zaplecza transferowego. I nie o to chodzi, aby miał.

Z perspektywy LOT-u i polskiego pasażera ważne jest, aby można było wykorzystać wzajemne potencjały obu linii. W praktyce oznacza to podróż na jednym bilecie, w ramach jednej grupy, która będzie charakteryzowała się tymi samymi, wysokimi standardami obsługi.

Jak strategia rozwoju linii, w tym zakup Condora oraz rozwój floty, ma się do planów budowy CPK?

LOT wchodzi na zapowiadaną w strategii rentownego wzrostu drogę konsolidacji w regionie. Jesteśmy w posiadaniu udziałów estońskiej spółki Regional Jet, która jest obecnie dobrze prosperującym przedsiębiorstwem. Transakcja przejścia przez PGL linii lotniczych Condor to kolejny krok wykorzystujący potencjał rynku lotniczego w tym regionie. Dbamy jednocześnie o rozwój LOT-u – podpisaliśmy właśnie z brazylijskim Azulem list intencji dotyczący leasingu 18 embraerów E195 z opcją rozszerzenia o kolejne 14 egzemplarzy w perspektywie kolejnych dwóch czy trzech lat. Prace nad CPK trwają, a sam projekt budzi zainteresowanie wielu zagranicznych inwestorów, co mnie absolutnie nie dziwi, ponieważ trzeba jasno podkreślić, że jest to projekt nie polityczny, ale w pełni ekonomicznie uzasadniony. Polsce i samemu LOT-owi niezmiernie potrzebny. Będzie on służył też wszystkim pasażerom z Europy Środkowo-Wschodniej.

Na koniec chciałbym zapytać o to, jak zmienił się LOT po zniesieniu obowiązku wizowego do Stanów Zjednoczonych. Jak wiemy, odnotowano wzrost zainteresowania biletami, ogłosiliście również otwarcie połączenia do San Francisco i Waszyngtonu. Jakie będą następne cele?

Faktycznie, Ameryka Północna to jeden z naszych najważniejszych kierunków rozwoju, a zniesienie wiz, o które od lat zabiegaliśmy i do czego aktywnie się przyczyniliśmy, oznacza zwiększenie popularności połączeń LOT-u do USA. Mamy jednak zamiar równoważyć rozwój nowych tras, opierając go zarówno na Ameryce, jak i na Azji. To są nasze dwa skrzydła i nie bez powodu obok połączeń, o których pan wspominał, w styczniu otworzyliśmy rejsy na nowoczesne lotnisko Pekin Daxing. To rozsądne podejście opierające się na zrównoważonych źródłach przychodu. Nie należy się spodziewać fundamentalnych zmian, tylko rozwoju dotychczasowej strategii. Zaręczam bowiem, że zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w całej Azji mamy jeszcze wiele kierunków, które planujemy niedługo ogłosić i do których chcemy z naszymi pasażerami latać. Teraz, z nowym partnerem w ramach jednej grupy, będzie to jeszcze łatwiejsze.



O szansach dalszego dynamicznego rozwoju Europy Środkowo-Wschodniej debatowali w Davos prezes Banku Pekao SA Marek Lusztyn, ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, odpowiedzialny za finanse i strategię wiceprezes OTP Bank László Bencsik, członek zarządu Adris Grupa Marko Remenar, prezes GPW Marek Dietl, Jurica Novak, partner zarządzający w McKinsey & Company, prezes PZU Paweł Surówka, szef rady nadzorczej Ten Square Games, Maciej Zużalek, prezes i założyciel spółki Netguru Wiktor Schmidt.



W dyskusji na temat kooperacji rządów z sektorem finansowym wzięli udział: prezes Banku Pekao SA Marek Lusztyn, minister finansów Tadeusz Kościński, prof. Nouriel Roubini, prezesi Charlotte Hogg z Visa Europe i Gilberto Caldart z MasterCard oraz László Bencsik reprezentujący bank OTP. Dyskusję moderowała Anna Celner, lider praktyki Global Banking and Capital Markets w Deloitte.

Chociaż współpraca między bankami i instytucjami publicznymi pogłębia się nieprzerwanie od dwóch dekad, to w ciągu ostatnich 10 lat istotnie przyspieszyła – zauważają analitycy firmy Deloitte. Wynika to zwłaszcza z przyspieszenia trendu digitalizacji gospodarek i sektora bankowego. Różne formy współpracy poprzez stymulowanie inwestycji oraz dostarczanie usług publicznych pomagają przyspieszyć wzrost gospodarczy, umożliwiając jednocześnie ograniczanie kosztów i ryzyka.

– Współpraca administracji państwowej z sektorem bankowym generuje ogromne korzyści dla całej gospodarki. Obserwujemy to na co dzień. Projekty współpracy pomagają Polsce poprawić usługi publiczne. Dzięki takiej kooperacji gospodarstwa domowe i firmy mogą korzystać z lepszych usług, dostępu do technologii i bardziej przystępnego finansowania – podkreślał w trakcie dyskusji Marek Lusztyn, prezes zarządu Banku Pekao SA. – Współpraca pomaga także polskim bankom lepiej reagować na nowe technologie i regulacje. Dzięki niej możemy osiągać skalę niezbędną do wprowadzania nowych rozwiązań oraz zwiększać efektywność kosztową – dodał.

Jak zaznaczył prezes Lusztyn, to dogodne nie tylko dla banków – korzystających z wyższych wolumenów klientów biznesowych – lecz także dla ich klientów: przedsiębiorstw. Kiedy rządy udzielają gwarancji kredytowych i subwencji za pośrednictwem banków, klienci

Klucz do sukcesu

O pozytywnym wpływie współpracy rządów z bankami i perspektywach dalszego rozwoju Europy rozmawiali w Davos uczestnicy debat zorganizowanych w ramach Światowego Forum Ekonomicznego przez Bank Pekao SA we współpracy z Deloitte oraz McKinsey

i firmy mają lepszy dostęp do kredytów. A stabilne finansowanie w przyjaznym otoczeniu regulacyjnym ułatwia prowadzenie biznesu.

– Przykładem udanej współpracy banku z rządem jest ta w ramach programu „Mieszkanie dla Młodych”. Pekao, jako główny dostawca finansowania potrzeb mieszkaniowych, przysłużył i obsługiwał aż 48 proc. kredytów hipotecznych w ramach „MdM”. Pomogliśmy w ten sposób wielu tysiącom rodzin sfinansować zakup mieszkania. Kolejnym ogromnym sukcesem, z którego korzystać mogą także nasi klienci, są gwarancje COSME i program gwarancji de minimis. Dzięki nim małe i średnie firmy mogą finansować kredyty obrotowe i inwestycyjne – zauważył prezes Pekao. Jeszcze inny przykład to program „Polska bezgotówkowa” – wspólna inicjatywa wydawców kart, agentów rozliczeniowych, organizacji Visa i MasterCard oraz ZBP i Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii. Dzięki programowi obrót bezgotówkowy w Polsce staje się codziennością dla tysięcy firm i ich klientów. Płatności stają się wygodniejsze

dzięki technologii, za którą odpowiadają banki, i bezpieczniejsze dzięki przepisom wprowadzanym przez rządy.

Szansą dla gospodarek państw regionu Europy Środkowo-Wschodniej (CEE) jest także rozwój talentów oraz nowych technologii. Do takiego wniosku doszli uczestnicy zorganizowanej przez Pekao debaty „Rosnące ambicje Europy Środkowej, czyli jak wyzwolić nowy potencjał wzrostu Starego Kontynentu?”. Zastanawiali się oni, czy gospodarki krajów regionu CEE po 30 latach szybkiego wzrostu mogą być nadal motorem rozwoju gospodarczego dla całego kontynentu. – Aby utrzymać wysokie tempo wzrostu, uniknąć tzw. pułapki średniego dochodu i zabezpieczyć rosnące ambicje swoich społeczeństw, kraje Europy Środkowo-Wschodniej muszą opracować i przyjąć nowy model gospodarczy – podkreślał w Davos Marek Lusztyn, prezes zarządu Banku Pekao SA.

Jak dodał, przed krajami regionu stoi teraz wiele wyzwań, na które muszą jak najszybciej odpowiedzieć. Najważniejsze z nich to m.in. negatywne trendy demograficzne, wzrost

kosztów pracy, ryzyko zmniejszenia dostępności funduszy europejskich po 2020 r., a także niska wydajność pracy. – Kraje CEE powinny przekształcić gospodarki zorientowane na pracowników w wysoce innowacyjne, oparte na wiedzy i technologii model. Aby tak się stało, konieczna jest zarówno automatyzacja procesów w celu zmniejszenia presji na rynek pracy i poprawy efektywności, jak i szeroko pojęta digitalizacja sektora prywatnego i publicznego – zaznaczył Lusztyn.

W nowym modelu gospodarki krajów regionu, zdaniem prezesa Pekao, należy położyć większy nacisk na badania i rozwój oraz promocję i wsparcie ekspansji zagranicznej firm, które mają szansę stać się globalnymi czempionami.

Zgodnie z analizami ekspertów firmy doradczej McKinsey, którzy zaprezentowali w Davos wyniki analiz dotyczących potencjalnego modelu rozwoju Europy Środkowej, kraje regionu muszą skoncentrować się na nowych czynnikach wzrostu, wykorzystując m.in. takie atuty jak kapitał ludzki. – Płynne przejście do gospodarki opartej na wiedzy będzie wymagało spełnienia wielu warunków, takich jak zapewnianie odpowiedniego poziomu wykształcenia i umiejętności technologicznych. To oznacza konieczność wprowadzenia licznych zmian, choćby w systemie edukacji, przyciąganie zagranicznych talentów, a także przeciwdziałanie wyciekowi talentów z kraju – podkreślał Marek Lusztyn.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Cena braku
przezorności

Jak wiadomo, przewidywanie jest dziecinnie proste, pod warunkiem że nie chodzi o przyszłość.

Po raz kolejny okazało się to przy okazji grudniowego skoku inflacji – do 3,4 proc. (licząc rok do roku), z 2,6 proc. w listopadzie. Jak o tym przypomnieli „Rzeczpospolita”, jeszcze pod koniec grudnia ankietowani przez nią ekonomiści oczekiwali, że inflacja w 2020 r. wyniesie 2,9 proc. – to średnia z ich rachub, natomiast skrajnie pesymistyczna prognoza mówiła o 3,3 proc. A tymczasem... już w grudniu 2019 r. przekroczyła ona ten poziom, w ślad za czym – w zaledwie kilka dni – mocno ewoluowały także przewidywania analityków na 2020 r. – w niekorzystnym dla Polaków kierunku. Chociaż oczywiście i do tych prognoz nie ma się co specjalnie przywiązywać, to roztropność podpowiada, by zawsze szykować się na najgorsze, zwłaszcza jeśli nie brakuje sygnałów, że ono nadciąga. I tego właśnie mi brakuje – rzecz jasna, nie tylko w polskiej polityce monetarnej, lecz w niej także.

Niełatwo wskazać, kiedy dokładnie to inflacyjne „najgorsze” nadciągnie, ale nietrudno przewidzieć, że to się stanie, gdyż obecna polityka monetarna, w połączeniu z tak radykalnym pobudzaniem konsumpcji za pomocą transferów socjalnych („500+” na każde dziecko, 13. i 14. emerytury itd.), raczej niechybnie prowadzi do wzrostu tempa inflacji – na tyle dużego, że grudniowe 3,4 proc. może się przy nim wydać nie aż tak znaczące.

A o tym, że z wolna (ale jednak chyba coraz szybciej) się do tego odczytu zbliżamy, świadczą choćby nienotowane od niemal 20 lat poziom tzw. inflacji bazowej, a więc nieobejmującej wzrostu cen paliw, energii i żywności, który w grudniu 2019 r. sięgnął 3,1–3,2 proc. Czyli poziomu, którego Polacy nie doświadczali od roku 2002. Ten czarny scenariusz jest tym bardziej prawdopodobny, że najbliższe miesiące przyniosą – już przynoszą – niemało dodatkowych inflacyjnych impulsów: wzrost cen energii, powiększony o efekt odwleczenia ich o rok, wzrost cen używek w związku z podwyżką akcyzy, drastyczny wzrost cen odbioru śmieci, skokowy wzrost płacy minimalnej itd.

A co na to nasza „gołębia” od kilku lat Rada Polityki Pieniężnej (RPP), sterująca polityką monetarną? Albowiem przypomnijmy: Narodowy Bank Polski ma zadanie utrzymać inflację na poziomie 2,5 proc., tolerując odchylenia w wysokości maksymalnie 1 punktu procentowego w każdą stronę, czyli od 1,5 do 3,5 proc. Otóż – jak łatwo było przewidzieć – RPP nadal nie widzi powodów do rewizji swej „gołębiej” polityki, mimo że poziom 3,5 proc. zapewne szybko zostanie przekroczony. I im dłużej nie będzie ich widziało, tym trudniej będzie potem ugasić inflacyjny pożar, który wznieca taką polityką. Tym Polakom, którzy pamiętają poprzedni inflacyjny koszmar, nie trzeba przypominać, co to będzie oznaczało (już zaczyna oznaczać) dla ich portfeli. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Człowiek
kontra wirus

Podobnie jak miliardy innych ludzi z niepokojem obserwuję rozprzestrzenianie się wirusa z Wuhan i coraz większe żniwo śmierci. Nie wiemy, jak to się skończy, czy epidemię uda się powstrzymać, jak poprzednio SARS, ptasią grypę i ebolę, które udało się opanować, czy przerodzi się ona w pandemię, gdzie setki milionów zostaną zarażone, a miliony, głównie osoby starsze 50+, umrą. Wirus jest groźny, ponieważ nosiciel zaraża już na etapie inkubacji, gdy nie są widoczne symptomy choroby. Jedno kichnięcie nosiciela wirusa, który nie zdaje sobie z tego sprawy, w metrze lub autobusie, i mamy nowych nosicieli.

Zastanówmy się, jakie zmiany społeczne i polityczne może wywołać pandemia wirusa, który może zabić miliony ludzi. Chiny pokazały, że akceptowalne stają się metody znane z polskiego stanu wojennego, czyli zakaz przemieszczania się, zatrzymywanie i sprawdzanie przechodniów, ograniczenie różnych swobód obywatelskich, odwołanie wydarzeń sportowych, kulturalnych i naukowych. Może dojść do izolacji części społeczeństwa od reszty, do blokady miasta, regionu lub nawet kraju. Na przykład można się spodziewać, że jeżeli we Francji doszłoby do gwałtownego wzrostu liczby zarażeń wirusem z Wuhan, to inne kraje UE ograniczą komunikację z Francją przez odwołanie lotów i obowiązkowe kontrole medyczne na granicach. Strefa Schengen przestanie istnieć.

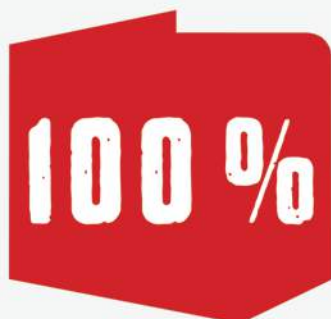
Pojawią się podziały na „nas” zdrowych i „tamtych” chorych.

W zależności od skali epidemii można przewidywać różne reakcje rządów i instytucji ponadnarodowych. W skrajnym przypadku można spodziewać się rozwoju technologii służących totalnemu monitoringowi organizmu każdego człowieka. Jeżeli będziemy zbierali takie dane dla miliardów ludzi, to wówczas można wytrenować modele uczenia maszynowego, żeby nie tylko rozpoznawały osoby chore, lecz także przewidywały, gdzie taka epidemia może wybuchnąć, dzięki czemu można będzie podjąć wcześniejsze działania i zapobiec epidemii. Takie dane można pozyskać już dziś, integrując ze sobą informacje z Internetu, telefonów komórkowych, kamer monitoringu, satelitów, smart TV... Robią to wielkie koncerny, takie jak Google, Facebook czy Tencent, ale w przypadku zagrożenia istnienia ludzkości mogą zostać znacjonalizowane i wykorzystane do stworzenia systemu globalnego monitoringu ludzkości.

Można sobie wyobrazić, że silnie wzrośnie rola WHO, światowej organizacji zdrowia, która prze-poczwarzy się w WHTO, czyli światową organizację zdrowia i technologii, postęp technologiczny zaś zostanie podporządkowany zasadom przetrwania człowieka.

Wiele wskazuje na to, że albo dojdzie do wyżej wymienionych zmian, albo ludzi zamiast 10 mld będzie miliard. ©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





Rekordowe inwestycje w wygodną kolej

Spółki Grupy PKP realizują bezprecedensowe programy inwestycyjne, dzięki którym polska kolej zyska oblicze na miarę XXI w.

KRAJOWY PROGRAM KOLEJOWY

PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. realizują rekordowy program inwestycyjny, którego głównym celem jest wyrównanie dostępności komunikacyjnej w Polsce, zwiększenie możliwości komfortowych podróży w miastach i aglomeracjach oraz stworzenie lepszych warunków dla kole-

jowych przewozów towarowych. Wartość Krajowego Programu Kolejowego (KPK), obejmującego ponad 230 projektów, to blisko 76 mld zł. Jego finansowanie zapewniają znaczące środki z programów europejskich i budżetu państwa.

Już teraz podróżni mogą korzystać z pierwszych efektów KPK. Tylko w 2019 r. PLK udostępniły na modernizowanych trasach ponad 300 komfortowych peronów, a to dopiero początek. Wraz z postępowaniem inwestycji modernizowane są stacje i przystanki na najważniejszych liniach kolejowych kraju: Lublin – Warszawa, Kraków – Katowice, Poznań – Szczecin czy

Kraków – Zakopane. Stacje są też konsekwentnie dostosowywane do potrzeb osób o ograniczonych możliwościach poruszania się. Nie zapomniano również o mniejszych miejscowościach. Tylko od 15 grudnia ub.r. udostępniono podróżnym 18 nowych przystanków, które zapewniają dostęp do kolei. Nowe obiekty służą podróżnym m.in. na Podlasiu, Dolnym Śląsku, Lubelszczyźnie czy Opolszczyźnie.

Jednym z priorytetów KPK jest także poprawa bezpieczeństwa pasażerów. W związku z tym na sieci kolejowej zamontowano setki nowych rozjazdów, a nowoczesne systemy dbają o bezpie-

czeństwo na kilku tysiącach kilometrów nowych torów. Ponadto bezkolizyjne skrzyżowania oraz dodatkowe zabezpieczenia na przejazdach kolejowo-drogowych ułatwiają komunikację na drogach. Jednocześnie PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. nie zapominają o przewoźnikach towarowych. Oddawane są lepiej przygotowane do przewozu ładunków trasy, m.in. na Górnym Śląsku, a także modernizowane są linie prowadzące do portów morskich.

PKP CARGO – ZAKUP I MODERNIZACJA TABORU

Inwestycje spółki PKP Cargo S.A., której głównym obszarem działalności są kolejowe przewozy towarowe, do 2022 r. będą się koncentrować na zakupie i modernizacji taboru. Obecnie spółka realizuje największe w historii zakupy taboru intermodalnego: wagonów platform do przewozów kontenerowych i lokomotyw wielosystemowych. Spółka zakupi 1156 nowych platform i pięć lokomotyw za ponad 550 mln zł, z czego prawie 276 mln zł stanowi unijna dotacja. W ubiegłym roku podpisano w tej sprawie dwie umowy: z firmą Tatravagónka ze Słowacji oraz z konsorcjum Wagony Świdnica i Astra Rail. Wagony i lokomotywy będą wykorzystywane do realizacji krajowych oraz zagranicznych przewozów intermodalnych na szlaku handlowym północ-południe oraz na unijnym odcinku Nowego Jedwabnego Szlaku. Ważne inwestycje będą też prowadzone na terenie Małaszewicz, gdzie PKP Cargo S.A. ma centrum logistyczne z infrastrukturą torową. Chodzi przede wszystkim o zwiększenie przepustowości Małaszewicz w związku z perspektywami wzrostu w kolejnych latach przewozów kolejowych na trasie Chiny – UE – Chiny.

„PKP INTERCITY – KOLEJ DUŻYCH INWESTYCJI”

Inna spółka Grupy PKP, PKP Intercity, również realizuje bezprecedensowy program inwestycyjny. W rok 2020 weszła z umowami podpisanymi blisko na 4,3 mld zł brutto, których pierwsze efekty realizacji już widać na torach. Program „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji” ma być kołem zamachowym dla rozwoju przewoźnika, z którego usług skorzystało w ubiegłym roku blisko 49 mln pasażerów. To niemal o 18 mln podróży więcej niż w 2015 r., co oznacza wzrost aż o 57 proc. w ciągu zaledwie czterech lat. Na wysokie zainteresowanie

usługami spółki wpływa coraz większa dostępność kolei i stale rosnący komfort podróżowania.

To dlatego strategia przewoźnika zakłada zakup i modernizację taboru oraz zaplecza technicznego. Do 2023 r. spółka przeznaczy na ten cel ponad 7 mld zł, przy aktywnym wykorzystaniu funduszy unijnych i środków z Europejskiego Banku Inwestycyjnego oraz współpracy z Centrum Unijnych Projektów Transportowych i właściwymi ministerstwami. Po zakończeniu programu inwestycyjnego w 2023 r. tabor PKP Intercity będzie w 80 proc. nowy lub zmodernizowany. To oznacza, że największy polski przewoźnik kolejowy kupi 12 nowych i zmodernizuje 14 istniejących elektrycznych zespołów trakcyjnych, kupi 118 lokomotyw elektrycznych oraz zmodernizuje blisko 200 lokomotyw elektrycznych i spalinowych. Do tego trzeba dodać ogromne inwestycje wagonowe – PKP Intercity zmodernizuje ok. 700 oraz kupi 185 komfortowych i nowoczesnych wagonów.

Te zmiany odczują przede wszystkim pasażerowie, ponieważ w 94 proc. pociągów pasażerowie skorzystają z klimatyzacji, a w co najmniej 77 proc. z nich z bezprzewodowego Internetu. Z tych udogodnień już teraz korzystają osoby podróżujące z PKP Intercity wagonami, które zmodernizował zakład H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych w Poznaniu. Do tej pory tabor PKP Intercity został wzmocniony łącznie o 204 nowoczesne wagony, spośród ponad 400, których dotyczą już podpisane umowy modernizacyjne. Z końcem listopada 2019 r. zakończył się też montaż Wi-Fi we wszystkich dostępnych składach Pendolino. Tym samym usługa bezprzewodowego Internetu jest dostępna we wszystkich obecnie wykorzystywanych elektrycznych zespołach trakcyjnych przewoźnika. W grudniu ub. roku każdy załogowany w pociągu użytkownik skorzystał z Wi-Fi średnio przez ok. dwie godziny, co oznacza, że Internet towarzyszy pasażerom pociągów Pendolino przez znaczną część podróży. Na tym jednak nie koniec inwestycji. Zawarte przez PKP Intercity z polskimi producentami umowy zakładają odebranie w najbliższych latach kolejnych nowoczesnych pojazdów.

INWESTYCJE, INNOWACJE I CARSHARING

PKP S.A. realizuje równolegle Program Inwestycji Dworcowych, który jest naj-

większym tego typu w historii polskiej kolei. W ciągu kilku lat spółka zamierza zmodernizować lub wybudować od nowa ok. 200 obiektów na terenie całej Polski. Wartość programu szacowana jest na ok. 1,5 mld zł, zaś podstawowym źródłem finansowania mają być w tym przypadku fundusze unijne, które pokryją ok. 65 proc. wszystkich środków.

Spółka stawia jednak również na innowacje. PKP stworzyło autorski program „Innowacyjne Dworce Systemowe”, który polega na budowie nowoczesnych budynków z ekologicznymi rozwiązaniami, jak choćby panelami fotowoltaicznymi, odzyskiem wody deszczowej do spłukiwania toalet czy oświetleniem LED. Zastosowanie nowych technologii ma obniżyć koszty eksploatacji, a także ograniczyć negatywny wpływ budynków na środowisko. Do tej pory w formacie IDS powstały dworce m.in. w Nasielsku, Mławie czy Ciechanowie. Równolegle rozwijane są także innowacje mające na celu zwiększenie efektywności eksploatacyjnej dworców, jak choćby system inteligentnego zarządzania budynkiem, który integruje instalacje występujące na obiekcie dworcowym.

W następnych etapach planowane jest wdrożenie przy dworcach kolejowych usług CarSharingu, czyli krótkoterminowego wypożyczania: samochodów elektrycznych, skuterków elektrycznych i rowerów elektrycznych. PKP S.A. planuje uruchomienie systemu pojazdów współdzielonych przy dworcach kolejowych, które pozwolą na połączenie podróży pociągiem z indywidualnym środkiem transportu. W tej usłudze pasażerowie PKP Intercity będą mogli zarezerwować samochód z odpowiednim wyprzedzeniem, tak aby odebrać na podróżnego po przyjeździe do stacji przeznaczenia. Takie rozwiązanie ma służyć m.in. zachęceniu nowych klientów do korzystania z usług kolei. Pierwszy punkt CarSharingu zostanie udostępniony w Trójmieście. Kolejnym autorskim projektem spółek Grupy PKP są stacje ładowania pojazdów elektrycznych ecoMOTO, których głównym celem jest zwiększenie dostępności tego rodzaju miejsc, aby zachęcić kierowców do korzystania z pojazdów przyjaznych środowisku naturalnemu. Do tej pory uruchomiono osiem stacji ładowania przy dworcach, m.in. w Katowicach, Warszawie oraz we Wrocławiu.



Kolejarz w XXI w.

29 stycznia na PGE Narodowym w Warszawie odbył się II Kongres Rozwoju Kolei, na którym rozmawiano o przyszłości i perspektywach transportu kolejowego w Polsce. Wzięło w nim udział kilkaset osób, w tym prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki.

Decydenci, liderzy opinii publicznej, przedstawiciele samorządów, organizacji społecznych, instytucji naukowych oraz przedsiębiorcy z branży kolejowej dyskutowali podczas kongresu na tematy najważniejsze dla kolei i pasażerów. Podczas 10 paneli poruszono tematykę związaną z inwestycjami, wykorzystaniem funduszy unijnych, ekologią, elektromobilnością, innowacjami czy bezpieczeństwem. Oddzielną sesję poświęcono przyszłości zawodu kolejarza.

W panelu „Kolej na miarę pracodawcy XXI w. – przyszłość zawodu kolejarza” wzięli udział Marzena Machałek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej; Mirosław Antonowicz, członek Zarządu Polskich Kolei Państwowych S.A.; Jarosław Oniszczyk, członek Zarządu PKP Intercity S.A.; Zenon Kozendra, członek

Zarządu PKP Cargo S.A.; Marek Olkiewicz, wiceprezes Zarządu PKP Polskich Linii Kolejowych S.A.; oraz Leszek Miętek, prezydent Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych w Polsce. Dyskusję moderował Michał Niewiadomski.

Uczestnicy panelu nie tylko zastanawiali się nad przyszłością zawodu kolejarza, lecz także zwracali uwagę na wyzwania, przed którymi stoi polski transport kolejowy. Ponadto dużo miejsca poświęcono szkołom branżowym. Leszek Miętek zauważył, że przez ostatnie dziesięciolecie szkolnictwo zawodowe było likwidowane, a kolejarzy zwalniano, co szybko doprowadziło do luki pokoleniowej na kolei. – Teraz szkolnictwo kolejowe się odradza. Technika kolejowa poza częścią ogólnokształcącą powinny jednak położyć nacisk na bardziej specjalistyczne przygotowanie

do wykonywania zawodu. Do tego trzeba wykładowców, odpowiednich podręczników i zmian w prawie – dodał.

Wiceminister edukacji narodowej zwróciła jednak uwagę, że wszystkie te postulaty zostały już spełnione przez rząd. – Nie chcemy szczegółowo określać kompetencji zawodowych, które powinien mieć absolwent szkół branżowych trafiający do kolei. Naszą ambicją jest to, by robić to z pracodawcami w taki sposób, by to oni określali, jakie kompetencje są niezbędne, i by to oni pomagali w podstawie programowej. Kolejarz przed wojną był zawodem o dużym prestiżu, dzisiaj ten prestiż jest powoli odbudowywany – powiedziała. Marzena Machałek. Dodała też, że MEN wprowadziło dodatkowe finansowanie dla 24 zawodów, które mają szczególne znaczenie w skali kraju, a na liście znajdują się trzy profesje kolejowe.

Marek Olkiewicz, wiceprezes Zarządu PKP Polskich Linii Kolejowych S.A., ocenił w dyskusji, że nie byłoby bezpiecznej, nowoczesnej kolei, gdyby nie pracownicy, zaś nie będzie się ona rozwijała, jeśli nie



FOT. PKP SA

ków. – Pochodzę z Małaszewicz i pamiętam czasy, gdy zawód kolejarza był passé. Teraz jest inaczej – dodał.

Jarosław Oniszczyk, członek Zarządu PKP Intercity S.A., został za to zapytany o kompetencje językowe konduktorów oraz umiejętności miękkie. – W swoim przedsiębiorstwie zatrudniamy bardzo szeroki wachlarz specjalności. Swoim pracownikom frontowym zapewniamy szkolenia językowe, ponieważ chcemy, aby potrafili posługiwać się językiem obcym, gdziekolwiek tego potrzeba – mówił. Jednocześnie Oniszczyk podkreślił, że PKP Intercity robi wszystko, by zapewnić swoim pracownikom niezbędne wsparcie. – Chcemy, by nasi pracownicy byli specjalistami w danej dziedzinie. Zawód drużyny konduktorskiej jest bardzo ciężki. W związku z tym na każdym szkoleniu staramy się uczyć, jak reagować na różne zachowania. Prowadziliśmy też współpracę z Fundacją Integracja, która zorganizowała dla naszych pracowników szkolenia z zachowania przy obsłudze osób niepełnosprawnych. Wszystkim pracownikom przypominamy o najważniejszych zasadach, by klient był zadowolony, a nasza drużyna umiała rozładować emocje, które czasem się pojawiają – dodał.

Michał Niewiadomski, moderator panelu, poprosił Zenona Kozendrę, członka Zarządu PKP CARGO S.A., o ocenę absolutną z perspektywy kolei towarowej. Prelegent zwrócił uwagę, że transport intermodalny rozwija się do tego stopnia, iż wytworzył się nowy zawód – logistów kolejowych. – Odpowiedzią na to jest współpraca z technikami kolejowymi, by przygotowywać się do nowych wyzwań, przed którymi stoją PKP CARGO S.A., bo to najbardziej rozwijający się transport w ostatnich latach – stwierdził. Na potwierdzenie swoich słów Zenon Kozendra przywołał eksperyment edukacyjny, który PKP CARGO S.A. realizują razem z PKP Intercity. – Kształcimy obecnie 30 uczniów na mechanika pojazdów kolejowych w systemie dualnym. Część praktyk odbywa Intercity, a część PKP CARGO S.A.. Ci uczniowie będą mieli gwarancję uzyskania pracy, zaś w planach mamy uruchomienie kolejnego kierunku – technik pojazdów kolejowych. Ważny jest też dla nas kierunek kształcący logistyków pojazdów kolejowych, na który zwracamy dużą uwagę.

Podczas panelu dużo miejsca poświęcono również perspektywom zawodu kolejarza oraz potrzebie promocji szkol-

nictwa kolejowego. Mirosław Antonowicz, członek zarządu PKP S.A., ocenił, że wizerunek kreuje się przede wszystkim na linii klient – pracownik pierwszego kontaktu. – Obsługa klienta będzie tworzyć pozytywny wizerunek branży, a sama obsługa klienta tworzy przewagę – podkreślił.

Marzena Machałek, sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej, zgodziła się, że szczególnym wyzwaniem jest promocja kształcenia zawodowego. Jej zdaniem, nawet jeśli w 49 szkołach uczy się ponad 4 tys. uczniów w zawodach kolejowych, to jest to wciąż za mało. – To postęp, ale jeszcze nam trochę brakuje. Musimy wypracować strategię promocji szkół kolejowych. Nie możemy mówić, że wymarzoną szkołą jest tylko liceum. Wymarzoną szkołą może być też technikum kolejowe. Musimy mentalnie odbudowywać w społeczeństwie myślenie o szkołach zawodowych. To nie może być słabsza szkoła. To inna szkoła, ale na pewno nie słabsza – oceniła.

Leszek Miętek, prezydent Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych w Polsce, zauważył zaś, że zawód kolejarza to profesja na całe życie, która często przechodzi z pokolenia na pokolenie. – To nic złego, że ojciec przyprowadza syna czy córkę na kolej, bo to pozytywne objawy. Zawód jest piękny, ale wymagający, a chwilami także traumatyczny – stwierdził. Miętek przyznał też, że były czasy, gdy wstydził się powiedzieć, iż pracuje na kolei. – Dzisiaj nie tylko się nie wstydzę, lecz także jestem czasami dumny. Będziemy się tym chwalić i będzie to topowy zawód. Cieszę się, że tę kolej stawia się na nogi, a na bazie kolei rozwija się cała gospodarka. Tu jest przyszłość i stabilność – ocenił.

Podobnie na sprawę patrzył Zenon Kozendra, członek Zarządu PKP Cargo S.A.. Jego zdaniem perspektywy zawodu kolejarza są takie jak perspektywy rozwoju całej branży. – Widać wyraźnie, że branża kolejowa ma dynamiczny rozwój. Staramy się dla młodych ludzi być atrakcyjnym pracodawcą. Chcemy im pokazać, że warto być kolejarzem i dać poczucie, że dba się o bezpieczeństwo ludzi oraz szanuje się ich prawa – dodał.

II Kongres Rozwoju Kolei został zorganizowany przez spółki Grupy PKP: PKP S.A., PKP Polskie Linie Kolejowe S.A., PKP Intercity S.A. i PKP CARGO S.A. Partnerem wydarzenia były PKP Linia Hutnicza Szerokotorowa sp. z o.o.

będzie ludzi. – PLK podjęły działania, by odbudować etos kolejarza poprzez odbudowę techników kolejowych. Współpracujemy z 43 technikami, politechnikami, ponieważ staramy się odtworzyć zasób pracowników jak najszybciej. Jedną częścią jest zdobycie teoretycznej wiedzy, ale drugą jest oczywiście doświadczenie – wyjaśniał.

Z kolei Mirosław Antonowicz podkreślił, że PKP S.A. jako spółka matka musi patrzeć z innej, szerszej perspektywy, dlatego na rynku szczególnie poszukiwani są analitycy, kontrolerzy i logistycy. – Współpracujemy ze szkołami wyższymi, tworząc studia podyplomowe. Z punktu widzenia kompetencji przyszłości ważne jest też, by znaleźć swojego mentora. Wiek XXI to inne uwarunkowania i trzeba zdawać sobie z tego sprawę, bo wymusza on zmiany w mentalności pracownika. Działamy w branży usługowej, a tu najważniejsi są przecież ludzie – ocenił. Antonowicz nawiązał też do wystąpienia prezydenta Andrzeja Dudy, który mówił o tym, że na kolei pracują kolejne pokolenia Pola-

Bogowie nie umierają



Łukasz Majchrzyk

Kobe Bryant był jednym z koszykarzy wszech czasów. Chciał dominować, ale przede wszystkim zachwycał, porywał, inspirował

Pewnie każdy kibic koszykówki zapamięta tę chwilę do końca życia. Kомуś powiedział znajomy, ktoś może oglądał wtedy telewizję, inny słuchał radia. Ktoś przeglądał portal informacyjny, inny czytał wiadomości na Twitterze lub przewijał z nudów wpisy Facebooku, aż trafił na słowa „Nie żyje Kobe Bryant”. To było tak niespodziewane i niewyobrażalne, że trudno było w taką informację uwierzyć. Jeszcze raz przeczytać, znaleźć potwierdzenie albo raczej jakiegokolwiek dementi. Na pewno ktoś się pomylił, pospieszył, coś źle przetłumaczył.

Bogowie nie umierają, a Bryant był bogiem koszykówki dla całego pokole-

nia. To jego plakaty wisiały nad łóżkiem, napędzały marzenia. Dla tysięcy kibiców był w lidze NBA od zawsze. Niektórzy nie pamiętali już wyczynów Michaela Jordana, więc dla nich to zawodnik Los Angeles Lakers z numerem 8, a potem 24 na koszulce był bohaterem i wzorem. Miał jeszcze wiele planów.

A jednak w sobotę rano helikopter z nim na pokładzie spadł i roztrzaskał się o wzgórze w rejonie miejscowości Calabasas. Były zawodnik Los Angeles Lakers leciał z córką na mecz jej drużyny w założonej przez siebie Mamba Sports Academy. Tego dnia miał prowadzić drużynę. Wszystko miało być jak zawsze. Nie było. Zginęli Kobe Bryant, jego córka Gianna Maria Onore i siedmioro innych osób. Cały sportowy świat pogrzyżył się w żałobie. Wyrazy współczucia płynęły z różnych stron, od Michaela Jordana, LeBrona Jamesa, prezydenta piłkarskiej federacji UEFA, kibiców.

TYTAN PRACY

To dzięki swojej drugiej córce odzyskał znowu radość z koszykówki.

Po 20 latach kariery, walki na najwyższym poziomie, stresów, dbania o każdy detal, morderczych treningów był tak zmęczony, że chociaż bał się sportowej emerytury, to chyba w końcu powitał ją z radością. Był świetny i skupiony do samego końca. Nigdy nie odpuszczał, nawet wtedy, gdy już nic nie musiał. W ostatnim meczu, przeciwko Utah Jazz, którym żegnał się z karierą i graniem w koszykówkę, rzucił 60 punktów. Następnego dnia, chociaż jeszcze długo po spotkaniu nie wychodził z hali, zjawił się wcześnie rano w siedzibie swojej firmy Kobe Inc. i zapowiedział pracownikom, że trzeba się wziąć ostro do roboty, bo czeka ich wiele nowych wyzwań.

Tak się nauczył w trakcie kariery albo raczej taki miał charakter. O jego pracowitości krąży dziesiątki opowieści. Wstawał o czwartej rano, siedział na treningu, kiedy jeszcze było ciemno, i jedynym świadkiem jego ciężkiej pracy był tylko woźny. Mówił potem, że łatwo jest rzucać do kosza w wielkiej hali, kiedy patrzą tysiące oczu, a tłum śle wyrazy uwielbienia. Tak chce robić każdy, ale żeby do

tęgo dojść, trzeba zmierzyć się z samotnością treningu, pokonać własną niechęć. Tym podejściem zarażał innych. Podczas obozu reprezentacji USA przed turniejem olimpijskim w Pekinie zawodnicy dostali dzień wolnego. Chętni mogli pojechać na halę, żeby trochę porzucać. Kevin Durant i Jeff Green byli pod wrażeniem, widząc, że Kobe razem z nimi wsiada do autobusu jadącego na halę. Durant dopiero startował do wielkiej kariery, a Kobe był na szczycie. To zmobilizowało młodszych kolegów do cięższej pracy. Nie tylko reszta ich. Carlos Boozer wspominał, że pod koniec obozu wszyscy ćwiczyli tak jak gwiazdor Los Angeles Lakers.

MENTALNOŚĆ „MAMBY”

Bryant podobno już w szkole średniej uwielbiał rzucać kolegom wyzwania, żeby zagrać jeden na jednego do... 100 zdobytych punktów. Nikt nie mógł się z nim mierzyć, przegrywał każdy. Budował pewność siebie, którą potem wykorzystywał w czasie profesjonalnej kariery. To była część jego Mentalności Mamby, o której mówił i nawet napisał w książce: „Kiedy grałem w koszykówkę, nie bałem się niczego”. Był świetnie przygotowany fizycznie, doskonale wyszkolony technicznie, rozumiał grę jak mało kto – to wszystko prawda – ale rywali zwyciężał siłą mentalną. „Kiedy zobaczycie, że walczę z niedźwiedziem, módlcie się za niedźwiedziem” – to jeden z jego najśłynniejszych cytatów.

Na siłę mentalną zaczął zwracać uwagę jeszcze jako dziecko, w połowie lat 90., kiedy mało kto o tym głośno mówił. Na jednym z obozów dla uzdolnionej koszykarsko młodzieży nieustannie zadawał psychologom pytania dotyczące krytycznego myślenia i psychologii sportu. Chciał wiedzieć jak najwięcej, chciał być dobry, najlepszy. Kilka lat później wrócił na obóz już jako zawodnik NBA i opowiadał młodszemu kolegom, jak ważna jest siła mentalna. Jednym ze słuchających był wtedy LeBron James.

Bryant był już wtedy gwiazdą, zdobywcą mistrzostwa NBA w barwach Los Angeles Lakers. Był tak pewny siebie, że nie poszedł tradycyjną (wtedy) drogą koszykarzy i nie zaczął studiować w college'u. Po co było „tracić czas” na granie amatorskie, skoro czuł się i był gotowy na największe wyzwania? Może wpływ na to miały lata spędzone z rodziną we Włoszech (tam karierę koszykarską kończył jego ojciec, były zawodnik Lakers –

Joe Bryant)? W Europie młodzi sportowcy już rywalizują ze starszymi kolegami, zbierają doświadczenia, pokazują, ile są warci.

NASTĘPNY PO JORDANIE

Kobe zgłosił się do draftu, gdzie kluby NBA wybierają najbardziej uzdolnionych graczy. Być może właśnie ze względu na młody wiek został wybrany dopiero z numerem 13. przez Charlotte Hornets. Nikt nie zgłosił się po niego wcześniej, a chcieli go Lakers, którzy mogli wybrać dopiero jako 24. drużyna w kolejności. Dogadali się więc z Hornets, którzy potrzebowali zawodnika na pozycji środkowego, że oddadzą im doświadczonego centra Vlade Divaca w zamian za młodego chłopaka z liceum. Czy wiedzieli, jaką perłę mieli w zasięgu ręki?

Za chwilę mieli się o tym przekonać wszyscy. NBA potrzebowała kolejnej wielkiej gwiazdy, która porwie tłumy i zawniednie wyobraźnię. Jordan powoli zbliżał się do końca kariery, a władze ligi wiedziały, że najlepiej sprzedają się bohaterowie. Trzeba było kogoś, kto zmierzy się z legendą Jordana, nie

by nie było nieporozumień z O'Nealem. Bryant zdobył więcej punktów, ale to Jordan rzucał z lepszą skutecznością. Tak można wymieniać w nieskończoność.

Jedno jest pewne – obaj byli świetni w trakcie kariery i obaj znakomicie odnaleźli się po zejściu z parkietu: rozwijali własne projekty, inwestowali. Bryant zdobył nawet Oscara za krótkometrażowy film animowany „Dear Basketball”, którego był producentem. Chciał być jak najlepszym ojcem, poświęcać rodzinie jak najwięcej czasu, którego ciągle mu brakowało. Chciał odwozić dzieci do szkoły, a jednocześnie wiedział, że ciągle żyje w rozjazdach. Dlatego zaczął korzystać ze śmigłowca, który pozwalał mu omijać olbrzymie korki w okolicach Los Angeles.

Nie odnosił samych sukcesów, wpadał w kłopoty, ale – jak przystało na Czarną Mambe – zawsze się podnosił. Pokłócił się z rodziną, która nie chciała zaakceptować jego małżeństwa (Kobe miał wówczas 21 lat, jego wybranka Vanessa Laine, ledwie 19). Z rodzicami pogodził się dopiero po narodzinach pierwszej córki. Kilka miesięcy później policja areszto-

Chciał odwozić dzieci, a wiedział, że żyje w rozjazdach.

Dlatego zaczął korzystać ze śmigłowca, który pozwalał omijać olbrzymie korki w okolicach Los Angeles

przestraszy się porównań. Kobe pasował idealnie, musiał tylko wejść na szczyt. I wszedł, chociaż nie stało się to od razu. Trzeba było zbudować w Los Angeles mocniejszą drużynę i sprowadzić trenera, który wiedział, jak wygrywać. Dlatego do Kalifornii przeprowadzili się Shaquille O'Neal oraz trener Phil Jackson.

Razem poprowadzili Lakers do trzech tytułów mistrzowskich z rzędu, a Bryant coraz bardziej „wchodził w buty Jordana”. Trochę z własnej woli, a trochę dlatego, że kibice na całym świecie mają potrzebę dyskusowania, kto był i jest najlepszy. Pojawiły się nawet filmy, na których zestawione są zagrania Bryanta i Jordana. Momentami wyglądają identycznie. Może celowo kopiował Jordana, żeby w końcu go przerosnąć? A może po prostu był tak dobry? Niektórzy powiedzą, że Jordan na zawsze będzie lepszy, bo zdobył jedno mistrzostwo więcej. Zwolennicy Bryanta przypomną, że byłoby więcej tytułów, gdy-

wała go za napaść na tle seksualnym. Sprawa zszargała reputację koszykarza, ale została umorzona po tym, jak kobieta odmówiła składania zeznań w trakcie procesu. Proces cywilny zakończył się ugodą. Bryant przyznał się do współżycia, podkreślając, że uważał, iż doszło do niego za obopólną zgodą i jednocześnie wyraził skruchę.

W grudniu 2011 r. jego żona złożyła pozew o rozwód i wydawało się, że rozstanie jest kwestią czasu, ale nie przestali walczyć o małżeństwo i w styczniu 2013 r. ogłosili, że jednak zostają razem.

W wywiadach podkreślał, że w tych trudnych momentach pomogła mu wiara. Był praktykującym katolikiem. Rzeczniczka parafii Naszej Pani Królowej Aniołów w Newport Beach opowiada, że feralnego dnia Kobe z córką byli na porannej mszy w kościele, zaczynającej się o 7 rano. Niedługo później wsiadli na pokład helikoptera. © Wszelkie prawa zastrzeżone



W debacie udział wzięli: dr hab. Andrzej Śliwczński, zastępca dyrektora Departamentu Świadczeń Opieki Zdrowotnej NFZ; dr Aleksandra Tomaszek, koordynator transplantacyjny, Klinika Chirurgii Ogólnej i Transplantacyjnej WUM; wiceminister zdrowia Sławomir Gadomski; senator prof. Alicja Chybicka, Katedra i Klinika Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii UM we Wrocławiu; dr hab. Artur Kamiński, dyrektor Centrum Organizacyjno-Koordynacyjnego ds. Transplantacji Poltransplant; prof. Roman Danielewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Transplantacyjnego; Tomasz Samborski, ruch My przed/po Transplantacji; prof. Zbigniew Włodarczyk, kierownik Katedry Transplantologii i Chirurgii Ogólnej, Collegium Medicum Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika. FOT. IWO JABŁOŃSKI/PROFESJONALNA.TV

Przeszczep to życie



Katarzyna Pinkosz

Dlaczego liczba przeszczepów w Polsce jest od lat na bardzo niskim poziomie – zastanawiali się eksperci podczas debaty z cyklu „Do Rzeczy o Zdrowiu”. Problem dotyczy zwłaszcza nerek

Czyjaś nagła śmierć; tragedia, której nie udało się zapobiec i nie można jej cofnąć, dla kogoś innego oznacza jedyną szansę na życie. Tak jest w przypadku osób, które czekają na przeszczep serca, płuca, wątroby. Zdarza się, że umierają, nie doczekawszy się na narząd. W przypadku nerki przeszczep jest szansą na życie albo

na znaczne poprawienie jego jakości. To uznane metody leczenia, w których polscy lekarze osiągają wyniki na światowym poziomie. Jednak liczba dawców (a co za tym idzie – przeszczepień) jest w Polsce na niskim poziomie: 13–15 na milion mieszkańców, podczas gdy w Hiszpanii, która przoduje pod względem transplantacji w Europie, to jest ponad 40. – Najgorszy ostatnio dla transplantologii był rok 2018, liczba dawców znów spadała; w 2019 r. była poprawa, chcielibyśmy, by się utrzymała. Jednak w „najlepszych” latach przeszczepialiśmy ponad 1000 nerek rocznie, obecnie ok. 900. Oficjalnie ok. 2 tys. osób oczekuje na nerkę – mówił dr hab. Artur Kamiński, dyrektor Poltransplantu.

MAŁO DAWCÓW

Większość narządów jest przeszczepiana od osób zmarłych, po stwierdzeniu śmierci mózgu. Procedury jej orzekania

są jednoznaczne i według obecnej wiedzy medycznej nie ma możliwości pomyłki. Nie ma też szans przywrócenia zmarłego do życia. Jeśli za życia nie sprzeciwił się pobraniu po śmierci narządów do transplantacji (powinno to zostać odnotowane w oficjalnym rejestrze Poltransplantu), to teoretycznie można je pobrać. W praktyce jednak zawsze rozmawia się z rodziną. – Niestety, zwykle nie rozmawiamy w rodzinach na temat śmierci i tego, co ma się z nami stać, gdyby taka sytuacja wydarzyła się nagle. Zaledwie 20 proc. polskich rodzin rozmawia na ten temat, więc zna wolę członków rodziny co do oddania po śmierci narządów do przeszczepienia. Jeśli nie ma sprzeciwu w Centralnym Rejestrze Sprzeciwów, to koordynator transplantacyjny pyta rodzinę, czy zmarły za życia wyraził sprzeciw. Rodzina zwykle nie wie, więc czasem na wszelki wypadek nie wyraża zgody na pobranie, choć nie ma

takiego uprawnienia. To trudny moment, niespodziewanie traci się kogoś bliskiego. Czasem udaje się przekonać rodzinę do zmiany tej decyzji, jednak nie zawsze – mówił prof. Roman Danielewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Transplantacyjnego. – Dlatego warto rozmawiać o tym, co chcielibyśmy, by stało się z naszym ciałem po śmierci – zaznaczyła dr Aleksandra Tomaszek, która jest psychologiem i koordynatorką transplantacyjną.

Jednak nie tylko odmowy rodziny są problemem. Częściej to szpitale w ogóle nie podejmują próby stwierdzenia śmierci mózgu i nie rozpoczynają procedury transplantacyjnej. Spośród 388 szpitali, które mogłyby ją rozpocząć, robi to tylko co trzeci. – Znam dwa sąsiadujące szpitale o podobnym profilu, obydwa mają oddział intensywnej opieki medycznej (OIOM) i oddział neurochirurgii. Jak to możliwe, że w jednym co roku rozpoznaje się 15 przypadków śmierci mózgu, a w drugim od czterech lat nie rozpoznano jej ani razu? Jak to możliwe, że w jednym jest 10 proc. odmów rodzin, a w drugim 100 proc. – zastanawiał się prof. Zbigniew Włodarczyk, kierownik Katedry Transplantologii i Chirurgii Ogólnej Collegium Medicum UMK.

Często decydujące jest nastawienie anestezjologów, ordynatora oddziału OIOM, dyrektora szpitala. Jeśli wśród nich są pasjonaci transplantologii, to przypadki śmierci mózgu są stwierdzane i rozpoczyna się procedura transplantacyjna. Jeżeli nie mają pozytywnego nastawienia, zgłoszeń nie ma. Z kolei dyrektorów szpitali zniechęcają niskie wyceny procedur transplantacyjnych (np. badań zmarłego dawcy, transportu organów i samej transplantacji). – Od 2012 r. finansowanie przeszczepu nerek pozostaje na tym samym poziomie, a tymczasem same koszty pracy personelu znacznie wzrosły – mówił prof. Włodarczyk.

OPÓŹNIENIA W ZGŁOSZENIACH

Szpital teoretycznie ma obowiązek zgłosić zmarłego dawcę, jednak nie ponosi żadnych konsekwencji, jeśli tego nie robi. – Zaniechanie rozpoznania śmierci mózgu, jeśli ona nastąpiła, jest zaniechaniem leczenia pacjenta, któremu można by przeszczepić pobrany narząd. Tak jak jest obowiązek raportowania choroby zakaźnej i nowotworu, podobnie powinien być obowiązek raportowania śmierci mózgu. NFZ ma możliwość finansowego karania za jego niedopełnienie – zaznaczył prof. Włodarczyk.

Według danych Poltransplantu na przeszczep nerki w Polsce oficjalnie czeka się ok. 10 miesięcy. Kolejka jest więc krótka, jednak to dlatego, że część stacji dializ zwleka z kwalifikowaniem biorców do przeszczepienia. – Siedem lat byłem dializowany, lekarz, który mnie leczył, twierdził, że lepsze są „dobre dializy” niż „byłe jaki przeszczep”. Komfort życia po przeszczepie jest nieporównywalnie lepszy, dializy wyłączały mnie z życia zawo-

W Polsce zaledwie 5 proc. przeszczepów nerek to przeszczepy rodzinne, od dawców żyjących.

W Holandii – nawet 40–50 proc.

dowego, rodzinnego, społecznego – mówił Tomasz Samborski z ruchu My przed/po Transplantacji. Dzisiaj jest on już 17 lat po przeszczepie, prowadzi normalne życie, pracuje, niedawno urodziło mu się dziecko. – Tylko 5–6 proc. pacjentów na dializach jest zgłoszonych do przeszczepów, podczas gdy średnia w Europie to 25 proc. Są u nas ośrodki, które nawet młodych pacjentów niechętnie zgłaszają – zaznaczył Tomasz Samborski. – Bywają sytuacje, kiedy przeszczep jest przeciwwskazany, jednak każdy pacjent, który zaczyna być dializowany, powinien być oceniony, czy może być kandydatem do transplantacji – mówił prof. Włodarczyk. Nie wszystkie stacje dializ to robią w odpowiednim czasie, co może wynikać z rachunku ekonomicznego.

Nerkę (podobnie jak fragment wątroby czy płat płuca) można również przeszczepić od dawcy rodzinnego. Jednak w Polsce takie przeszczepienia są bardzo rzadkie: to zaledwie 5 proc. transplantacji nerek, podczas gdy np. w Holandii 40–50 proc. – Jaka dziś jest motywacja, by ofiarować komuś narząd, jeśli czeka się na niego tylko 10 miesięcy? Gdyby pacjenci byli kwalifikowani zgodnie z zaleceniami, to na nerkę czekałoby 6–7 tys. osób ok. siedmiu lat, a wtedy motywacja dawstwa rodzinnego byłaby większa – mówił doc. Kamiński. – Mam pacjentów po roku, trzech latach dializoterapii, którym nikt nie powiedział, że można wykonać przeszczepienie nerki od osoby żyjącej. Zdarza się, że pacjenci dostają informację, że trzeba jakiś czas się dializować, żeby

móc się kwalifikować do transplantacji – potwierdzała dr Tomaszek.

Na wieloletnich dializoterapiach traci też system ochrony zdrowia. Koszt dializoterapii to co roku ok. 60 tys. zł. Mniej więcej taki jest też koszt transplantacji nerki oraz opieki w pierwszym roku po przeszczepie. W kolejnych latach maleje on jednak do ok. 20 tys. zł rocznie. Dializowanie chorego przez 10 lat to ok. 600 tys. zł. – Jak ktoś może być dializowany przez siedem lat i nie wiedzieć, że powinien mieć przeszczep – dziwiła się prof. Alicja Chybicka, kierująca Katedrą i Kliniką Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii UM we Wrocławiu. Podkreślała, że warto, by transplantologia dorosłych korzystała z doświadczeń dobrej organizacji transplantacji szpiku u dzieci (tę metodę stosuje się m.in. w leczeniu nowotworów). – Od wielu lat edukujemy, że dzięki dawstwu szpiku można komuś uratować życie. Podobnie musimy edukować, że oddanie swoich narządów po śmierci, jeśli zdarzy się ona niespodziewanie, może uratować wiele osób – mówiła prof. Chybicka. Doktor hab. Andrzej Śliwczyński, zastępca dyrektora Departamentu Świadczeń Opieki Zdrowotnej NFZ, zwrócił uwagę, że edukować trzeba nie tylko pacjentów, lecz także lekarzy, gdyż to często także po ich stronie jest bariera psychiczna, a to oni powinni kwalifikować do przeszczepu, jeśli jest on optymalny dla pacjenta. Obiecał również, że NFZ przyjrzy się postulatowi ekspertów.

BĘDĄ ZMIANY

Obecny na debacie wiceminister zdrowia Sławomir Gadomski mówił o tym, co resort robi, by poprawić sytuację w transplantologii. – Zleciłem Poltransplantowi kontrole w trzech województwach o najmniejszej zgłaszalności dawców, żeby dowiedzieć się, w czym jest największy problem. Poprawiliśmy też płace koordynatorów transplantacyjnych i chcemy dalej zmieniać warunki ich pracy – mówił wiceminister.

W najbliższym czasie Krajowa Rada Transplantacyjna przyjmie strategię rozwoju transplantologii. – Zastanowimy się, jak ją wdrażać. W najbliższym czasie chcemy skupić się na przeszczepieniach rogówek i nerek. Chcemy zmienić zasady kwalifikacji oraz wyceny przeszczepienia oraz zaktualizować ośrodki, które są potencjalnymi ośrodkami donacyjnymi. Sytuacja z przeszczepami rogówek i nerek powinna zmienić się w pierwszej kolejności – zapewniał wiceminister Gadomski. © Wszelkie prawa zastrzeżone

RYCERZE I WARCHOŁY

Pani Chrzanowska i bisurmani



JACEK KOMUDA

Rok 1675; rozpoczyna się kolejna ofensywa turecka przeciwko Rzeczypospolitej. Sobieski szczęśliwie gromi Tatarów pod Lwowem, jednak główne siły przeciwnika pod wodzą Ibrahima Szyszmana Paszy uderzają na Podhajce, zdobywają je i wycinają załogę, a potem ruszają na Trembowłę pod Tarnopolem, gdzie chronią się liczni uciekinierzy: chłopci, szlachta i mieszczanie.

To właśnie tutaj rozegra się heroiczna obrona twierdzy zagrażającej wrogowi marsz w stronę Lwowa. W jej trakcie załogę wspierać będzie – słusznie uznana za bohaterkę – Anna Dorota Chrzanowska, żona komendanta twierdzy – Jana Samuela Chrzanowskiego.

Dowódca Trembowli, jak podaje Aleksander Czołowski, „był żołnierzem doświadczonym, pełnym energii i odwagi. Oporu nie znosił, nadużyć zabraniał, cały swojej oddał się kompanii”. Ciekawe, że nie był szlachcicem; służył też w formacji wybitnie plebejskiej – dragonii. Do obrony twierdzy miał siły mniej niż skąpe. Stu dragonów, drugie tyle szlachty, ok. 200 ochotników spośród uchodźców, którzy schronili się w twierdzy. Nic zatem dziwnego, że nadciągający Szyszman liczył, iż zdobędzie Trembowłę jednym szturmem. 19 września otoczyli ją Tatarzy. Dwa dni później nadciągnęli Turcy w sile nawet do 30 tys. ludzi i od razu przystąpili do ataku – szczęśliwie odpartego. Rozpoczęły się zatem regularne oblężenie i bezustanny ostrzał Trembowli z dział. Przeciwnik rozpoczął też przygotowywanie podkopów, aby wysadzić mury zamku za pomocą min; Turcy zawsze celowali w tej sztuce.

Forteca była silnie umocniona przez naturę, ale słabo – przez Rzeczpospolitą. Zamek w Trem-



FOT. WIKIPEDIA

bowli miał mury o grubości do czterech metrów, wykonane z kamienia, które jednak zaczęły się walić w wyniku ostrzału. Kule i granaty tureckie strzaskały blanki, przebijały i rozwalały stropy zamkowych komnat, na koniec rozbiły też studnię – od tego czasu zaczęło brakować wody, którą rozdzielano łyżkami. Chociaż Chrzanowski dwoił się i troił, to siły obrońców topniały. Zginęła lub została ranna połowa jego dragonów, rozkładające się zwłoki zanieczyszczały powietrze. Co gorsza, Turcy strzelali nawet zatrutymi strzałami z łuków, a duch opadał – zwłaszcza wśród szlacheckich ochotników.

Na wiadomość o tym, że przeciwnik przygotowuje podkop, panowie bracia zwołali sejmik, aby debatować nad poddaniem się. Sytuacja zaczęła przypominać tę sprzed trzech lat – w Kamieńcu Podolskim albo w Smoleńsku w 1654 r., kiedy dowodzenie przeszło w ręce skłóconych szlacheckich stronnictw, coraz bardziej skłaniających się do kapitulacji.

Na szczęście na zamku przebywała żona komendanta – Anna Dorota Chrzanowska; dawniej mylnie nazywana Zofią, która dowiedziała się, co się święci, i doniosła o tym mężowi. Chrzanowski wpadł zatem na zgromadzenie; klęcząc, płacząc i grożąc rozpędzeniem wiece przez własnych dragonów, zmusił

szlachtę do powrotu na stanowiska. Od tej pory pani Anna dała liczne dowody odwagi, nie tylko sama z bronią w rękę stawiała do obrony murów, lecz także w pewnej chwili oświadczyła – uzbrojona w dwa sztylety – że jeśli jej mąż podda twierdzę, to zabije najpierw jego, a potem siebie. Nieco później zagroziła z kolei, że jeśli obrońcy będą mówić o poddaniu się, to wysadzi zamek w powietrze, podpalając prochy.

Jej akty odwagi, być może – jak twierdzi Zbigniew Kuchowicz – wyreżyserowane przez męża, sprawiły, że Trembowla wytrzymała do 5 października, kiedy to wykrwawieni Turcy, obawiający się w dodatku odsieczy króla Jana III Sobieskiego, zwinęli oblężenie i odeszli.

Desperacki trud pani Anny nie pozostał oczywiście bez nagrody. Jej mąż, Samuel Chrzanowski, mianowany został podpułkownikiem, bo przecież awansować żony na „podpułkownicę” w wieku XVII się nie dało. Jego imię stało się głośnie w całej Rzeczypospolitej. Rok później sejm obdarzył go szlachectwem, a kariera komendanta potoczyła się wysoko i daleko jak na jego stan. W 1679 r. został dowódcą Lwowa, a w 1682 r. – podstolim mielnickim.

Samą obronę Trembowli rozślawiono w malarstwie i drukach ulotnych. W XIX w. w Trembowli ustawiono pomnik pani Anny, nazywanej mylnie Zofią, zniszczony w czasie drugiej wojny; Józef Wybicki napisał o niej libretto operowe, sportretował ją Franciszek Smuglewicz w cyklu „Obrazów historii polskiej”. Ciekawe, że bohaterka nie była Polką, ale Niemką; najprawdopodobniej pochodziła z Kurlandii, a jej paniieńskie nazwisko brzmiało von Fresen. Była to druga żona komendanta Chrzanowskiego i wierna towarzysząca aż do końca życia. ©

ŚMIETANOWIEC Z JABŁKAMI SIOSTRY ANASTAZJI

Swoj pierwszy w pełni samodzielny posiłek przygotowała dopiero, gdy miała 17 lat. To było w 1967 r., dzień po śmierci mamy. Zrobiła ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Pierwszy chleb spaliła, drugi wyszedł niedopieczony. Brakowało jej wprawy.

Przez dwa lata pracowała w hutach szkła w Czechosłowacji. Pojawił się nawet kandydat na męża, ale wizja małżeństwa zupełnie jej nie pociągała. Wkrótce wstąpiła do Zgromadzenia Córek Bożej Miłości. Na pytanie matki przełożonej o to, co chciałaby robić w zakonie, odparła: „Gotować”. Z biegiem lat rozwinęła kulinarne skrzydła i kiedy w 1999 r. zaczęła pracę w kuchni jezuitów, ich życie zmieniło się nie do poznania. Życie wielu Polaków również.

Pierwsze wydanie „103 ciast siostry Anastazji” ukazało się w nakładzie zaledwie 2 tys. Dzisiaj to białe kruki. Potem pojawiły się inne tytuły, w sumie ponad 4 mln egzemplarzy. Zagraniczna prasa porównywała Siostrę do Nigelli Lawson i do Jamiego Olivera.

Składniki:

Ciasto:

- 1/2 kg mąki
- 2 jaja
- 8 dag margaryny
- 1 szklanka cukru kryształu
- 4 łyżki letniego mleka
- 1 łyżeczka amoniaku
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 5 jabłek (lub litrowy słoik jabłek tartych)

Bitą śmietana:

- 1 l śmietany 36-procentowej
- 1/2 szklanki cukru pudru
- 1 cukier waniliowy

Wykonanie:

Jaja utrzeć z cukrem, dodać roztopioną margarynę oraz amoniak rozpuszczony w mleku. Odstawić w przykrytym naczyniu do lodówki. Po 12 godz. dodać do mąki wymieszanej z proszkiem do pieczenia i wyrobić ciasto. Podzielić na pięć części. Z trzech upiec osobne placki (piec w temp. ok. 180 st. C przez ok. 25 min). Pozostałe dwie części przełożyć odcisniętymi jabłkami startymi na tarce o dużych oczkach i piec w całości w temp. 180 st. C (przez ok. 35–40 min).

Śmietanę ubić z cukrem pudrem i cukrem waniliowym. Podzielić na trzy części.

Przełożenie ciasta:

ciasto z jabłkami – 1/3 bitej śmietany – ciasto – 1/3 bitej śmietany – ciasto – 1/3 bitej śmietany – pokruszone ciasto.

oprac. raw

*Siostra Anastazja Pustelnik
jest zakonnicą w Zgromadzeniu
Córek Bożej Miłości, autorką
bestsellerowych książek kulinarnych.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szybko czy wolniej?

Na kolacji u znajomych podano wolno pieczoną karkówkę. Wiem, że do karkówki nie wypada dziś się przyznawać, ale istnieje jeszcze grupa oporu, która nie przeszła na jarmuż (już przysłowiowy). Trudno, przyznam się, tym bardziej że nie ja gotowałam. Smakowało mi jednak bardzo. Mięso po pobycie w piekarniku przez dziewięć godzin w temperaturze 60 st. C jest naprawdę pyszne. Soczyste, miękkie i delikatne.

Pomyślałam sobie przy tej okazji, że ten ruch wszelkich rzeczy wolnych jest dość świeżej daty, ale już szeroki. Wolno suszona kiełbasa, szynka, ser wolno dojrzewający, wolno pieczona kaczka, którą omia- tam wzrokiem w lokalnym Carrefourze (nie kupując). Pulled beef – szarpana wołowina, duszona przez siedem godzin. Zachęcona reklamami nabyłam wyciskarkę do owoców i warzyw wolnoobrotową – kosztowała kilka razy drożej niż taka, która szybko się obraca, ale podobno sok z niej jest wielokrotnie lepszy.

Jak zatem rozumiem, „wolny” znaczy dobry. W końcu mamy cały styl słow: slow food, slow fashion. Żyj i jedz zdrowo, lokalnie, świeżo itp. A przede wszystkim powoli. Podoba mi się to, choć nie jestem pewna, czy człowiek (np. kobieta) wracający z pracy o godz. 18 będzie miał czas na taką zabawę. No, chyba że wsadzi jedzenie do pieca rano. Fakt, że ruch slow zrobił karierę w mediach. Chociaż trzeba przyznać, że więcej jest tych, którzy lubią

sobie przykleić efektowną etykietkę niż prawdziwych „wolnych”.

Inaczej wyglądają sprawy z fast. Tego wszystkiego teraz nie lubimy, odwracamy się od tego. Fast food to obelga – świństwo, od którego już jedna trzecia ludzkości jest otyła.



A jednak ciekawe, bo do tej pory wysiłki cywilizacji szły raczej w kierunku przyspieszania wszystkiego. Samoloty ponaddźwiękowe i Formułę 1 na razie pominę, ale jedzeniu też bardzo się spieszyło. Zupka minutka, zupa błyskawiczna, kawa instant, kisiel instant. Warzywa zblanszowane i zamrożone – wrzucasz do wrzątku i gotowe. Tak zwany TV dinner, pomysł amerykański – wsadzasz do mikrofalówki, a po pięciu minutach siedzisz na kanapie przed telewizorem i wcinasz pełne danie obiadowe czy, jak kto woli, kolacyjne. Ukoronowaniem pędu do szybkości jest mikrofalówka. Wszystko w niej dzieje się szybko. Czy zdrowo, do końca nie wiadomo, ale wiadomo, że obiad można odgrzać w dwie minuty. Co za wygoda.

Trudno powiedzieć, jak to się skończy. Czy dojdzie do konfrontacji dwóch trendów? Jeśli szybkie wpadnie na wolne, to to drugie nie ma szans. ©©

AUTO BEZ KIEROWNICY I PEDAŁÓW

Cruise, start-up należący w głównej mierze do koncernu General Motors, z rocznym opóźnieniem zaprezentował wreszcie światu swój pierwszy samochód autonomiczny. Model Origin nie ma kierownicy, pedałów, wycieraczek ani klasycznej deski rozdzielczej. Został bowiem stworzony, aby poruszać się po drogach bez pomocy kierowcy. Dzięki rezygnacji z tradycyjnych elementów sterujących w kabinie zrobiło się miejsce na sześć pasażerów. Elektryczny napęd samochodu opracowała Honda, która w 2018 r. za 2,75 mld dol. kupiła 5,7 proc. udziałów w motoryzacyjnym start-upie.

Nowy model nie pojawi się w salonach dealerskich. Nie jest to jednak jedynie model koncepcyjny. Cruise Origin ma być wykorzystany

do rozwoju usług przewozów pasażerskich. Start-up chce bowiem być konkurencją dla takich firm jak Uber, Bolt, Lyft czy Waymo. Samochód jest więc wyposażony w czujniki obciążenia, dzięki którym komputer wie, czy wszyscy pasażerowie już z niego wysiedli. Nie wiadomo jeszcze, jak wiele egzemplarzy start-up zamierza wyprodukować ani kiedy pierwsze sztuki wyjadą na publiczne drogi. Przed dopuszczeniem autonomicznego modelu do normalnego ruchu menedżerów Cruise'a czekają bowiem zarówno intensywne testy sprawdzające bezpieczeństwo, jak i prawne batalie z urzędnikami. W wyścigu zmierzającym do produkcji samochodów autonomicznych biorą też udział praktycznie wszyscy giganci motoryzacji na świecie.



KRÓLEWSKIE BUGATTI DO KUPIENIA

1 kwietnia w domu aukcyjnym Gooding & Co pod młotek trafi prywatna kolekcja 16 automobilów, wśród których są świetnie zachowane egzemplarze takich marek jak Aston Martin, Lancia, Lamborghini czy Rolls-Royce. Na aukcję trafi też niezwykle Bugatti model 59, które niegdyś odnosiło spore sukcesy w rajdach Grand Prix i którego właścicielem przez niemal 20 lat był belgijski król Leopold III. Niestety, przyszły nabywca również powinien mieć isticie królewski majątek – auto zostało bowiem wycenione na ok. 10 mln funtów, czyli równowartość ponad 50 mln zł. ©©



KABRIOLET NA CELE CHARYTATYWNE

Aż 2 mln dol., czyli równowartość ok. 8 mln zł, kosztował na charytatywnej aukcji pierwszy wyprodukowany egzemplarz modelu LC 500 Convertible. Auto z numerem VIN 100001 kupił Kent Stevinson, właściciel amerykańskiego salonu Lexusa. Informacja o tym, że to pierwszy egzemplarz, trafiła nie tylko do dowodu rejestracyjnego, ale także na specjalne karbonowe nakładki progowe. Pierwsza wyprodukowana sztuka jako jedyna w całej serii ma też niebieskie zaciski hamulcowe. Hojny kupujący otrzymał także zaproszenie na szkolenie ze sportowej jazdy. Zebrane 2 mln dol. zasilą konta organizacji wspierających rozwój dzieci z ubogich rodzin oraz pomagających weteranom wojennym w USA. Kolejne egzemplarze nowego kabrioletu Lexusa – pod którego maską pracuje 5-litrowy silnik V8 o mocy 464 KM – do amerykańskich salonów mają trafić niebawem. Każdy z nich będzie kosztował ok. 100 tys. dol., czyli niecałe 400 tys. zł.



TEST „DO RZECZY”: LENOVO YOGA C940

Rewelacyjna wydajność, piękny wyświetlacz, świetne głośniki i solidna bateria – to największe zalety najnowszej wersji urządzenia, będącego połączeniem laptopa klasy premium z poręcznym tabletem.

Yoga C940 jest dostępna w wersji z 14-calowym ekranem (waga bez zasilacza 1,385 kg) oraz z wyświetlaczem o przekątnej 15,6 cala (jej waga rośnie wówczas do 1,9 kg). Ja przetestowałem wersję 14-calową.

Aluminiowa obudowa wygląda elegancko. Wrażenie robią również kompaktowe wymiary (320,3 x 215,6 x 15,7 mm). Yoga jest więc smukła, choć minimalnie grubsza niż np. MacBook Pro. Wyjątkowo sztywna obudowa sprawia, że laptopa można w zasadzie nosić w torbie bez pokrowca. Logowanie do systemu przyspiesza dobrze działający czytnik linii papilarnych. W czasach, gdy nawet szefowie FBI przyznają, że hakerzy mogą z łatwością nas podglądać, bardzo przydatnym drobiazgiem jest również wbudowana fizyczna zasłona kamerek. Na pochwałę zasługują także podświetlana klawiatura oraz touchpad. Miłośnikom odręcznego pisania notatek lub rysowania po ekranie spodoba się zaś zapewne ukryty w obudowie rysik.

W porównaniu z poprzednimi wersjami Yogi producentowi udało się zwęzić dolną ramkę ekranu, dzięki czemu jego przekątna wzrosła z 13,9 cala do pełnych 14 cali. Dotykowy wyświetlacz ma rozdzielczość 1920 x 1080 pikseli. Jego jakość jest znakomita: obraz jest ostry, a kolory żywe i naturalne. Nie wszystkim

spodoba się jednak to, że wyświetlacz jest mocno błyszczący.

Duży solidny zawias pozwala szybko obracać ekran, dzięki czemu laptop błyskawicznie przemienia się w tablet, który możemy położyć na kolanach lub np. niczym namiot postawić na stoliku, aby obejrzeć film. Do korzystania z multimedii zachęcają wbudowane w zawias świetne głośniki zgodne z technologią Dolby Atmos. Wydobytą z nich dźwięk jest czysty i bogaty. Na pochwałę zasługują też zaskakująco głębokie basy.

Najważniejszą zaletą testowanego urządzenia jest jednak jego rewelacyjna wydajność. Wynika ona z zastosowania jednego z najnowocześniejszych procesorów Intel Core i7-1065G7.

Testowana Yoga C940 miała też „pod maską” 16 GB pamięci RAM, działającej z częstotliwością 1866 Mhz, oraz szybki dysk SSD o pojemności 512 GB. Muszę przyznać, że jest to optymalna konfiguracja. W sprzedaży występują co prawda tańsze wersje tego modelu Yogi z 8 GB RAM, ale grzecznie przemysłałbym taki zakup, bo oszczędność przy zakupie może potem mścić się w codziennym użytkowaniu.



Pochwalić muszę też rewelacyjną baterię, która na jednym ładowaniu potrafi zapewnić energię na ok. 11 godzin typowego użytkowania i nawet na 16 godzin oglądania filmów (przy wyłączonej karcie sieciowej).

Najpoważniejszym minusem tego modelu jest niewielka liczba portów. Do dyspozycji mamy jedno złącze USB 3.1 typu A, dwa złącza USB typu C, z których jedno wykorzystywane jest do ładowania baterii, oraz zintegrowane wejście/wyjście audio.

Słabo, ale i tak lepiej niż w macbookach. Szkoda jednak, że nie ma portu HDMI (choć producent w komplecie dodaje przejściówkę) czy czytnika kart microSD.

W codziennym użytkowaniu tabletlaptopa bardzo brakuje także specjalnych przycisków do regulacji głośności. Minusem jest też nagrzewanie się spodu urządzenia przy bardzo intensywnym użytkowaniu nowej Yogi, co sprawia, że przy wykonywaniu zadań, które mocno obciążają procesor, używanie Yogi jako tabletu i trzymanie jej na kolanach staje się mało komfortowe.

Mimo tych minusów Yoga C940 to bardzo ciekawa propozycja dla osób szukających lekkiego, wydajnego laptopa zarówno do pracy, jak i do zabawy. Cena testowanej wersji: 8249 zł. © ©

Jacek Przybylski

ŚWIATEŁKO NA SŁOŃCE

Na pewno w krajach z nocą polarną to się nie przyjmie. W Polsce tego słońca też jest coraz mniej, ale wypróbować można. Solarne światło rowerowe – jak twierdzą producenci – rozwiązuje problem z brakiem energii podczas jazdy rowerem. No, chyba że chodzi o energię samego kolarza.

Gadżet nazywa się LITTA, ma wytrzymałą obudowę, a elektronika jest pokryta wodoodporną powłoką. LITTA jest wyposażona w mały, ale wydajny panel słoneczny, który ładuje zintegrowane akumulatory co minuta, gdy rower jest na dworze – jak twierdzą producenci – nawet w pochmurny dzień.



Dzięki wbudowanym czujnikom światła i wibracji LITTA włącza się automatycznie, gdy uruchamiamy rower, a wyłącza, gdy światło dzienne uderza w panel słoneczny lub gdy rower pozostaje w bezruchu.

Gadżet (jedna sztuka) kosztuje ok. 100 zł i można go zamawiać na portalu Kickstarter. Dostawa w sierpniu.



WINO DOSKONAŁE DŁUGI CZAS

Masz dobre wino? Lampka do obiadu. A co z resztą butelki? Osobiście radziłbym wypić, ale trzeźwość też jest w cenie. Teraz wino można przechowywać nawet pół roku. A wszystko dzięki

urządzeniu o nazwie Albicchiere, które pozwala na przechowywanie alkoholu przez wiele miesięcy po otwarciu. Gadżet zachowuje też idealną do picia temperaturę trunku. To akurat istotne, ponieważ urządzenie pozwala na ustawienie preferowanej temperatury dla każdej pojedynczej butelki wina lub takiej, którą zaleca winiarnia – tutaj trzeba skorzystać z przeznaczonej do tego aplikacji. Albicchiere wykorzystuje technologię NFC, która automatycznie rozpoznaje wino wewnątrz i doprowadza je do idealnej temperatury serwowania dla danego rodzaju wina – czy to 4 st. C, czy 20 st. C. Gadżet kosztuje około tysiąca złotych, zamawiać można na Kickstarterze, ale na dostawę trzeba poczekać do października. © ©

Wojciech Wybranowski

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Księżniczka się
urodziła. 52 lata

Dzisiaj o sferach najwyższych, i nie chodzi o planetarium. Trochę przerwy z tymi zwykłymi celebrytami. Otóż, proszę państwa, niesamowity jest świat arystokracji. Aż muszę tu przybliżyć, bo tam się dzieją takie rzeczy, że no, mówię państwu! Na przykład w Belgii urodziła się teraz księżniczka, która ma lat 52. Ma już ząbki, być może nawet implanty.

To jest takie ekscytujące. Zawsze narodziny księżniczki sprawiają, że świat zamiera i społeczeństwa zastanawiają się, do kogo dzidzia jest podobna i czy ma włoski. Spekulacjom nie ma końca. Tu jest z tym dziecięciem niezwykle oryginalnie, gdyż, no cóż, księżniczka bardzo dawno już z pieluch wyszła. Już wyjaśniam, o co tak w ogóle chodzi, bo historia jest prosta, czyli na maksiora zagmatwana.

Prawdopodobnie wszystko to przez roztargnienie i nadmiar obowiązków błękitnokrwistego króla. Otóż król Belgii Albert II (86 lat) dowiedział się właśnie, że ma córkę, czyli, że ona jest księżniczką. A wszystko dzięki lekarzom i nie chodzi o in vitro. Chodzi o DNA. Lekarze teraz zbadali DNA króla Alberta II i pewnej dziewczynki – Delphine Boël – która aktualnie ma 52 lata. Jak ten czas leci! I okazało się właśnie, że to jest takie DNA, które świadczy o tym, że Delphine jest księżniczką, córką tego króla. To piękne dziecko Delphine (52 lata) miało bowiem mamę baronową, której

nazwisko niewiele państwu powie, a resztą państwo nie zapamiętają. Bo i po co? Dobra, podam nazwisko tej baronowej, niech pobrzmi głoskami arystokracja, mama naszej księżniczki nazywała się Sybille de Selys Longchamps. Prawda, że ładnie? I prawdopodobnie po prostu król w roku 1967 przechodził akurat z taragarzami koło baronowej, chociaż mnie się wydaje, że raczej bez taragarzy. Może nawet był w tym momencie tak nieprawdopodobnie samotny, jak samotny może być na samym szczycie tylko król. No i chyba musiał się przytulić. Ot, wszystko.

Ztego po wielkiem cichu przytulenia przyszła na świat 52-letnia Delphine, która – jak wynika z najnowszych ustaleń – w momencie narodzin w ogóle nie miała lat, ale wtedy nie była w ogóle księżniczką. Król Albert II był atakowany, że być może ma córkę, ale błękitna krew bywa gorąca, ale bywa też arktycznie zimna, więc się sprawę nie zajmował. Miał na głowie obowiązki królewskie. I dopiero w 2013 r., kiedy abdykował na rzecz swojego synka Filipka (60 lat), DNA króla Alberta II było wolniejsze i można było je zbadać, bo sąd pozwolił, a jak się jest królem przed abdykacją, to sąd może pana majstra... (Kobuszewski zalecał Gołowski niedomówienie).

I tak oto świat ma nową księżniczkę. Ciekawe, na kogo wyrośnie. Mówiłem, że niesamowity jest świat arystokracji? Mówiłem! ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Strefy wolne
od rozsądku

Předstawiam mój projekt fotograficzny z mieszkańcami ze stref wolnych od LGBT na tle znaków z ich miast i tabliczki ostrzegającej przed wjazdem – napisał na Twitterze aktywista LGBT Bart Staszewski. Pod jego postem z ludźmi ze smutnymi twarzami stojącymi na rogatkach Świdnika czy Puław rozgorzała emocjonalna dyskusja. W końcu hasło: „Strefa wolna od LGBT”, sporządzone w czterech językach na pomarańczowym tle, wygląda co najmniej groźnie. – To wywołuje u mnie mdłości. Wzywam Komisję Europejską do podjęcia natychmiastowych działań przeciwko tym obrzydliwym praktykom oraz przeciwko polskim władzom, które wystawiły znaki dyskryminujące społeczności LGBTI+ – skomentował sprawę Guy Verhofstadt. – Na miejscu mieszkańców tych miast już bym składał pozew – odezwał się jeden z internautów. – Widzieliśmy podobne tablice od 1940 do 1945. „Żadnych Żydów” – odparł inny, sądząc po imieniu i nazwisku, z Holandii. – Czy to początek budowy getta? – zastanawiano się wspólnie.

Dyskusja mogłaby trwać nadal, gdyby autor nie wyjaśnił kontekstu zdjęć, w rozmowie z OKO.press przyznając bez zażenowania: „Zanim zmodyfikowałem wpis, dokładnie tłumacząc założenia projektu, przez kilka godzin obserwowałem reakcje w sieci. Byłem wstrząśnięty tym, jak wiele osób uwierzyło, że kolejnym krokiem po wydaniu jawnie homofobicznych uchwał może być wystawienie

przez gminy znaków informujących o ustanowieniu stref wolnych od LGBT”. Jednym słowem, żadne z miast podobnych tabliczek nie umieściło, a mężczyzna zrobił to w ramach protestu wobec uchwał o „powstrzymaniu ideologii LGBT”.

Wydaje się, że moment zbliżony do rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau jest nieprzypadkowy. „W XXI w., na ziemi naznaczonej krzywdą i nienawiścią, w miejscu, które pamięta eksterminację Żydów, powstają strefy, które wykluczają. Z taką historią powinniśmy być prekursorem szacunku i akceptacji. Tymczasem nasi radni prześcigają się w pomysłach na dyskryminację” – tłumaczył aktywista. Jego narrację podchwycyło w mediach. „Przejmujące przemówienie. Jeśli nie wysłuchaliście, to przeczytajcie. A potem pomyślcie sobie o »strefach wolnych od LGBT«, promowanych przez niektórych działaczy PiS, nacjonalistów i prорządowe gazety” – zatweetowała Dominika Wielowieyska z „Wyborczej”, polecając przemówienie wygłoszone w Oświęcimiu przez Mariana Turskiego z „Polityki”. W takich chwilach zastanawiam się, czy żyjemy w normalnym kraju. Czy odpowiedź na durne uchwały musi polegać na produkowaniu fałszywych znaków i podciąganiu wszystkich pod widmo nowego Holokaustu? Czy gdzieś między dwoma ekstremami istnieją jakieś wyspy rozsądku? Jeśli są, to na naszych oczach gwałtownie się kurczą. ©©

FILM NA SOBOTE

w Telewizji Republika



LUTY

8.02



Pierwsza powojenna konspiracja niepodległościowa

Film przedstawia historię powojennego Koszalina, przybywających do miasta osadników, repatriantów, działania żołnierzy Armii Czerwonej wobec ludności polskiej oraz tworzenie się pierwszej konspiracji niepodległościowej na terenie Koszalina i Pomorza Środkowego. Film zawiera sceny rekonstrukcyjne omawianych wydarzeń.

15.02



Żołnierze z Westerplatte w Koszalinie

Film z serii „Koszalin - historie zapomniane”. Heroiczna obrona Westerplatte to jedna z najchwalebniejszych kart polskiego oręża. Okazuje się, że ślad tego ważnego wydarzenia prowadzi również do Koszalina. To właśnie westerplaczczy byli jednymi z pierwszych mieszkańców miasta i pomagali w jego odbudowie.

22.02



ŻELAZNY - Legenda Wileńskiej Partyzantki

Film przedstawia historię jednego z najbardziej znanych żołnierzy 5 Wileńskiej Brygady AK - ppor. Zdzisława Badochy „Żelaznego”. Jego odwaga, pomysłowość, brawura, skuteczność oraz wierność ideałom sprawiły, iż stał się prawdziwą legendą wileńskiej partyzantki. Jest to opowieścią o walce, wartościach, wojennych przyjaźniach, miłości, ale również i zdradzie.

29.02



KOMAR - Partyzant w US Army

Opowieść o żołnierzu Armii Krajowej, który po brawurowej ucieczce wstąpił w szeregi 7 Armii Amerykańskiej. Urodzony w 1925 r. na Wołyniu Edward Mucha podczas II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej Obwodu Garwolin. W 1945 r. podjął brawurową ucieczkę na Zachód. Po powrocie do kraju w 1949 r. Komar został aresztowany przez UB. Przeszedł ciężkie śledztwo i więzienie.

SOBOTA 19:10

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 521cc00b85



Z INNEJ PERSPEKTYWY

O skutecznym rad sposobie



ANDRZEJ NOWAK

Pod anarchią trwać długo żadne państwo nie może". Ta przestroga zawarta została w najważniejszym bodaj dziele politycznym polskiego wieku XVIII: „O skutecznym rad sposobie”. Chodziło w nim o to, jak Polacy powinni rozmawiać między sobą i jak radzić wspólnie, żeby Rzeczypospolitej nie rozszarpać. Autorem owego dzieła i rady był ks. Stanisław Konarski, twórca nowoczesnego szkolnictwa obywatelskiego i jego modelowej szkoły – Collegium Nobilium. Wybito na jego cześć medal: „Temu, który odważył się być mądrym” (Sapere auso). Ale go nie posłuchano. Zabrakło odwagi, by ukarać tych, którzy nadużywają wolności, by bronić

zaopiekuje się lepiej naszą wewnętrzną wolnością niż wybrane władze Polski, niż sami Polacy. Do tych ludzi mówił Konarski: „Opieka sąsiedzka może być macochą naszej swobody, matką jej być nie może”.

Dla tej naszej swobody ukuł ksiądz pijar w roku 1733, w swoim pierwszym traktacie politycznym („Listy poufne czasu bezkrólewia”), nazwę, która przez następnych ponad 250 lat wywoływała żywe echo w polskiej wyobraźni i emocjach. To w owym traktacie pojawiło się w polskim wokabularzu politycznym słowo „niepodległość”. Co ono znaczy, co powinno znaczyć – o tym pisał Konarski w momencie, kiedy potężni sąsiedzi postanowili narzucić Polsce taką władzę, jakiej oni sobie życzyli, a nie taką, jaką wybrała większość polskich obywateli. Wtedy właśnie nasz nauczyciel przypomniat: „Rzeczpospolita jest najwyższą panią swych praw, niepodległą jakiegokolwiek władzy obcych monarchów. [...] Rzeczpospolita słusznie ma z boskiego prawa najwyższą władzę niepodległą nikomu i strzeże jej tak, jak wszystkie inne królestwa i cesarstwa. [...] Nie można rozkazywać temu, kto nie zależy od kogoś innego. Ten, kto nikomu z wyjątkiem Boga nie jest podległy, nikogo z wyjątkiem Boga nie jest zobowiązany słuchać. [...] Największą więc jest niegodziwością w jakimkolwiek królestwie i dobrze zorganizowanej rzeczypospolitej, żeby cudzoziemcy publicznie oskarżali obywateli i urzędy, a nawet samą rzeczpospolitą o pogardę praw, jakby chełpiąc się, że oni lepiej myślą o rzeczypospolitej niż jej własni obywatele. [...] W każdej rzeczypospolitej należy mieć na pierwszym miejscu wzgląd na własną rację stanu, potem dopiero na cudzą. Godność i korzyści rzeczypospolitej nie powinny być podporządkowane obcym interesom. Najgorszy

sposób przekonywania jest taki, który wzbudza strach, odpowiedni dla umysłów niewolniczych, nie zaś wolnych. Wszystko się traci w wolnej rzeczypospolitej, gdy została utracona wolność”.

Kto ma oczy do czytania, ten niech czyta. Konarskiego czytano chętnie, ale za jego radą nie poszli ci, którzy okazali się dość możni, by zniszczyć Rzeczpospolitą, i dość słabi, by prosić o pomoc w tym dziele sąsiadów. Ostatecznie nie wiemy, jak było. Targowica uciekła się pod skrzydła Katarzyny II. Zwolennicy potrzebnej reformy konstytucyjnej też pobiłdzi: liczyli na pomoc berlińskiego dworu przeciw petersburskiemu imperium. Nienawidzili siebie nawzajem bardziej, niż byli w stanie myśleć o tym, że imperia polską wolnością się nie zaopiekują, ale w końcu wybiorą to, co zawsze wybierają imperia: podporządkowanie słabszych swoim interesom, swojemu panowaniu. I tak upadła Rzeczpospolita.

To nic nowego w historii. Ani też nie jest to jakaś polska specyfika. Mechanizm tej autodestrukcji opisał już Tukidydes, na przykładzie losu greckich państw. Ma ona swoją nazwę: to rozbięcie wspólnoty politycznej na partię. Na uzasadniony poważnymi racjami politycznymi, zasadniczymi sporami ustrojowymi podział nakładają się w końcu najniższe ludzkie namiętności, wyzyskujące szlachetniejsze hasła dla najbrudniejszych celów. Tukidydes nie widział jeszcze tylko, jak tę autodestrukcję potrafią wykorzystać imperia z zewnątrz przychodzące ze swoim porządkiem: dla Greków była to najpierw Macedonia, potem Rzym. Polacy w ostatnich trzech wiekach coś już o tym połączeniu partyjnej ulicy z zagranicą powinni się nauczyć. Tylko czy jest dość takich, którzy odważą się być mądrymi? ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



tylko własnego interesu. A może zabrakło mądrości, żeby przekonać większość z tych, którzy krzycząc potrzebnymi reformom, skutecznemu rządowi swoje „nie pozwalam”, nie byli zdrajcami, tylko ludźmi zaślepionymi stanowym egoizmem, swoistym antywychowaniem? Konarski wołał do współobywateli: opieka potężnych sąsiadów nie tylko nie uratuje Rzeczypospolitej i jej wolności, ale pogłębiać będzie – w ich interesie – stan anarchii. Byli wtedy, to jest w XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej, obywatele, którzy wierzyli, że to może oświecony Petersburg, a może rządny Berlin

fol. Jerzy Gumowski



M u s l i m s

Salonowa Szwecja znowu w awangardzie „postępu” i „politycznej poprawności” — mimo że muzułmańscy imigranci terroryzują ten kraj (vide krwawe wojny muzułmańskich gangów, zwłaszcza na terenie Malmö), powstała tam właśnie nowa proimigrancka partia Niuans, chcąc skutecznie kurs „jeszcze bardziej proislamski”. Jej założyciel, Mikail Yüksel, miał bezpośredni kontakt z turecką organizacją terrorystyczną Szare Wilki i jest uznanym weteranem zwalczania „islamofobów”. Eksperci szacują, że do roku 2050 prawie co trzeci Szwed będzie muzułmaninem (Niemiec i Francuz tylko co piąty, zaś Anglik co szósty), więc Szwecja zakazuje regulaminie tych muzułmańskich rozrywek, które dzisiaj są jeszcze incydentalnymi. Myślę o zbiorowych gwałtach na białych kobietach (jak ten na 30-lętniej mieszkance Uppsali, filmowany przez islamskich zwyrodniałców i transmitowany przez nich w „Sieci” na żywo) tudzież o podrzynaniu gardel „niewiernym”, do czego nawołuje „Koran”. Rytualne muzułmańskie kłamstwo głosi, że „islam jest religią pokoju”. Owszem, ale „pokoju wiecznego”, bo to religia śmierci. „Koran” dziesiątki razy grozi chrześcijanom: „Niewierni, bójcie się ognia, który was czeka, a którego podpalką będą ludzie i kamienie!” (sura II, werset 24). Algierski pisarz Kamel Daoud tak sformułował alibi dla tych wezwań do mordowania: „Nie można wymagać od świętych tekstów, aby pełniły rolę poradcników dobrych manier”. Z kolei mieszkająca nad Wisłą prezes Fundacji Estera, Miriam Shaded, mówi: „ — Uważam, że islam winien być w Polsce zdelegalizowany, gdyż jest sprzeczny z polską konstytucją, której art. 13 zakazuje istnienia organizacji dopuszczających programowo przemoc” (2017).

Problem islamu na Starym Kontynencie to problem salonowej politpoprawnej tolerancji dla „multikulturalizmu”, czyli problem muzułmańskiej imigracji. Ci muzułmanie, masowo napływający do Europy z Bliskiego Wschodu i z Maghrebu, to jest ten sam ludzki sort co ich dziadkowie, Marokańczycy i Algierczycy, którzy stanowili 12-tysięczną Grupę Marokańską wyzwalającą faszystowskie Włochy w składzie francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Wówczas ta islamska umundurowana zgraja sadystów, których zwano „goumiers”, rywalizując z czernowonoarmistami zgwałciła bestialsko 60 tys. Włoszek, także starsuszek i małych dziewczynek. Jak bardzo bestialsko — opisał mój syn Tomasz (mocno zitalianizowany, Włochy są dziś dla niego nieomal drugą ojczyzną) tekstem „Le Marocchinate” (zmarokanizowane) na łamach „Gazety Polskiej” (nr 21/2019), cytując fragment: „Proboszcz Alberto Terilli próbował ukryć dwie dziewczynki, siostry w wieku 15 i 18 lat. Gdy odkryli je Marokańczycy, doszło do gwałtu, w którym wzięło udział 200 (!) «goumiers». Jedna z siostr zmarła w trakcie, druga przeżyła, lecz postradała zmysły. Proboszcza tak katowano, że zmarł dwa dni później”. Aktualna muzułmańska dzicz niewiele się od tamtej różni. Przy przeprawianiu się do Europy przez Morze Śródziemne ci barbarzyńcy regularnie wyrzucają chrześcijan za burtę, dla odciążenia łodzi i pontonów.

W gościnności wobec muzułmańskich imigrantów przodkuje Francja, stąd słusznie nasz minister spraw zagranicznych, Jacek Czaputowicz, nazwał to państwo „chorym człowiekiem Europy”. Ów będący istotnie zaraz mechanizm XX-wiecznego i aktualnego francuskiego ulegania islamowi przewidział ponad pół wieku temu Antoine de Saint-Exupéry („Twierdza”), piętnując łatwą zgodę na niszczenie tożsamości kraju: „Nienawidzę luzactwa przynależnego lobozom. Uprawiający je nie pojmują już czym jest ich dom i zaczynają go rozbierać. Pyszną się, że nie ulegają już obyczajom i że zdradzają trady-

świątym miejscu islamu. Komandosi więc przeszli „pro forma” na islam, i dopiero wtedy zezwolono im odbić Mekkę.

Dzisiaj cała francuska klasa rządząca i elita kulturowa (za wyjątkiem takich „ostatnich Mohikanów” jak Michel Houellebecq czy Alain Finkielkraut), tudzież (pod wpływem „wielokulturowej” propagandy) duże odłamy społeczeństwa — zdają się „pro forma” przechodzić na islam, i to nie parodniowo (jak owi komandosi), lecz trwałe. 17 maja 2003 roku, podczas kongresu w Dijon, premier Laurent Fabius oznajmił: „ — Kiedy Marianna z naszych merostw przybierze piękną śniadą twarz młodego muzułmańskiego Francuza — będzie to dzień ważnego francuskiego kroku ku prawdziwym republikańskim wartościom”. Kroczyć ku nim zawzięcie, niczym lemingi ku przepaści. Nawet feministki oszałały tam proislamsko, niepomnie, że islam tłamsi kobietę niczym niewolnika. Macronowska ministra do spraw równości zapowiedziała twardą walkę z „religijnym fanatyzmem” oraz „seksizmem charakteryzującym katolicyzm i judaizm”, ani sylabą nie tykając autentycznego „seksizmu” (megaseksizmu) islamskiego. Na Sorbonie właśnie zrezygnowano ze szkoleń w „rozpoznawaniu radykalizacji islamistów”, wskutek zarzutów, że takie kursy dla funkcjonariuszy państwa oznaczają „karygodną stygmatyzację muzułmanów”. By jej uniknąć Francja przyzwala na mnożenie meczetów, na islamskie podziemie kryminalne (reketierskie, narkotykowe, itp.), na liczny terror wobec białych kobiet, na ciągłe podpalanie setek samochodów i wygwizdywanie hymnu francuskiego, etc.

Tłamszona tożsamość

ce, głosząc chwałę swych nieprzyjaciół. To prawda, że dopuszczając się takiego świętokradstwa czują jeszcze jakiś wewnętrzny niepokój. Lecz wkrótce i on znika, a oni grzebią swe najcenniejsze dobro — tożsamość swoją i swojej ziemi”.

Zdobycie przez Francję części Maghrebu (głównie Algieria) i skolonizowanie przez nią w ramach Wspólnoty Francuskiej (później Unii Francuskiej) licznych państw afrykańskich (Mali, Madagaskar, Somalia, Czad, Gabon i in.) uczyniło islam poniekąd wewnętrzną sprawą tego mocarstwa. Dla tego francuskie wojskowe interwencje w krajach muzułmańskich Afryki (realizowane przede wszystkim za pomocą Legii Cudzoziemskiej) przez całe dekady XX wieku nie dziwiły nikogo. Francuzi ingerowali nawet w wewnątrzreligijne islamskie problemy. Gdy roku 1979 dowodzący uzbrojonymi sekcjarzami Dżuhayman al-Otaybi zdobył w Mekce Wielki Meczet i Kaabę, niszcząc architekturę i zabijając muzułmanów ortodoksyjnych — władze Arabii Saudyjskiej zwróciły się o wojskową pomoc nie do USA czy Anglii, tylko właśnie do Francuzów, bo ci od dawna już uchodzili za „przyjaciół muzułmanów”. Paryż był gotów wysłać komandosów, lecz powstał problem doktrynalny: „niewiernemu” nie wolno postawić stopy w

świątym miejscu islamu. Komandosi więc przeszli „pro forma” na islam, i dopiero wtedy zezwolono im odbić Mekkę.

Nie tylko całe połacie Francji, również całe dzielnice Anglii, są już „terytoriami szariatatu”, gdzie policja boi się zapuszczać. W holenderskim Utrechtie pod naciskiem muzułmanów usunięto z ulicznych reklam wielkiej wystawy dzieł Caravaggia jego obrazy religijne. Salon niemiecki flekuje partię AfD, ponieważ jest ona „antyislamska”. Salon amerykański (zlewaczale Hollywood) uwielbia robić filmy, których głównym bohaterem jest muzułmanin niesłusznie oskarżony o terroryzm, exemplum „Transfer” („Rendition” 2007), „Zdrajca” („Traitor” 2008) czy „Bardzo poszukiwany człowiek” („A Most Wanted Man” 2012). Duże brawa dla prezydenta Trumpa, że złamał trwającą od Billa Clintona (1996) tradycję czczenia finału Ramadanu uroczystą kolacją, rezygnując z niej.

Głównym problemem nie są terroryści, dżihadysty, pseudouchodźcy, talibowie, imamowie, etc., tylko porażająca głupota zachodniej cywilizacji salonowej, owładniętej pseudohumanistycznym lewactwem kontrchrześcijańskim, będącym aberracją ewidentnie destrukcyjną. ©©

Waldemar Łysiak

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER
„ŚWIĘTA PO POLSKU
– TRADYCJE
I SKANDALE”

~~619~~ zł



238,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
381 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl